

Agnieszka Szewczyk



**WPŁYW ATRYBUTÓW INFORMACJI
NA NIWELACJĘ LUKI INFORMACYJNEJ
Aspekty społeczne i ekonomiczne**

Agnieszka Szewczyk

**WPLYW ATRYBUTÓW
INFORMACJI
NA NIWELACJĘ
LUKI INFORMACYJNEJ**

**Aspekty
społeczne i ekonomiczne**

bernardinum
2024

Recenzent:

prof. dr hab. Elżbieta Skrzypek

Wybór ilustracji:

Elżbieta Piekarska

Ilustracje: www.pixabay.com

Zdjęcie z okładki: www.pixabay.com

Zdjęcie z tyłu okładki: Wanda Ziółkowska

Czytelnikom – których dotknęły trudne słowa
– spoglądaj wstecz z wdzięcznością,
naprzód z nadzieją,
a w górę – z ufnością...

Zamiast wstępu

Informacja ma różne oblicza...

Słowa są źródłem nieporozumień – i rzadko o tym pamiętamy, sądząc, że to, co się powiedziało, zostało przez kogoś odebrane dokładnie tak jak chcieliśmy, czyli z jednoznaczną intencją czy właśnie z aluzją, dwuznacznością, przekorą, grą słów... A tymczasem ktoś nie tylko nie odczytał tego, ale dopisał wręcz inną treść, intencję, wydźwięk, znaczenie... i to niekoniecznie ze złej woli czy nieuwagi. Po prostu te słowa padły może w przestrzeń jego innego oczekiwania, nieprzewidzianych skojarzeń, nieznanymi mówiącemu bolesnych miejsc, szczególnych kontekstów... I nagle przestały znaczyć to, co znaczyły lub miały znaczyć. Stąd potem rozczarowania, zawody, posądzenia o oszustwa, konflikty, kłótnie, zniszczone przyjaźnie, związki... A nikt nie czuje się temu winien.

„Miej oczy szeroko otwarte, a usta otwieraj powoli” – mówi chińskie przysłowie, jakże obce, ale i zbawienne w świecie rozgadanych, osądających zbyt szybko i

niesprawiedliwie mediów, ale i upodabniających się do nich ludzi.



„Nikt mnie nie rozumie!” – woła coraz więcej młodych ludzi. Ale czy oni pomagają komuś w rozumieniu ich albo czy usiłują zrozumieć tych, co do nich mówią, słuchają, usiłują pojąć i nie bardzo mogą? W rozprzestrzeniającej się wieży Babel tak bardzo nam potrzeba uważnego i cierpliwego uzgadniania rozumienia znaczeń i brzmień słów, bez których nie może być porozumienia co do rzeczy najważniejszych. A bez porozumienia nie ma ani spotkania, ani tworzenia, ani współzycia, ani współdążenia.

„Odpowiadaj dobrem za zło, a zniszczysz w podłym człowieku zadowolenie ze zła” – mówił Lew Tołstoj. Pewnego dnia do proboszcza podmiejskiej parafii przyszedł list tak naszpikowany inwektywami, że nie można było tego czytać. Doradzano mu, aby zaskarżył autora listu do sądu. Proboszcz nie zgodził się na to i wpadł na pomysł – list zapakował w drugą kopertę i odesłał nadawcy, dołączając następującą informację: „Otrzymałem od Pana list. Odsyłam go Panu, ponieważ Pan jako dobry parafianin powinien wiedzieć, że jakiś wróg księży i łajdak o pańskim nazwisku wypisuje obraźliwe manifesty... Z serdecznym pozdrowieniem...”.

Nie ma lepszego sposobu na pobudzenie dobroci w ludziach, niż traktować ich jakby byli dobrymi.

Część I

*Tyle informacji wokół nas...
Czy może ona zmienić świat na lepsze...*

Aktualność informacji – czy popłaca?

Słowo wyleciało ptakiem, a wróciło wołem

/Marek Niechwiej/

– Elwira! Ja już nie mogę! Elwira! Słyszysz mnie?
Znowu siedzisz w tej garderobie!

– Oj, Tomek! Słyszę, słyszę, ale co ja ci poradzę? Od Polski jesteśmy daleko, daleko... A co się teraz stało? Ktoś zachorował? A może umarł? Mów prędko, bo chcę jeszcze zrobić sobie makijaż, a o czternastej przychodzi moja fryzjerka. Po południu mam próbę u Sendeka, a wiesz, że on często marudzi. A wieczorem...

– Elwira! Ja wiem, że masz zajęty, tak jak zwykle, cały dzień, ale posłuchaj wreszcie! Lecę do Polski! Przyszły kolejne newsy od kolegi Zbyszka i od pani Pauliny, wiesz, tej, co przynosi posiłki moim rodzicom! Obie informacje są bardzo niepokojące! Muszę coś z tym zrobić!

– A nie możesz zadzwonić i porozmawiać? Od razu trzeba lecieć przez ocean do Polski? Przecież Zbyszek jest już dorosły, nie chciał przyjechać tu z nami. Będziemy się dalej zajmować nim jak małym dzieciakiem? A twoi

rodzice? No mój Boże, swoje lata przeżyli, niech Pan Bóg ich dalej prowadzi, bo...

– Elwira! Ja wiem, że ty masz przeszło dwadzieścia lat mniej ode mnie, a moja poprzednia żona była od ciebie o trzy lata starsza, prawda? Ale chociaż spróbuj zrozumieć! Ani Zbyszek, ani rodzice nikogo bliskiego tam nie mają! I wiem, że powinienem im pomóc!

– Tomek! Przecież ja ci nie zabraniam wyjeżdżać tak daleko! Ale może przy okazji zaszedłbyś do mojego apartamentu w Wilanowie, sprawdził, czy wszystko gra, bo ta Wiesia, to ma takie maślane ślepie jak na mnie patrzy, że... I przywiózłbyś parę rzeczy, których mi tu brakuje, Ok? Na jutro zrobię ci spis.

– Dobrze, dobrze, ale pamiętaj, że ja jadę też biznesowo. Zamawiam podróż w obie strony i nie mogę uchodzić za tragarza. Zaraz zobaczę jak jest z biletami, terminami itp. Może dam radę zajechać do Lublina, w którym planują w najbliższym czasie otwarcie nowego salonu Volvo. A w Gdańsku kończą kapitalny remont salonu. Ma też być niezła impreza! Ale najpierw – sprawy osobiste! Mam jakieś złe przeczucia! Zbyszek ma depresję, rodzice coraz mniej pamiętają... Zaraz ich

wszystkich rozruszam! Ta Paulina pisze i pisze – jakaś chyba przeczulona! Najlepiej wszystkich załaduję do samolotu, niech zobaczą jak pięknie jest w Nowym Orleanie! Zbyszek niech zacznie studia, pozna fajną dziewczynę...

Rozmarzyłem się, ale szybko musiałem wrócić na ziemię. Kolejka rozmów czekała w smartfonie, na Facebooku – jeszcze więcej różnych wpisów, Whatsapp – też pęka w szwach! Zanim opanowałem tę bombę informacyjną, minęło sporo czasu. Przejrzałem kalendarz. Czekają mnie w najbliższym czasie wiele różnych „atrakcji” zawodowych. Tak to jest być prezesem dużego koncernu samochodowego.

Ale cóż, życie sobie, praca sobie! Elwira i tak nie poleciałaby ze mną, bo jak powiada – ma liczne obowiązki! No, jeżeli do obowiązków zalicza się układanie fryzury, malowanie paznokci, przeglądanie po sto razy szaf i półek w garderobie..., to – spuśćmy na to kurtynę miłosierdzia!

Dałem sobie dziesięć dni na dokończenie rozpoczętych spraw, bo koniec lipca to niezbyt szczęśliwy czas na podróże. W międzyczasie przyszły jeszcze kolejne maile

od pani Pauliny i w sprawie Zbyszka, ale nie czytałem ich, bo zaraz po zabukowaniu biletów dałem znać do Polski, że w najbliższych dniach przyjadę i załatwimy wszystko.



3233643

W samolocie najpierw pojadłem do woli, odpisałem na wiele maili, wpisów, po czym mnie zmorzyło i parę ładnych godzin przespałem. Gdy otworzyłem oczy, byliśmy już nad Europą i praktycznie trzeba było myśleć o wysiadaniu.

Nie byłem w Polsce chyba ze trzy – cztery lata. Z okien taxi wiele nie było widać. Lipcowa noc pachniała latem, ciepłem, jakoś tak swojsko! Apartament w ekskluzywnym hotelu czekał na mnie, zamówione volvo lśniło na parkingu.

Podziękowałem za ofertę kulinarną, zamówiłem śniadanie na późny ranoek w nadziei, że chociaż trochę się zdrzemnę. Po lekkim prysznicu wtuliłem się w poduszkę, ale sen nie przychodził. No tak, te siedem, osiem godzin różnicy zrobiło swoje. Trzeba się będzie przestawić na inny czas! I na inne warunki!

Gdy robiło się jasno, po kilku wspomagających tabletkach w końcu usnąłem. Obudziłem się po bardzo niespokojnym śnie, jakoś tak przed jedenastą i zerwałem się na równe nogi. Za parę minut przyjedzie przecież śniadanie!

Dyskretne pukanie odezwało się równo o jedenastej. Zastawa wyglądała imponująco! Poczuję się głodny jak wilk! Sporo zjadłem, ale jadła było o wiele za dużo. Co kuchnia polska, to polska, pomyślałem z rozrzewnieniem. Chociaż w domu rodzinnym nie było takich smakołyków! No cóż, hotel spisał się na medal! Zaproszenie na kolejne posiłki zostawił kelner razem ze śniadaniem. Zobaczę, czy tu coś zjem po powrocie, czy w jakiejś przydrożnej knajpce.

Panienska w recepcji uśmiechnęła się szeroko, gdy pochwaliłem poranny posiłek, oddając klucz od pokoju.

Portier podjechał przed eleganckie wejście do hotelu zamówionym przeze mnie samochodem i wręczył mi kluczyki.

Tak! Jadę najpierw do Zbyszka! Nie wiem, dlaczego wpadł w depresję, to szybko nie mija. Trzeba go ratować! Przypomniało mi się, że ta informacja przyszła stosunkowo dawno, ale...

Pewnie siedzi w jakimś ciemnym kącie tego ponurego klasztoru, do którego zawiozła go matka, bo ja wtedy nie miałem czasu, żeby go tam zaholować. Zresztą nie wierzyłem, że wytrwa za murami tyle miesięcy. A nawet lat! – poprawiłem się trochę zawstydzony.

Volvo miało superurządzenie do pilotażu, wrzuciłem dane i spokojnie odjechałem, widząc kątem oka, że czeka mnie około trzygodzinna podróż. Słońce paliło, było już przecież południe.

„Teraz dzieci wyrastają bez myśli i marzeń na zgorzkniałych ludzi – niemających spokoju w duszy ani uczucia w sercach, ani chęci do życia, ani odwagi śmierci” – przeczytałem na drzwiach furty. Wysiadłem z samochodu, rozglądając się wokół jak po egzotycznej krainie.



3130879

Zapukałem z prośbą o widzenie się z „jakimś szefem młodych braciszków”, jak to określiłem.

Kiedy zjawił się mistrz nowicjatu w brązowym habicie, wtedy bez wstępów i ceremonii zapytałem:

– Czy kończą się już kolejne fanaberie mojego syna Zbyszka? Jest tu najdłużej, bo chyba ksiądz wie, że bywał w wielu miejscach i próbował już różnych „doświadczeń duchowych”. Nawet na bilet do Kaszmiru mu dałem, ale wrócił po tygodniu. To taki wiek poszukiwań i podrygów, rozumiemy to obaj. Ale postanowiłem to już zakończyć.

Mam dla niego miejsce i przyjechałem, by go zabrać.
Niech się pakuje.

Mistrz uśmiechnął się i powiedział:

– A jego samego pan nie zapyta? On zaczyna się tu dobrze czuć. Owszem, gdy przyszedł, coś go nosiło i był jakiś taki zgnębiony. Nigdzie nie mógł wytrzymać dłużej i spokojnie, a potem wpadał w senność i totalne zubożnienie. Kiedyś jednak powiedziałem mu, by w końcu obudził w sobie męczyznę i wytrzymał noc w kaplicy – sam, jak na warcie czy na placówce. I wie pan, rano zastałem tam już innego chłopaka. Jakby przedtem żył poza sobą, a teraz wreszcie w siebie wstąpił. Nie wiem, gdzie go możemy teraz zastać, ale podejrzewam, że w kościele. Śpiewa tam ostatnio samotnie chorał anielski – tak sam z siebie...

Niechętnie ruszyłem za zakonnikiem. Kościół był pusty, a z chóru słycać było bardzo czysty głos śpiewający łaciński chorał. Zdziwiłem się, nie słyszałem jeszcze syna śpiewającego. Jednak bynajmniej się tym nie ucieszyłem.

– Anioła udaje, ekscentryk – mruknąłem.

I wtedy śpiew uciekł i tylko niesło się echo po nim i po odgłosie zamkniętych drzwi.

– Chodźmy do obejścia – szepnął mistrz – zastaniemy go teraz przy pracy.

Ruszyliśmy. Patrzyłem na stare, lecz bardzo zadbane mury, studnię, zabudowania i wzruszyłem ramionami, jakby czegoś nie rozumiejąc. Kiedy weszliśmy na teren gospodarstwa, oniemiałem. Zobaczyłem bowiem syna w jakimś okropnym fartuchu, dojącego kozę. Chłopak nawet nas nie zauważył, tak był tym zaabsorbowany i rozbawiony. Podszedłem i krzyknąłem:

– Zbyszk! Czy ci rozum odjęło? Rozumiem, śpiew, anioły, łacina, ale... koza? Hańba dla rodziny! Zbieraj się, uniwerek czeka.

Syn zamrugał oczami, zaskoczony moim pojawieniem się, ale szybko się opanował i powiedział:

– Tato, ja tu zostaję – na zawsze. Ja tu zacząłem żyć – naprawdę!

I uśmiechnął się tak, że teraz z kolei ja zamrugałem oczami, bo takiej twarzy u syna nie widziałem. Jednak odwróciłem wzrok, zakląłem i rzuciłem w stronę mistrza:

– To sekta jakaś, pranie mózgu, syna mi w obłąd wpędziliście!

I ruszyłem w stronę parkingu. A syn oparł czoło o brzuch kozy i śpiewał cicho, już po polsku, coś z piosenki Cohena: „Pan Jezus był żeglarzem, gdy przechadzał się po wodzie (...). Zdradzony, niemal ludzki (...). Tak byś za nim powędrował, powędrował gdzieś na oślep (...) bowiem dotknął twego ciała myślą swą...”.

Wsiadłem do samochodu, bo z każdym krokiem nogi mi się coraz bardziej pętały. Odjechałem kawałek, tylko tak, żeby mnie nie widział roześmiany mistrz nowicjatu i stanąłem pod drzewem. Spiesznie wyciągnąłem smartfona i odszukałem wszystkie pierwsze maile od Zbyszka, a potem już od jego kolegi. Czytałem, czytałem aż trudno mi było patrzeć na ekran, bo nie widziałem już liter. Rozmazywał mi je wiatr, a może i łzy przeszkadzały w czytaniu, ale nie chciałem się do tego przyznać...

W klasztorze byłem niespodziewanie krótko. Nie wiem właściwie dlaczego. Siedziałem przy szklance wody mineralnej przy jakimś przykawiarnianym stolicku. Przeżywałem swoją „klęskę”, chociaż było mi ciepło na

sercu! Napisałem do Zbyszka: „Szczерze Ci gratuluję! Żyj naprawdę.”.

Później długo rozmawiałem z Haliną, moją pierwszą żoną, mamą Zbyszka. Wszystko wiedziała, jest „w kursie”. Bardzo się cieszy, że Zbyszek znalazł swoje właściwe miejsce na ziemi, że jest szczęśliwy. Obiecała mi, że prześle informację o ślubach wieczystych Zbyszka. Może będę mógł przyjechać? Przyrzekłem solennie, że stanę na głowie, żeby tak się stało! Mój smartfon działał już na ostatnich obrotach. Wstałem od stolika i poszukałem ładowarki, a Halina, gdy się już żegnaliśmy, szepnęła na koniec:

– Tomku, dużo nerwów sobie oszczędzisz, gdy będziesz pamiętał o tym, żeby czytać aktualne informacje.

W lokalu było całkiem przytulnie, ładowanie miało trochę potrwać, więc zamówiłem sobie zwykły, polski obiad: zupę pomidorową, kotlet schabowy, ziemniaki z cebulką i buraczkami zasmażanymi z jabłkiem, i kompot z czereśni. Na koniec – kawa i lody, pewnie nie takie, jakie serwują w moim hotelu, ale i tak wszystko było pyszne!

Do Elwiry napisałem tylko: „Pierwsza sprawa załatwiona. Jutro jadę do rodziców, pozdrawiam.”. Ale do rana nie przeczytała tej wiadomości. No cóż, obowiązki!

Tej nocy spałem w hotelu o wiele lepiej. Co prawda wrażenia mijającego dnia mocno mnie nadwyrężyły, ale po drodze postanowiłem sobie, że przed snem przeczytam wszystkie wpisy dotyczące losu rodziców. Niestety nic z tego nie wyszło. Odświeżyłem się po podróży i tak mnie zmogło, że chciałem się przynajmniej trochę zdrzemnąć. Wtuliłem się w poduszkę, już mi się godziny poplątały, a tu budzę się, a na zegarze w łazience była siódma z minutami! To już rano! Wczorajszy obiad dawno strawiłem. Trochę za wcześnie na restauracyjne zamówienie, pomyślałem i automatycznie zajrzałem do lodówki stojącej przy moim krześle w kuchence. A tam – szaleństwo! To była zapowiedziana kolacja! Ze zmęczenia nie zauważyłem po powrocie dyskretnie zatkniętej karteczki: „Smacznego”!

Najpierw wypilem chyba ze dwa litry wody mineralnej, potem zjadłem te przysmaki i... znowu się zdrzemnąłem. Około jedenastej obudziło mnie tak jak wczoraj, dyskretnie pukanie i kelner zostawił śniadanie!

Jeszcze skubnąłem to i owo, i znów około południa ruszyłem w drogę, do rodziców. Miało być około czterystu kilometrów, ale tak, jak to u nas bywa – objazdy, mijanki i tym podobne „ułatwienia” przedłużyły drogę.

Sprykrzyły mi się już widoki lub ich brak, bo duże odcinki dróg były osłonięte tablicami albo płytami dźwiękoszczelnymi. No cóż, toć to też Europa! W radio, jak to kiedyś mówiła Halina, same wyjce. Nie zabrałem swoich ulubionych wędrownych kawałków, myślałem, że tu wszystko w porównaniu ze Stanami będzie blisko. A tu czas mijał. W końcu nastawiłem stację dla dzieci, zespół młodzieżowy śpiewał całkiem, całkiem; chyba jakieś przeboje z moich młodych lat. A gdy skończył, spikerka zapowiedziała historyjkę dla najmłodszych słuchaczy: „Serce jak złoto”. Miły, dziewczęcy głos rozpoczął...

Nad rzeką, wśród kilku starych wierzb, mieszkał mnich pustelnik, który za przyjaciół miał samotność, książki i sroki.



4780360

Kiedyś jedna ze srok pokazała mu w dziupli wierzbowej spory mieszek złotych dukatów. Mnich położył dłoń na wierzbie i westchnął ku niebu:

– Boże, spraw, aby to złoto trafiło do kogoś, kto szanuje ojca i matkę.

Usłyszał to przyczajony nieopodal łotrzyk i ujrzał zdumiony, jak ta wierzba wpada do wody i płynie z prądem. Ruszył więc za nią, medytując nad swoim dziwnym sercem – na poły okrutnym, na poły czułym. Kochał złoto, ale i marzył, by mieć serce jak złoto. Za płynącym pniem trafił pod most, na którym stali poborcy

opłat, a pod nim pracowali jacyś ludzie, którzy przyciągnęli żerdziami pień, chcąc go sprzedać. Nagle napatoczył się kupujący – poczciwy szewc – który uradowany niską ceną załadował pień na wóz i ruszył do domu. Łotrzyk za nim, prosząc o nocleg w jego domu. Szewc się zgodził, a gdy zaczął rąbać drwa, z pnia posypały się złote dukaty. Łotrzykowi zaświeciły się oczy, a szewc rzekł:

– To pewnie znak od Boga, że mam się podzielić z tobą. Bierz.

Ale w łotrzyku odezwała się ta dobra połowa serca i powiedział:

– Niebo pewnie chce wam za coś wynagrodzić. Zresztą, macie rodzinę, a ja jestem sam. Nie chcę złota. Przenocuję i ruszam dalej.

I zaraz przeklął pod wąsem tę swoją dobrą stronę serca. A gdy szewc wyszedł kupić coś do jedzenia, łotrzyk wszedł do izby z kominkiem, chcąc sam się podzielić złotem. I wtedy poczuł mokro pod oczami, bo przy kominku z palącymi się wierzbowymi drwami siedziała para staruszków pomarszczonych jak wierzbowa kora, z

włosami białymi jak śnieg, trzymali się za ręce. Byli to rodzice szewca.

Kiedy łotrzyk zaczął się usprawiedliwiać, usłyszał od nich, jak dobrego mają syna. I wtedy dobra strona serca szepnęła mu: „Tak, ten człowiek naprawdę szanuje starych autorów swoich dni”. Ale zaraz ta zła strona zaczęła w nim przeklinać jego rozczerwanie...

Szewc wrócił i wziął się za pieczenie chleba, a do jednego bochenka dyskretnie wsunął garść dukatów. Zjedli razem dobrą kolację, a w nocy, gdy wszyscy spokojnie spali, łotrzykowe serce obracało się raz w jedną, raz w drugą stronę.

Rano szewc obdarował go na drogę bochenkiem chleba. Kiedy łotrzyk wszedł na most i zażądano od niego opłaty, oddał zamiast niej ów chleb. Godzinę potem poborcy przyszli do szewca po buty, mówiąc:

– Ty masz dzieci, żonę i starych rodziców, więc weź ten chleb, bo nie masz go za dużo.

I podczas kolacji szewc odnalazł w nim ową garść dukatów dla łotrzyka.

Gdy głośno zamilkł, była chwila ciszy, po czym ktoś dorosły powiedział coś a'la podsumowanie.

Ile jest w tobie z człowieka, powiedz... Jak zmierzyć to, sprawdzić, dowieść? To stare baśnie rysują wyraźnie różnice między człowiekiem i bestią, ucząc człowieczeństwa. I one odkrywają czasem w bestii człowieka, którego przebudził ktoś tego miana godny.

Chyba tylko wobec starych rodziców (jacykolwiek by nie byli) można wykazać się zapomnianymi już cnotami, takimi jak: wspaniałomyślność, hojność, wyrozumiałość, cierpliwość, wielkoduszność, wdzięczność... Zamiast podążyć za modą na obwinianie swoich rodziców za wszystko i wykazywanie im, jak zbędnym i kłopotliwym są ciężarem. A idąc za morałem baśni – to, co się ma (lub nie ma) dla rodziców, odnajdzie się (lub nie) u swoich dzieci i wnuków.

No, no, pomyślałem z łezką w oku. A jak to będzie u nas? Chciałem zadzwonić do pani Pauliny i zapowiedzieć swoją wizytę, a tu – masz ci los, zapomniałem zabrać smartfona z hotelu. Może został w pokoju albo na ladzie w recepcji? I tak teraz się tego nie dowiem, a czasu coraz mniej. Trudno, będzie niespodzianka!

Niestety zastałem zamknięte na głucho drzwi... Chodziłem wokoło domu, pukałem, wołałem, a tu cisza!

W końcu, gdy postanowiłem przejść się do „centrum”, do takiego, jakie pamiętałem, zza firanki w oknie naprzeciwko wychyliła się głowa pani Wojciechowskiej.

– Nie ma pan tu czego szukać. Pani Jadzia zmarła gdzieś trzy tygodnie temu, a pan Zygmunt leży w śpiączce w szpitalu w Miastowie. Pani Paulina nie ogarniała już od dawna wszystkiego, dziadkowie robili, co chcieli. Pisała do pana, dzwoniła, ale pan nie odpowiadał. Aż gdzieś miesiąc temu nie zakręcili gazu, woda z kipiących ziemniaków zalała ogień, ale gaz się do rana ulatniał. Pani Paulina wezwała rano pogotowie i... jest tak, jak mówiłam.

– Zapomniałem telefonu z hotelu, mogłaby pani zadzwonić do pani Pauliny i powiedzieć, że tu jestem, może przyjedzie? – poprosiłem cicho.

– Wątpię – odrzekła sąsiadka. – była bardzo rozżalona na pana. Mówiła coś takiego, że jeżeli nie miał pan czasu na przeczytanie krótkiego SMS-a, to widocznie to pana nie interesuje...

Podziękowałem sąsiadce i powoli poszedłem na cmentarz. Na mamy grobie leżała sztuczna wiązanka z

białych chryzantem, krzyż się trochę przechylił, pewnie po jakiejś ulewie, bo ziemia tam licha...



1334809

Gdy wróciłem do hotelu, pani z recepcji od razu wybiegła, żeby mi wręczyć zapomnianego smartfona.

– Zostawił go pan tutaj. Pilnowałam cały czas jak oka w głowie! Dzwoniła parę razy jakaś pani Elwira i tyle.

– Dziękuję, miła pani! Ale chyba nie będzie mi na razie potrzebny. Muszę najpierw „poboksować się” sam ze sobą!

Tolerancja informacji a brak serca

Łagodne słowo gniew uśmierza

/Sławian Trocki/

Szłam przez ogromne pole, na którym kładły się kłosy dorodnej pszenicy i patrzyły na mnie, jakby wołając:

– Jesteśmy już gotowe! Weź nas i przemień w smakowity chleb!

Odezwałam się wtedy, że nie jestem żniwiarzem, że to pole nie należy do mnie, a właściciela nie znam. Ale z pewnością wkrótce nadejdzie i rozpocznie żniwa!

– Jeszcze trochę poczekajcie, złapcie słońce na ostatnie kłosy i...



Nr zdjęcia: 6536039

– Gośka! Gośka! Co ty wygadujesz? Jakie słońce, jakie kłoso? Jest dopiero początek lipca. Gośka, Gośka, obudź się wreszcie! Gośka!

Uchyliłam powieki i od razu wpadłam w szarą rzeczywistość lipcowego poranka. Za oknem było wcale nie lipcowo. Padał deszcz, bębnił w szyby jakby to był już co najmniej październik. Była szósta trzydzieści, najwyższy czas, żeby się zwlec z łóżka, ogarnąć i pomaszerować na osiem godzin do biura. A tam – jak każdego dnia – papiery, komputery, papiery, komputery, papiery...

– Gośka! Wstałaś? Bo ja zaraz wychodzę! Dzisiaj jadę z szefem do Krakowa. Mamy tam zaplanowaną, ale ściśle tajną serię kontroli w małych pizzeriach i fast foodach. Dostaliśmy anonim, że ktoś się rozchorował po zjedzeniu pizzy z pieczarkami i mozzarellą, ale szef woli dmuchać na zimne. Ciężki dzień przed nami! Najpierw ze trzy godziny jazdy, potem kontrole i... w domu będę bardzo późno. No to trzymaj się zdrowo! Dzieciaki do mnie nie pisały, do ciebie pewnie też nie, prawda? Co innego im w głowie na tych koloniach!

– To jedź z Bogiem! – zdołałam tylko powiedzieć i – już go nie było!

I tak u nas, jak zwykle – jak każdego dnia. Gienek ma chociaż ciekawą pracę jako szef w ministerstwie. A ja? Gdyby nie wakacje, to trójka naszych dzieciaków pętałaby się tu, marudziła, że zamiast sera chcą szynki, zamiast chleba – bułkę, zamiast paszтетowej – ser, zamiast szynki – bułkę... Oj, coś mi się tu pokręciło, ale – tak na pewno byłoby! Na sto procent! A nawet na dwieście! W końcu zjadłby jednak każdy to, co dostał, trzy razy się oblizał, zaczął pakować plecak, szukać karty rowerowej, czepka na basen, adidasów na biegi... I gdy przyszyłabym wiszący na strzęcie guzik, znalazłabym kaptcie i zeszyt do polskiego, cała trójka wyruszyłaby do szkoły stojącej na szczęście niedaleko naszego domu. Gdyby nie wakacje...

Ale wakacje trwają. Nawet deszcz się uspokoił i została póki co szarówka, ale może i słońko wyjdzie zza chmur. Czas, który zwykle kurczył się błyskawicznie, teraz był długi i jakiś taki – nijaki!

Czy my nasze dzieci dobrze wychowujemy? Czy to chodzi o znalezienie kaptcie i zeszytu do polskiego, czy

jeszcze o coś więcej? Jednak to nie czas na takie dogłębne rozważania. Trzeba się zbierać do biura...

Nie doszłam tego dnia do pracy! Nie ja jedna, dodam na usprawiedliwienie. Okazało się, że w wieżowcu obok tego, w którym jest moje biuro, ktoś podłożył bombę. I większość ulic wokół zostało zamkniętych, aż do wyjaśnienia tego „przypadku”. Ale przypadków nie ma! Jeden telefon – i setki ludzi ma dziś wolny dzień! Ja też!

Napisałam dwa krótkie SMS-y – do Gienka i do dzieciaków, że nic mi nie grozi i – widząc, że nie zapomniałam tym razem karty płatniczej, postanowiłam... zrealizować swój sen! Kupiłam trochę wałówki i – w drogę! Tyle godzin przede mną!

Pogoda zrobiła się całkiem znośna, słońko zaczęło coraz śmielej wyglądać na świat! Pół godziny metrem i – już jestem poza miastem! I mam czas! Czas dla siebie! Nikt na mnie nie czeka, nie pogania mnie, nie strofuje. Super! Nie pamiętam, żebym miała tyle czasu, i to zniecka!

Przeszło dwie godziny chodziłam przez lasy, pola i łąki. Było pięknie! Zrobiło się jednak gorąco, zbliżało się południe. Rozbolały mnie nogi, zaczęłam rozglądać się za

jakimś lokum. I prawdę mówiąc, było mi już jakoś dziwnie, że tyle czasu nic nie robiłam! Bo przecież w łazience leży sterta brudów do prania, w suszarni – druga sterta wypranej już bielizny – do prasowania, w kuchni – kosz czereśni, z którymi trzeba coś zrobić. W salonie miałam zdjąć firanki i umyć okna przed powrotem dzieciaków, bo przy nich to żadna robota, a w piwnicy...

Nie, dosyć! Mam dziś wolny dzień! Koniec rozważań! Zaszłam w końcu do małej przydrożnej knajpki, w której prym wiodło kilku podchmielonych piwiarzy, ale na szczęście nie byli mną zbyt zainteresowani.



406884

Senna, brzydka jak noc barmanka przyniosła mi kawę i dwa hamburgery oraz hot doga z parówką.

– Nic innego nie mamy – powiedziała szczerze.

– Nie szkodzi, to mi smakuje – odpowiedziałam grzecznie, chociaż jadałam w życiu lepsze przysmaki.

Ale tak naprawdę, ten wikt był całkiem, całkiem... jak na letnią wycieczkę.

Już miałam się zbierać, a tu przyszedł SMS od Gienia, że muszą zostać w Krakowie jeszcze ze dwa dni, bo... Nie czytałam tych wyjaśnień, po co? Muszą to muszą i już! A ja? Może...

Moje rozważania przerwał nagle jakiś bliżej nie zdefiniowany hałas! Hałas, to mało powiedziane, to był łoskot, krzyki, odgłosy uderzeń, tłuczenia szkła... Ze środka knajpki wytoczyło się dwóch nietrzeźwych starszawych facetów i zaczęło tłuc się niemiłosiernie na oczach kolegów i przypadkowych widzów, którzy kibicowali jednemu i drugiemu, zagrzewając do walki!

Chyba ktoś zadzwonił na policję, bo nagle odezwał się sygnał syreny i pod knajpkę podjechał radiowóz. Chciałam się dyskretnie usunąć z placu boju, ale niestety nie udało mi się. Okazało się bowiem, że policjant to...

syn jednego z tych „wojowników”. Stał jakby na bacność przed nimi i zawołał głosem bardzo zmartwionym:

– Tato, zawsze mi mówiłeś, że nie wolno pić! Wcale nie wolno! Wcale! A ty, co? Zrobiłeś sobie z kumplem libację?! I zainkasowałeś jeszcze parę sińców! I to ma być ta twoja tolerancja informacji?

Po czym bez kłopotu założył kajdanki jednemu i drugiemu, wetknął ich do samochodu i rzucił do nas:

– Proszę się nie ruszać, za chwilę wracam i będziecie przesłuchiwać! Pani też! – Pokiwał w moim kierunku.

Wrócił rzeczywiście bardzo szybko i pewnie dlatego, że wyglądała na trzeźwą, zaczął mnie przesłuchiwać jako pierwszą. Niestety nie umiałam odpowiedzieć na pytania, bo stawiał je tak, jakby wymordowano tu co najmniej pół wioski. W końcu stwierdziłam, że nie mam czasu, bo ja „nietutejsza”.

Podpisałam jakiś formularz i pod pretekstem wizyty w toalecie uciekłam do wnętrza knajpki. Była pusta, bo wszyscy wylegli na zewnątrz, żeby przyglądać się przesłuchaniom. Cicho grało radio na boku szafki z kieliszkami. Przysiadłam, żeby chwilę odreagować, a tu

zapowiedziano ciekawe wystąpienie jakiegoś profesora na temat... czasu!

Nikt nie jest aż tak zajęty, żeby nie miał czasu na rozpowiadanie wszem i wobec, jak bardzo jest zagoniony – powiedział Robert Lembke.

I ten profesor kontynuował...

Powyższa wypowiedź skłania do krytycznego spojrzenia na odwieczne ludzkie uskarżanie się na brak czasu.

Najpierw mała korekta. Otóż istnieje pewna liczba ludzi, których życie tak obarczyło obowiązkami, że naprawdę nie mają czasu, aby na chwilę przystanąć i głębiej odetchnąć. Ale ci w reguły nie uskarżają się na brak czasu, gdyż nie mają na to czasu.

Są i tacy, a jest ich dużo więcej, którzy są wiecznie zabiegani i cierpią na chroniczny brak czasu, ponieważ nie potrafią go sobie dobrze rozplanować, sensownie zorganizować i mądrze wykorzystać. Ci zawsze znajdują czas na narzekanie na brak czasu. A robić tego nie powinni, gdyż to właśnie do nich pasuje jak ulał stwierdzenie Seneki: „Nieprawda, że mamy za mało czasu, prawda natomiast, że za dużo go marnujemy”.



1173453

Istnieją w końcu i tacy, a jest to bodajże grupa najliczniejsza, którzy „nie mają czasu”, ponieważ brak im miłości. Ci utyskują na brak czasu najchętniej i najgłośniej, chociaż powinno odebrać im mowę, gdyż jest to kłamliwa wymówka.

Czas nie składa się tylko z godzin i minut, lecz również z miłości i woli; ma się mało czasu, gdy się ma mało miłości – pisał Aleksander Vinet. Dlatego gdy człowieka nachodzi ochota do użalania się na brak czasu, powinien on się najpierw spytać, czy jest to prawdziwy brak czasu, który można jedynie cierpliwie znosić, czy raczej

niepotrzebne zabieganie, któremu można przy odrobinie dobrej woli skutecznie zaradzić; czy wreszcie zasłona dymna dla braku miłości, nad którym to brakiem należałoby gorzko ubolewać.

Byłam poruszona tym wystąpieniem, bo nie wiedziałam tak od razu, do której grupy ludzi należę. Serce wskazywało mi na trzecią, wola się buntowała. Oj, muszę to przemyśleć! A może w tej wiosce są jakieś wolne miejsca na nocleg?

W radio toczyła się wartka dyskusja po tej krótkiej, ale konkretnej wypowiedzi. Jakaś pani pochlipywała, jakiś facet ją pocieszał, że w wieczności czasu się nie liczy.

Mimowolnie słuchałam, bo kątem oka widziałam, że radiowóz stoi nadal przed knajpką. I wtedy odezwał się jeszcze męski głos, który przedstawił się jako ksiądz Roman...

Im dalej w las, tym więcej drzew, tym trudniej o orientację, tym łatwiej się zagubić, tym trudniej drogę odnaleźć. A w życiu jak w lesie. Im obfitszy dopływ powierzchniowych informacji, im liczniejsze i skuteczniejsze możliwości formowania ludzkich poglądów, im więcej na jarmarku świata kuglarzy

żonglujących wprawnie półprawdami i ćwierćprawdami, im więcej w obiegu „niezawodnych” recept na udane życie i „rewelacyjnych” poradników szczęścia, im szybciej wychodzą z mody i ulegają zmianie teorie celu i sensu ludzkiego życia – tym większy ma człowiek mętlik w głowie, tym bardziej jest skolowany, tym trudniej mu we właściwym kierunku podążać.

Na drodze życia cenny jest każdy drogowskaz, gdyż nie posiadamy mapy. Sytuacja chyba uległa pogorszeniu, bowiem map na rynku aż nadto, tyle że fałszywych, w błąd wprowadzających, na manowce wiodących. Dlatego tym bardziej cenny jest ów nie mający sobie równych drogowskaz, jakim jest Jezus Chrystus. Dlatego pomocną i obowiązującą w życiu chrześcijanina jest reguła: Pytaj się we wszystkich sytuacjach: Co uczyniłby nasz Pan? I postępuj tak samo!

Pewną trudność w praktykowaniu tej reguły stanowi fakt, że wiele problemów współczesnego życia nie istniało przed dwoma tysiącami lat i nie wiadomo, jaką Pan przyjąłby wobec nich postawę. Istotnie nie wiadomo, ale tylko wtedy, gdy znajomość życia, działalności i nauki Pana jest fragmentaryczna i powierzchowna. Gdy jest ona

natomiast całościowa i dogłębna, wówczas wiadomo, jaką hierarchią wartości Pan się zawsze kierował; i wówczas ma się całkiem pewne wycucie tego, jak postąpiłby On w sytuacjach, o których nie ma mowy na kartach Ewangelii. I wówczas ma się instynkt kierunku, na którym i we własnym życiu można polegać.

– Dziękujemy za taką konkretną odpowiedź – powiedziała dziennikarka, zbyt szybko moim zdaniem, bo chyba bała się, że rozpocznie się następna wymiana poglądów.

Podziękowała profesorowi oraz osobom, które się wypowiadały i puściła jakiś „kacynjamer”, jak mawiała moja ś.p. babcia. Podeszłam do radia aby przyciszyć tę kaskadę dźwięków, a tu od drzwi rozległ się jakiś ciepły, przejmujący głos:

– Wszystkie szaleństwa pochodzą od demonów, z wyjątkiem szaleństwa miłości, prawda? Kochaj tych, których kochasz, lecz kochaj ich prawdziwie i mów im to. Zawsze przychodzi godzina, kiedy człowiek wyrzuca sobie, że kochał zbyt skąpo i że swej miłości nie śmiał wyznać drugiemu. Nie daj się śmierci, nie pozwól, aby jej czarna kotara oddzielała nas od Światła. Gorącym słowem

„Kocham” rwij, porwij na strzępy wszystko, co nas dzieli od Miłości. Kochaj tych, których nie kochasz, Miłość jest przykazaniem, a nie uczuciem. Jest ona aktem woli, jedynym aktem naprawdę godnym człowieka, aktem, w którym się wyraża całe istnienie. Pan jest Miłością i pragnie serca każdego człowieka na ziemi. Pozwól Mu kochać, pozwól Mu zawładnąć tobą, stań się pokornym instrumentem tego pragnienia i kochaj wszystkich ludzi, cały świat i wszystko, co się w nim mieści. Zdecyduj się kochać żarliwie. Ten, który nie zatracą się w miłości, jest stracony dla Miłości. Kochaj do zatury ciała i duszy. Szturmuj Boga na Jego własnym terenie: w obszarze miłości.

Głos umilkł, a ja powoli się odwróciłam. W drzwiach knajpki stał ksiądz i uśmiechał się do mnie.

– I co, zgadza się pani ze mną? Zresztą to nie są moje słowa, ale są interpretacją Pisma Świętego. To tym lepiej, jak pani sądzi?

– Szczęść Boże! Trochę dużo tych różnych mądrych słów na tę godzinę – wydusiłam.

– No, z pewnością. Ale pani Sandra, barmanka – dodał, widząc że tracę wątek – ale pani Sandra tylko tak sennie

wygląda. Wiem, że słucha wielu ciekawych audycji. A ja tu zaszedłem, żeby kupić wodę mineralną, bo mi się kończy, a upały znów nadchodzą. Pani nie stąd, prawda?

– Tak, z Warszawy. Tak mi się dziś trafiło, że mam wolny dzień i...

– I wybrała się pani na wieś? Super! A gdzie się podziała Sandra?

– Przesłuchuje ją policja. Była tu niezła awantura, może siedzą w radiowozie?

– To pewnie znów tata Staszka pobił się z kumplem. A Staszek musi to wszystko spisywać. Taka służba! Ale oni, jak to się mówi, mają się z Sandrą ku sobie, to nie będę im przeszkadzał. Przyjdę później.

– Ksiądz tak pięknie opowiadał o miłości! Może jeszcze ksiądz by coś dodał? Mamy z mężem trójkę dzieci, wszyscy w podstawówce, a teraz na koloniach. To wszystko, co tu usłyszałam, może do nich nie trafić. Może coś jeszcze – prosiłam usilnie. – Powinnam już wracać do domu, ale...

– No dobrze, ale odprowadzi mnie teraz pani na plebanię, to opowiem po drodze. A potem odwiozę panią na stację, bo chyba pani tu się trochę zagubiła, co?

– No tak, ale przede wszystkim bolą mnie już nogi, a tu szłam przez przeszło dwie godziny, to...

– To chodźmy! Otóż...

Pewien pasażer wsiadł do pociągu zadowolony, że tyle wolnych miejsc i ciepło w przedziałach. Wtulił się w kąt przy oknie, zamierzając w trakcie podróży przeczytać książkę. Jednak na najbliższej stacji zrobiło się tłoczno i do przedziału wsiadło kilka rozgadanych osób. Nie dało się czytać, a słuchać nie było czego. W takich chwilach jakoś trudno myśleć o ludziach jako bliźnich.

Potem ktoś wysiadł i na jego miejsce wtoczyła się istna góra palt, chust, szali i toreb – i to czarnych. Wystawała spod nich strasznie pomarszczona, trochę wiedźmowata twarz. I od razu zaczęła głośno, tonem złej prorokini, narzekać, jak to jest źle, coraz gorzej. Ktoś usiłował zaprzeczyć, rozjaśnić jakby ten złowieszczy cień jej słów, ale ona chyba nie nawykła słuchać. Przez wszystko jednak, co mówiła, przebijała skarga na los samotnej kobiety, zapomnianej przez dzieci i wnuki, kobiety, co to ma głodową rentę, jedzie się ogrzać do siostry, bo jej mieszkanie zdemolowali włóczędzy.



3030778

Siadła przy nim. Spodziewał się wręcz smrodu, ale nie... Może obawiał się zapachu biedy i nieszczęścia... Jak na ironię para studentów jadących na narty opowiadała sobie o wozach po świecie, o wysokich pensjach i urządzaniu się. Może ta starowinka chciała im wykrzyknąć swoje pokrzywdzenie przez los, państwo, dzieci, włóczęgów...? Ale oni patrzyli sobie w oczy, jakby tej ciemnej mary nie było.

W pewnym momencie kobieta zwróciła się do niego o jakąś poradę. Udał, że śpi. Czuł, że jest mu coraz ciasniej i duszniej. Na następnej stacji przesiadł się do innego, pustego przedziału. Odetchnął, wyciągnął książkę. Ale

staruszka przywędrowała za nim, pytając, czemu uciekł i czy się jej brzydzi. Niby zaprzeczył, ale jego mina mówiła co innego. A ona znów zaczęła jakby znajomym skądś cytatem: „Coraz więcej wkoło ludzi, o człowieka coraz trudniej”. Nie odzywał się, żeby zmęczyła się własnym gadaniem i może usnęła, bo on znów udął, że drzemie. A ona:

– Nie śpij pan tak, bo serca to i tak pan nie uśpisz. A jak uśpiłeś, to masz marniejszy ode mnie los. A w życiu więcej się dzieje niż w książce”.

Pierwszy raz spojrzął jej w oczy i zdumiał się, że jej oczy zupełnie nie pasowały do tych zmarszczek... Jakby były dużo młodsze. Kiedy nagle wyciągnęła rękę, by zamknąć mu książkę, odsunął się prawie z odrazą. I wtedy odrzuciła szal, ciężkie palto i... zerwała z twarzy pomarszczoną maskę. To była naprawdę piękna, młoda kobieta. Popatrzyła z politowaniem na jego zdumienie i rzekła zupełnie już innym głosem: – Następny człowiek nie zdał egzaminu z człowieczeństwa. A myślałam, że pan jest inny. Kiedy wyjąkał z trudem:

– Ale... dlaczego? Jaki powód tej charakteryzacji? Jakiś aktorski eksperyment? – odpowiedziała:

– Tak, jestem aktorką, wnuczką takiej staruszki, która niedawno zamarzła w pociągu. W rodzinie nie znosiliśmy jej tak jak ci pasażerowie, a potem zapomnieliśmy o niej. Prawdopodobnie tak się zachowywała, jeżdżąc w największe mrozy do swojej samotnej siostry. Jej śmierć wstrząsnęła mną i jakby za pokutę postanowiłam poczuć w tym przebraniu to, co ona czuła, gdy ludzie reagowali na nią choćby tak jak pan. Nie mamy serc, prawda, choć piękne książki czytamy...

Włożyła z powrotem maskę, okutała się, zebrała torby i wysiadła na stacji...

Dokładność informacji a przyjaciele

Słowo niebrzmiące czynem to wieża bez dzwonu

/Jadwiga Łuszczewska/

Siedziałem w poczekalni na lotnisku w Warszawie już stanowczo za długo! Dwie, trzy godziny? Zresztą nie ja jeden. Potężne śnieżycy zakłóciły na dobre ruch powietrzny chyba w całej Europie. I to w drugiej połowie marca. W ogrodzie kwitły wiosenne kwiaty, na tarasie przygrzewało słońce – a tu masz! Jak na złość, akurat wtedy, gdy przyszło mi lecieć do Stanów z serią wykładów – trach!



3077856

Zaprosił mnie tam mój przyjaciel, też fizyk, trochę dlatego, żeby mnie zobaczyć, pogadać jak Polak z

Polakiem, a chyba w drugiej kolejności, żebym poopowiadał studentom w Arizonie – jak to u nas jest, tak w ogóle, a w szczególności – jak się ma modna ostatnio coraz bardziej sztuczna inteligencja. Podszykowałem kilka gościnnych wykładów, dołączyłem rozważania natury teologiczno-moralnej i – w drogę! Mam jeszcze trochę wolnego, więc nic nie stało na przeszkodzie, oprócz tego parszywego śniegu! Oj, Karol, Karol, pomyślałem, jak pech to pech!

Zadzwoiłem do żony i pożaliłem się, ale krótko, bo czekała ją właśnie dość trudna operacja płuc. Taki nagły przypadek! Prosiła o westchnienie „do Góry”, żeby wszystko dobrze się skończyło. Potem wybrałem jednego czy drugiego kolegę, który jeździł do Stanów bardzo często. Pożalował mnie, radził cierpliwość, pocieszył, że to marzec a nie grudzień.

Zrobiło się bardzo późno i już nie śmiałem nikogo niepokoić. Co robić? Czekać? Rezygnować z lotu? Przebukować bilet, czy w tym zamęcie będzie to możliwe? Trudno! Idę coś zjeść do bufetu, bo od domowego, pożegnalnego obiadu minęło już sporo godzin, a po drodze może się dowiem czegoś konkretnego. A do tego nie

wiadomo właściwie, kiedy to się wszystko jakoś rozsypa...

Wracając z bufetu i dumnie dzierżąc w ręce okazałą bagietkę z wkładką, zobaczyłem na jednym ze stolików jakieś czasopismo. Złapałem pierwsze z brzegu i kupiłem jeszcze dużą kawę w automacie.

Głód minął, późna pora dała jednak znać o sobie, ale przecież nie będę tu spał! Muszę być na podsłuchu. Śnieżycy jakby trochę zmalała, ale inne kraje podobno zasypało na amen. Wziąłem więc gazetkę do rąk. Może będzie w niej coś interesującego?

I było! Bo oprócz wielu różnych reklam, znalazłem kilka stron tekstów o przyjaźni i przyjaciołach. Gdy się wczytałem, okazało się, że to są wybrane prace, które ludzie nadesłali na konkurs. Dobrze i to, pomyślałem, dowiem się może jeszcze czegoś ciekawego o przyjaźni. Co zrobić, by kontakty się nie urywały, by była ona żywa i wciąż silna.

Tytuł konkursu był prosty: „Dokładność informacji przy wykorzystaniu smartfonów”. I wyjaśnienie: „Czy wyniki odpowiadają pierwotnym zamierzeniom lub normom? Wykaż na wybranym przez siebie przykładzie”.

Sztuczna inteligencja to nie była, ale zabrałem się ochoczo do lektury.

W przyrodzie istnieje wiele interesujących form i pouczających zjawisk. I tak na przykład chrząszcz wodny, zwany popularnie krętakiem, posiada dwie pary oczu. Jedną do widzenia tego, co na dole, w głębi, pod wodą. Drugą do obserwowania tego, co się dzieje w górze, w powietrzu, na niebie. Człowiek też potrzebuje dwóch par oczu, aby obserwować wzrokiem ziemię i niebo, doczesność i wieczność, nieznanego i przyjaciela. I człowiek powinien robić z nich użytek jednocześnie, gdyż inaczej naraża się na niebezpieczeństwo.



5374227

Już wielki kaznodzieja francuski Lacordaire ostrzegał: „Bacicie, byście nie utracili rzeczy naturalnych, gdy szukacie ponadnaturalnych”. I słusznie. Człowiek bowiem, który zapatrzony jest jedynie w niebo, który nie poświęca żadnego zainteresowania ziemi, któremu obce jest wszystko co ludzkie, który usiłuje iść do nieba z pominięciem bliźniego, wcale się ową drogą na skróty do nieba nie zbliża.

Równie niebezpieczne, bo ograniczone i niepełne, jest wlepianie oczu tylko w ziemię, skupianie uwagi wyłącznie na doczesności. Przy takim zapatrzaniu się w świat można łatwo przeoczyć skarby, którymi należałoby się ubogacić na wieczność. Bowiem dopiero spojrzenie ponad świat jest tym jedynym, które nam pozwala dobrze zrozumieć świat. Dobrze zrozumieć – to znaczy odczytać ukryte w nim szanse, wezwania i możliwości.

Tylko dzięki podwójnej parze oczu, dzięki spojrzeniu, które ogarnia jednocześnie widzialną i niewidzialną rzeczywistość, pojmuje człowiek, że w doczesności zawarte są zalążki wieczności, że ziemski żywot jest nie tylko darem, lecz również zadaniem, że w przemijającym

czasie zawarta jest możliwość decydowania o ostatecznym przeznaczeniu.

I ta historia pomaga zrozumieć potrzebę przyjaźni. Gdy jeden z przyjaciół patrzy więcej do góry, drugi powinien czuwać i korygować jego decyzje i postanowienia. No i odwrotnie!

– Elżbieta

P.S. Oczywiście smartfony są tu z pewnością potrzebne!

Jedna z radosnych prawd brzmi: Bóg jest człowiekowi przyjacielem. Jezus nie tylko nazwał uczniów przyjaciółmi, lecz również traktował ich jak przyjaciół. Daje to i nam prawo do upatrywania w Nim przyjaciela oraz możliwość odwoływania się do tej przyjaźni.

Przyjaźń nie ogranicza się do momentów, w których nieodzowne jest okazanie pomocy lub konieczne upomnienie, bowiem „przyjaciel kocha w każdym czasie”. Na czym ta miłość na co dzień polega, pokazuje następująca wypowiedź H. Forda, amerykańskiego producenta samochodów: „Twoim najlepszym

przyjacielem jest ten, kto doprowadza do rozwoju twoje dobre właściwości”. Że za taką przyjacielską posługą kryje się miłość, można wyczytać w rozważaniach Ericha Fromma na temat sztuki miłowania. Otóż do podstawowych elementów miłości zalicza on również staranie się o to, by druga osoba wzrosła i się rozwinęła.

Wolą i pragnieniem Pana jest uświęcenie człowieka. W uświęceniu chodzi właśnie o rozwój tego, co w człowieku dobre, o jego wzrost do ludzkiej pełni i chrześcijańskiej dojrzałości. I gdy ktoś jest dosyć uważny, dostrzeże, ile starania i trudu poświęca Pan tej sprawie, jak pomysłowy jest On w tej miłości oraz ile dowodów otrzymujemy codziennie tak właśnie rozumianej przyjaźni. Przyjaźń jest więc nieodzowna. Czy przy pomocy smartfonów? A czemu nie? Kopalnia wiedzy, jaką daje nam smartfon, to przecież potężna baza, która nie jest często wykorzystywana.

– Jan

Prawdziwa przyjaźń jest w coraz większej cenie, lecz nie tam – tak sędzę – gdzie w grę wchodzi pieniądze.

Otóż Maks długo pracował na swój sukces, a więc i na rosnące w bankach konta. Bogacąc się, zauważył, że ma

coraz więcej wrogów, ale i przyjaciół. Tak sądził, że przyjaciół, ale zawiódł się na wielu z nich, kiedy przeżył zawał serca i prawie nie miał szans na dalsze prowadzenie swojej świetnie prosperującej firmy. Maks jednak, wbrew prognozom, stanął na nogi, i to razem z firmą. Trzeba było nawet podjąć bardzo korzystne wyzwanie. Ale miał on teraz większy dystans do ludzi. Wezwał więc najbliższych współpracowników i powiedział, że czas choroby trochę zmienił jego podejście do wielu spraw oraz do samego siebie, dlatego poprosił ich, aby każdy powiedział, co naprawdę o nim myśli. W zamian za to obdaruje każdego klejnotem z kolekcji, którą udało mu się korzystnie nabyć. To, co usłyszał, można byłoby porównać z koncertem chóru na jego cześć. Wychwalali go razem i osobno, a milczał jedynie – polecony mu niedawno przez ojca – kuzyn Erazm, pracujący na jakimś niskim szczeblu.

Kiedy Maks zwrócił się do niego z prośbą i klejnotem w dłoni, ten odpowiedział, że kupiona prawda nie jest prawdą. Wtedy Maks rzekł, że chciałby usłyszeć prawdę całkiem darmo. Erazm odrzekł:

– Ma pan sporo wad, które wszyscy widzą, ale nikt panu o nich nie mówi. Każdy ma wady, ale te pańskie

mogą wpłynąć na losy wielu ludzi, na ceny, na podatki, na życie przyjętych i zwolnionych, także ich rodzin, a nawet na stosunki międzynarodowe. A teraz jeszcze ta rozrzutność z tymi klejnotami i bankietem, który zaraz się odbędzie. Czy pan się z tym liczy? Myślę, że jedno ostrzeżenie od Boga miał pan niedawno... Ja na pana miejscu patrzyłbym na wszystko poważniej i uważniej.

Maks stał milczący. Potem kazał rozdać klejnoty współpracownikom i kątem oka ujrzał, że Erazm wyszedł z sali. Jeszcze tego wieczoru kilku obdarowanych przyszło donieść mu, że musi zaskarżyć tego, kto mu sprzedał klejnoty, bo chyba wszystkie są fałszywe.

– Tak jak wasze prawdy o mnie dziś wypowiedziane – odpowiedział.

Potem zadzwonił do Erazma z propozycją objęcia funkcji wiceprezesa, pod warunkiem, że będzie mu mówił prawdę, choćby najbardziej przykrą.

Firma prosperowała dalej dobrze i przyniosła milionowe zyski. Jednak potem był drugi zawał, a trzeci przeprowadził Maksa na tamten świat. Ledwie ogłoszono jego zgon, a już ludzie pękali z ciekawości, kto odziedziczy te miliony Maksa, bo nie miał on rodziny. Na drugi dzień,

jeszcze przed jego pogrzebem notariusz ogłosił odczytanie testamentu Maksa.



229778

Zgromadziły się setki pracowników, kolegów, przyjaciół Maksa i wszyscy byli chyba bardzo zawiedzeni, gdy usłyszeli dość chłodne podziękowanie, polecenie wypłacenia premii i prośbę, aby ci, którzy naprawdę darzyli jakimś uczuciem Maksa, przyszli na jego pogrzeb, który odbędzie się nazajutrz... o czwartej rano.

Na pogrzeb przybyli tylko Erazm i czterech przyjaciół Maksa. Może to była wina jesiennej aury, że przyszli tylko oni? Po zamknięciu grobu przyszedł notariusz, by

odczytać drugi testament Maksa z prośbą o równy podział dużego spadku między tych, którzy na ten pogrzeb przyjdą. W ten sposób jeszcze raz sprawdził swych przyjaciół.

Mało jest odważnych, by powiedzieć prawdę tym, od których wiele zależy, ale jeszcze mniej jest odważnych wśród tych drugich, by taką prawdę chcieć przyjąć. Stąd mamy coraz więcej klakierów, kumpli, partnerów, ale przyjaciół coraz mniej...

– Tadeusz

Drodzy Czytelnicy! Oto obrazek z ubogiej dzielnicy. Po nasłonecznionej stronie ulicy stoi chłopiec i gromadzi w smartfonie słoneczne promienie. Potem kieruje wiązkę światła w okno na poddaszu po drugiej stronie ulicy. Zapytano go, dlaczego to robi. Odparł:

– W pokoju za tamtym oknem leży mój chory przyjaciel. Posyłam mu trochę światła, a z nim także odrobinę radości.

Ten chłopiec może symbolizować Dobro. Ono bowiem posiada wiedzę o całej jaskrawości, mocy i pięknie tego świata, które okrywa niczym płaszczem. Ono zamieszkuje światłość niedostępną, a zatem może wiarygodnie

zaświadczyć o tej świetlistej i jaśniejącej sferze rzeczywistości. Ono skupia w sobie całe to tajemnicze, przepotężne i niedostępne światło i kieruje je do tych, którzy mieszkają po zacienionej stronie życia, w krainie cienia, w dzielnicy półmroku, w izdebce niepewności i niewiedzy.

Ten darowany nam „kleks” jasności głosi, że poza chmurami istnieje rzeczywistość bez mroku, bez bólu i bez śmierci; że pełna jasność nie jest wymysłem marzycieli; że zalana słońcem druga strona ulicy nie jest czczą obietnicą; że z tamtej strony przyjaciel przesyła nam znak, zachętę i zapewnienie. Dobrze by było pamiętać o tym wszystkim, gdy ten świetlisty „zajaczek”, który dociera do nas z drugiej strony ulicy, wtargnie do naszej komnaty na poddaszu, roztrąci półmrok, zatańczy na ścianie, zapuka do serca i zaglądnie nam w oczy.

– Barbara

Istnieją ludzie, którzy samozwańczo pełnią funkcje doradców Pana Boga, którzy bezustannie udzielają Mu wskazówek. Jakie są tego wyniki, ukazuje opowiadka o

dwóch mnichach, którzy się zaprzyjaźnili. Obydwaj zasadzili po drzewku oliwnym.

– Panie – prosi pierwszy mnich – ześlij ożywczy deszcz, aby moje drzewko mogło zapuścić korzenie.

I Pan wysłuchał prośby. Teraz trzeba mu słońca, pomyślał pobożny mnich i poprosił:

– Panie, niech rozchmurzy się niebo.

I ta prośba została spełniona. Wyszło zza chmur słońce i ogrzało wilgotną ziemię.

– Obecnie przydałoby się trochę mrozu i chłodu, aby wzmocniła się kora – zwrócił się mnich do Boga.

I tym razem modlitwa nie pozostała bez echa. Drzewko jednakże obumarło. Smutny mnich poszedł do celi współbrata i zaczął się uzalać:

– Twoje drzewko jest świeże i dorodne, a moje uschło, choć tak się o nie starałem.

Wówczas drugi mnich powiedział:

– Ja powierzyłem swoje drzewo rękom Boga. Pomyślałem sobie bowiem, że Stwórca wszystkich rzeczy, który stworzył i drzewa, już sam wie najlepiej, co jest dla niego najlepsze. Nie udzielałem rad, modliłem się jedynie: Ojcze, zaopiekuj się nim!



529619

Pobożny mnich albo nie doczytał, albo już zapomniał wskazania z Księgi Przysłów (3,5): „Z całego serca Bogu zaufaj, nie polegaj na swoim rozsądku...”. Ale czy tylko on? Ileż to własnoręcznie posadzonych drzew uschło, ileż wysiłków poszło na marne, ileż pięknych planów obumarło w czasie realizacji, ileż przedsięwzięć uwiędło? I to jedynie dlatego, żeśmy za bardzo zaufali własnemu rozsądkowi, żeśmy polegali wyłącznie na własnych siłach, kalkulacjach i sprycie. Tylko dlatego, że nawet do głowy nam nie przyszło poprosić: „Panie, zajmij się tą sprawą, zaopiekuj się tym przedsięwzięciem, zatroszcz się o mnie!

Panie, daj temu drzewu wzrost, dojrzałość i owocowanie. Ty bowiem znasz prawa wzrostu. Ty wiesz, co dla niego i kiedy najlepsze”. Tylko dlatego, że nie podzielamy przekonania św. Augustyna, który w jednym z listów pisał: „Bóg wie lepiej od człowieka, co jest potrzebne w danym momencie; co i komu trzeba zesać, przydać, zabrać, cofnąć, pomnożyć lub pomniejszyć”. Tylko dlatego, że gdy nawet powierzamy coś Bożej opiece, to robimy to połowicznie, to próbujemy przyspieszyć bieg wydarzeń, to wtrącamy nasze trzy grosze, to usiłujemy Bogu podpowiadać, doradzać, a czasem i wymuszać. Zaufanie zaś oznacza: pozostawić Mu wolną rękę; zawierzyć Jego mądrości; uznać, że On wie lepiej, choćby nawet mądrość Jego rozstrzygnięć nie była od razu jawna i oczywista, choćby była okryta tajemnicą.

– Józef

Pewna chińska legenda opowiada o wdowie, której umarł syn. Zrozpaczona kobieta zwróciła się do świątobliwego starca z prośbą o pomoc i pociechę. Starzec kazał jej znaleźć dom, którego mieszkańcy nigdy nie zaznali nieszczęścia i przynieść zeń ziarenko gorczycy.

Ziarenko to miało być cudownym lekarstwem na smutek. Kobieta udała się na poszukiwanie. Ale już w pierwszym domu usłyszała o tylu i tak wielkich nieszczęściach, że pozostała w nim jakiś czas, aby pocieszać jego mieszkańców. Kobieta latami szukała domu bez bólu i cierpienia, ale wszędzie napotykała ludzkie nieszczęścia i wszędzie udzielała pociechy. Czyniąc to zapomniała nie tylko o uzdrawiającym ziarenku, lecz również o swojej rozpacz.

Mądry starzec czyni genialne pociągnięcie: wysłał zrozpaczoną kobietę w świat, pomiędzy ludzi. Wiedział bowiem, że zagraża jej wielkie niebezpieczeństwo odseparowania się od innych, zamknięcia się w sobie, zaryglowania się we własnej rozpacz, ciągłego przeżywania własnego smutku, zastygnięcia we własnym bólu. Starzec znalazł też inne niebezpieczeństwo, jakie czyha na człowieka, który zajęty jest wyłącznie własnym nieszczęściem. Otóż człowiek ten często nie interesuje się losem bliźniego, staje się głuchy na jego bolesne doświadczenia i ogranicza się – zasmakowawszy w odbieraniu wyrazów współczucia – do bezustannego opowiadania wszystkim naokoło własnych nieszczęść.

Starzec – wysyłając kobietę na poszukiwanie – wiedział, że będzie musiała zadawać pytania, dowiadywać się, słuchać wyznań innych ludzi. I liczył na to, że zrozpaczona kobieta – spotykając co krok tragedie i nieszczęścia bliźnich – pośpieszy z pomocą i pociechą, a czyniąc to, sama wydostanie się z zakłętego kręgu własnego smutku. I tak też się stało: sama doznała pociechy.

Taką dobroczynną konsekwencję i skutek ma nie tylko pocieszanie smutnych, lecz każda forma wyświadczonych dobra, miłosierdzia i miłości. W symboliczny sposób opisuje to historia dwóch alpinistów.



476613

Otóż przedzierając się przez śnieżną burzę, dostrzegli oni leżącego na stoczu człowieka. Jeden z alpinistów poszedł dalej, uważając, że nie jest zobowiązany do niesienia pomocy, jeśli sam może przy tym zginąć. Drugi zszedł na dół, wziął ofiarę na plecy i zaczął się z tym ciężarem wspinać do góry. Wysiłek ten rozgrzał go, ciepło jego ciała udzieliło się skostniałemu z zimna człowiekowi. Po drodze minęli zwłoki pierwszego alpinisty, który zmęczony ułożył się w śniegu i zmarzył. Alpinista zrozumiał wówczas, że ratując bliźniego, uratował siebie.

Istnieje zatem powracająca fala dobra. Człowiek pełniący dobro pozostaje w sferze jego oddziaływania. Dobro samo wywdzięcza się swemu sprawcy. Pocieszając, sam doznaję pocieszenia. Miłując, sam rosę w miłości. Niosąc światło w mrok, powiększam jasność w sobie. Pomagając innym, pomagam sobie. Niosąc cudze brzemię, staję się silniejszy i łatwiej dźwigam swoje własne.

– Nikodem

P.S. Na szczęście mój telefon działa! Mogę więc na odległość czynić dobro, podtrzymywać na duchu, nieść nadzieję...

Gdy dzieje się coś złego to... opuścił cię Anioł Stróż. Niektórzy twierdzą, że widzieli swojego Anioła Stróża. Agata na przykład. Osoba pozbierana i rozsądna do przesady, a opowiada, że gdy jej synek był operowany, o ona bliska obłądu tkwiła na zimnym szpitalnym korytarzu, pojawiła się nagle pani w średnim wieku. Przysiadła się, uśmiechnęła, zapewniła, że wszystko będzie dobrze, że ona też kogoś chorego odwiedza, i zaproponowała modlitwę. Potem odeszła, a o świcie, gdy wiadomo było, że syn przeżyje, Agata szukała milej pani. Nikt jej nie znał. Agata jest malarką, więc namalowała twarz tamtej kobiety i zawiesiła nad łóżeczkiem dziecka.

Monika przyznała się, że kiedyś chciała zabić się z miłości. Myślała, że nie potrafi żyć bez ukochanego. Chodziła więc w kółko po mieście, dumając nad sposobem zadania sobie śmierci i o tym, jak niewierny będzie po jej stracie żalował, gdy wreszcie nocą ocknęła się w jakiejś złej, bandyckiej dzielnicy na przedmieściach. Było ciemno, była sama, w oddali wyły psy i nagle myśl o śmierci, ale już nie na własnych warunkach, lecz z ręki przypadkowego

oprycha przepelniła ją panicznym strachem. Tak strasznie zachciało jej się znów żyć. Modliła się, gdy szybko szła przed siebie, słysząc za plecami chrzęst butów. Nagle zza zakrętu wyjechał samochód. Zatrzymał się. Ktoś odkręcił szybę. Było ich dwoje. Kobieta i mężczyzna. Przystojni i milczący. Zabrali ją w ostatniej chwili, gdy buciory były tuż-tuż. Nie zdążyła im podziękować za uratowanie życia, choć jest przekonana, że byli wysłani, by ją ocalić od bólu, zniewagi, może śmierci.

Edward jest matematykiem. Lubi, gdy świat da się opisać ciągami liczb. Wtedy możliwość zaskoczenia jest znikoma. Liczby są bowiem cudownie przewidywalne i bezpieczne. Odwrotnie niż życie. Edward przekonał się o tym kilka lat temu, gdy zaginął mu syn. Niemal dorosły chłopak przepadł bez wieści w połowie sesji na uczelni. Postawili na nogi policję, jasnowidzów, wynajęli słynnego prywatnego detektywa. Jak to się mawia w takich przypadkach – jak kamień w wodę. Minęło pół roku. Edward wyjechał służbowo do Danii. Pamiętał siebie: smutny, złamany życiem człowiek spacerujący bez celu uliczkami przepięknej Kopenhagi. Miał taki zwyczaj, że w myślach nieustannie przemawiał do Boga. Opowiadał, co

widzi, co czuje, co myśli. Ten monolog był też rodzajem modlitwy o syna z nieustająco powracającym refrenem: „Znajdź mi go! Błagam!”. Zagapił się, zablądził, pomylił skrzyżowania. Stał samotnie na środku metropolii w obcym kraju, bez grosza przy duszy. Po godzinie zaczął go przechodzić i czystą polszczyzną zapytał, czy wszystko w porządku. Wyglądał zwyczajnie: szare ubranie, szare włosy, niski wzrost. Zażartował, że z daleka poznaje rodaków i że mu pomoże, podprowadzi do hotelu, bo to kilka przecznic stąd. Szli i gwarzyli o niczym jak starzy znajomi, a Edward czuł dziwny spokój. Nagle podniósł wzrok. Po drugiej stronie ulicy zobaczył syna. I to nie były zwidy. Marnotrawny stał beztroski, roześmiany, cały i zdrowy, wyraźnie flirtując z jakąś panną. Szczerze ucieszył się na widok syna. Padli sobie w ramiona i nim minęła radość, a przyszła pora na wyrzuty i pretensje – Edward odwrócił się, by podziękować życzliwemu rodakowi, ale ten już odszedł. I nie byłoby w tym zdarzeniu nic anielskiego, gdyby nie to, że nieznajomy poprowadził Edwarda w zupełnie inną stronę niż hotel. Wprost pod mieszkanie syna. Przypadek? Edward woli wierzyć w anioły niż ślepy traf. Jak my wszyscy.

Przymknąłem na chwilę oczy, bo światło w tej sali nie było nadzwyczajne, a i pora bardzo późna. Ile historii przeczytałem? Trzy, cztery? Ojej, aż siedem! Ciekawe, interesujące, budujące... Zerknąłem w gazecie na kolejną stronę, a tam jeszcze kilka tekstów kusilo! Cóż, trochę się rozruszam i... będę dalej czytał. Zobaczymy, co wyniknie z tej mojej lektury.

Obsługa lotniska roznosiła pasażerom „na pociechę” różne smakołyki i napoje – na koszt firmy, jak przed chwilą ogłoszono. Mijała właśnie siódma godzina oczekiwania na jakiś wiążący komunikat. Przyjąłem z uśmiechem kolejną kawę i sandwicha z łososiem. Nawet był smaczny, co o drugiej w nocy ma swoje znaczenie! O tej porze powinienem dolatywać już do Stanów. Trudno! Po wyjściu z toalety i krótkim spacerze ruszyłem w stronę mojego „stanowiska postojowego” – aż tu nagle słyszę:

– Pasażerowie oczekujący na lot do Stanów Zjednoczonych, proszeni są do sali odlotu numer 08! Bardzo państwa przepraszamy za tak duże opóźnienie. Życzymy spokojnego lotu.



4869216

Na sali zrobił się szum, bo co chwilę ogłaszano kolejne odloty – Paryż, Londyn, Moskwa...

Złapałem swoją torbę i ruszyłem w stronę wyjścia. Dopiero na schodach do samolotu przypomniałem sobie o oczekujących na mnie tekstach. Ale było już za późno... No cóż, przyjaciel czeka!

Efektywność informacji – bez smartfona tym razem

Słowa ulatują, pismo pozostaje

/Biernat z Lublina/

– Zosiu, zostaw tego smartfona! Zostaw, proszę! Zaraz idziemy z ojcem na spotkanie z kręgiem rodzin i bardzo bym chciała, żebyś dziś poszła z nami. Zresztą obiecałaś w ubiegłą niedzielę, że pójdziesz, pamiętasz?



4378283

– Obiecałam, obiecałam, ale ja jestem już prawie dorosła i...

– Jaka dorosła, Zosiu? Za dwa miesiące kończysz szesnaście lat. To jest dorosłość?

W moim pokoiku na piętrze zrobiło się nagle bardzo cicho. A po chwili tryumfalnie oznajmiłam:

– A ja nie mam co na siebie włożyć!

– Zośka! Daj spokój! Wszystko w szafie jest czyste i właściwe na tę porę roku – mówiła mama, idąc w górę, bo i tak na tym sprawa by się nie skończyła. – Weź te białe spodnie i bordowe wdzianko. Jest ciepło na dworze, to przecież koniec maja!

– Nie! Wezmę szare spodnie i czarny podkoszulek. Biało-bordowe kolory są dla staruszków.

– Dobrze, dobrze, byle szybko, bo tata wchodzi już do garażu. Wyglądasz jak śmierć na chorągwi, ale – niech ci będzie. Buty masz na dole, idziemy!

Dopiero w samochodzie, jak przejechaliśmy ładny szmat drogi, zorientowałam się, że zapomniałam swojego smartfona i podniosłam lament! Biadałam i biadałam bez końca. Na spotkanie mieliśmy około godziny drogi, czasu nie było, żeby zawracać, bo tak jakoś ostatnio to my przyjeżdżaliśmy jako ostatni.

– A po co ja właściwie jadę z wami? Będzie tam jakaś młodzież, może fajny chłopak? Co ja będę tam robić przez całe popołudnie? Modlić się? Śpiewać nabożne pieśni? Może będę musiała...

– Oj, przestań jęczeć! Przez parę godzin nic ci się nie stanie bez telefonu. A po powrocie sprawdzisz, czy ktoś cię poszukiwał, pytał o coś itp. Spróbuj zapomnieć o smartfonie, dobrze ci to zrobi, zgoda?

– Zapomnieć? – dałam wyraźnie do zrozumienia, że to jest NIEMOŻLIWE! – Nie myślcie też, że się tak od razu nawrócę – zawarczałam ponuro!

– Niestety wiemy, że to jest NIEMOŻLIWE! Ale chociaż posłuchasz trochę o Panu Bogu. No, dojechaliśmy.

Bramę otworzył nam miły, przystojny chłopak, syn małżeństwa, które przyjechało chwilę przed nami. Przedstawił się nam szarmancko:

– Jestem Szymon!

– A ja jestem Zośka – wtrąciłam się dosyć obcesowo.
– Mam nadzieję, że nie będziemy tu klęczeć na kolanach do późnej nocy. Dawno nie byłam na takim spotkaniu, ale

trochę pamiętam jak to bywało. A ty jesteś zawsze aktywnym uczestnikiem? – zagałam.

– Jak mogę, to staram się być aktywnym uczestnikiem – powtórzył, pewnie celowo, Szymon. – Ale nie bój się na zapas, tu nikt nikogo nie trzyma na siłę! A dzisiaj ma być na luzie, bo to spotkanie na pół towarzyskie. Są imieniny mojej mamy, pana domu i moje. Najpierw będzie trochę modlitwy, potem podwieczerek, a dzielenie – na końcu. I wtedy zobaczymy, czy zostaniemy, czy...

– Czy „dajemy nogę” – roześmiałam się trochę sztywno, ale nie wyglądało to tragicznie.

Po przedstawieniu uczestników, bo okazało się, że jedna rodzina przyjechała na spotkanie po raz pierwszy, pan domu rozpoczął modlitwę, która „jakoś poszła”. Nawet się włączyłam w prośby, czym zapunktowałam w oczach taty, który obdarzył mnie promiennym uśmiechem.

Podwieczerek też był super, no bo imieninowy potrójnie. A obiad był dawno temu, więc spałaszowałam całkiem okazałą porcję słodkości, głównie z owocami. Ale niestety przy końcu wyżerki, zerwał się potężny wiatr i zaczęło padać! Byłam zasmucona.

Szymon mnie pocieszał, ale horyzont robił się coraz ciemniejszy i ulewa nasilała się. Trudno! Trzeba przeczekać! Ach, jak przydałby się teraz mój smartfon! A tu nikt nawet nie sięgał po swój telefon. Nikt do nich nie dzwonił, ani oni do nikogo. Jak za króla Ćwiczka!

Za chwilę miało się rozpocząć dzielenie, jak pan domu zaznaczył, mogliśmy z Szymonem na nim zostać, a nawet w nim brać udział, jeżeli coś się nam skojarzy z tematem, który był ostatnio zadany: Nawrócenie – moje, moich znajomych, sąsiadów czy „tak w ogóle”.

Coś mnie tknęło w sercu, ale nie było czasu na wewnętrzne rozważania, bo po krótkim zagajeniu – rozpoczęło się dzielenie...

– Czy władca potrafi rozkazywać samemu sobie? Czy wychowawca umie wychowywać samego siebie? A czy kaznodzieja potrafi siebie samego nawrócić? A poeta? – rozpoczęła dosyć tajemniczo gospodyni. – Wiadomo, że wśród wielu takich, którzy mają się za poetów, rzadko zdarza się prawdziwy, choć ten zwykle za takiego się nie uważa, dopóki inni nie okrzykną go wieszczem czy artystą słowa.

I tak się stało z Adamem, którego sława powędrowała poza granice jego ojczyzny. Jego talent osiągnął szczyty geniuszu, a kunszt nie miał sobie równego. Nie tylko bowiem pisał doskonale wiersze, ale równie doskonale je recytował. Jego słowa wręcz zniewalały umysły i serca słuchaczy. Burza w jego wierszach wywoływała w nich strach przed piorunami i ulewą. Wersety o ogrodzie dawały złudzenie mocnego zapachu róż i odgłosu szemrzącej fontanny. W słowach pieśni wojennej słyhać było tętent konnicy i ryk surm bojowych. Autor sam bywał zdumiony działaniem swych wierszy. Ktoś zapytał go, jak on to czyni i jakiej czarodziejskiej sztuki używa, że podbija słowami dusze słuchaczy, a nawet innych poetów. On nie potrafił odpowiedzieć, bo kiedyś pewien mędrzec powiedział o poecie, że przez niego płynie strumień piękna, ale on sam pięknem nie jest. Czuł jednak to uniesienie i moc, jakiej ulegali jego słuchacze. Zapragnął też wypróbować tę magiczną wręcz moc swoich słów.

Zdarzyło się kiedyś, że usłyszał włamujących się do jego domu i zbierających łupy złodziejasków. Szybko ułożył parę wersetów, stanął przed nimi i wypowiedział je tak, że zamarli w zupełnym bezruchu. I wtedy poczuł się

mocarzem słów, ale i władcą serc. Rzadko dotąd pisał wiersze o miłości, był bowiem wciąż jeszcze nieśmiały wobec kobiet. Jednak gdy napisał kilka miłosnych liryków, ujrzał, jak działały one na kobiety. To już nie była magia słów, ale jakiś rodzaj czarnoksięstwa, bo w kobiecych oczach, na ich twarzach widział zachwyty, rozmarzenie, tęsknotę, oddanie, wyzwolone pragnienia...

Czuł, że mógłby zdobyć każdą, ale nie czynił tego. Poprzestawał na uwodzeniu poezją. I oto któregoś dnia spośród roznamiętnionych słuchaczek wyszła jedna, stanęła przed nim i spojrzała mu w oczy tak, że poczuł, iż jego słowa odbijają się od niej jak perły od złotej blachy i... trafiają w niego samego. Pierwszy raz poczuł, że to on ulega czarowi, magii, zniewoleniu... A ona tylko stała i chłodnym wzrokiem sięgała w tę głębię jego serca, gdzie jednak nigdy jeszcze słowa nie zaistniały. Umilkł w pół słowa i poczuł w sercu jakieś przeraźliwe milczenie. Usiłował użyć jeszcze słów, których czaru był świadom, ale z ust wydobyły mu się słowa nieskładne, bełkotliwe... Potem, gdy stamtąd uciekł, powiedziano, że został ugodzony i rozbrojony swoim własnym kunsztem i czarem.

Już nigdy więcej nic nie napisał, a nawet nabawił się wady wymowy.

– I posłuchajcie – ktoś mądrze powiedział: bądźcie sługami prawdy, ale nie posługujcie się nią dla własnej wielkości czy użytku. Tak powinno być chyba z każdym darem, kunsztem czy profesją. A może głównie z władzą – obojętnie, jaka by ona nie była. To wszystko jest bronią obosieczną! I nie zawsze prowadzi do nawrócenia! A szkoda! Bo wiedza może być pierwszym krokiem do wiary, ale trzeba ją dobrze wykorzystać!



1428428

Szymon chciał od razu wypowiedzieć się na ten temat, który poruszyła jego mama, ale wszyscy pokazali ciszę – nic nie mówimy, dopiero po wszystkich dzieleniach. Teraz kolej na mojego tatę – z zainteresowaniem spojrzałam w jego stronę, ale siedział w skupieniu i po małej chwili rozpoczął...

– Ona czeka, on ucieka – tak można byłoby najkrócej opisać związek, w którym ktoś (częściej on) podobny jest do Piotrusia Pana. Jednak taki osobnik nigdy nie przyzna się do uciekania. On raczej wyrusza, goni, odkrywa, poszukuje, ściga, walczy, pojawia się i znika, by znów się pojawić, jak na filmie czy w teatrze. Jednak naprawdę to on ucieka przed: trudem, obowiązkami, problemami, nudą, odpowiedzialnością, więziami, wiernością, czyli przed dojrzałością. Ucieka w zabawę, w grę, w hobby, w iluzje, w idealistyczne mrzonki, w utopie, w nowe kontakty, towarzystwa, związki. Czasem jest to dożywotni uciekinier, niecierpiący tego, co jest, a goniący za tym, czego nie ma.

Po tym wprowadzeniu tato kontynuował...

W pewnej wiosce dzikiego plemienia Pigmejów na uboczu stał niewielki szałas z bambusowych trzcin i gliny.

Pozbawiony był okien, miał tylko jeden otwór, który i tak zamykano. Szalas był czymś w rodzaju grobu. Otóż służył do jednej z prób obrzędu wchodzenia w dojrzałość i męskość miejscowych chłopców. Chłopak, który kończył czternaście lat, wchodził do tego szalasu z kilkoma bulwami z manioku i owocami pigwy. Wejście za nim starannie zamykano, by był pozbawiony jakiegokolwiek kontaktu z tym, co się działo na zewnątrz. Miał spędzić w ciemności i w milczeniu siedem dni. Do środka szalasu biegła jednak lina od dzwonka, którym mógł dać znać, że coś niedobrego się z nim dzieje lub że nie może podolać próbie. Jeśli nie użył dzwonka ani razu, to po tych siedmiu dniach cała wieś, a zwłaszcza mężczyźni, witała go z radością i śpiewem.

Dość młody misjonarz przypatrywał się tym wygranym lub przegranym próbom i sam nabrał chęci do tego sprawdzianu. Starszeństwo plemienia zgodziło się, szczególnie zaciekawione. Misjonarz wszedł do środka, zamknięto za nim otwór i zapadła zupełna ciemność. Słyszeć wiele też nie było, bo szalas znajdował się na uboczu. Pierwszy dzień jakoś minął, choć w środku było duszno. W następne dni było mu coraz trudniej znieść

ciemnicę. I nie tyle głód, pragnienie, odosobnienie i milczenie dawały mu się we znaki, ile coraz bardziej kusila ta lina od dzwonka. Coraz bardziej natarczywe myśli o bezsensowności próby, o tym, jak go tam, na zewnątrz, potrzebują, jak on się tu błądzi, i że wystarczą dwa, trzy dni... Musiał związać sobie ręce, by nie sięgnąć do tej liny, choć jej nie widział. Mijał szósty dzień, a on przeżywał majaki, omamy, lęki, z których jedynym wybawieniem był dzwonek. Tym intensywniej modlił się – dokładnie tak jak wtedy, gdy z jednym z małych braci Karola de Foucauld trwał na adoracji Najświętszego Sakramentu na pustynnym piasku w skwarze dnia i w chłodzie nocy. Wtedy też najbardziej kusila myśl o ucieczce. Nie pamiętał już, ile razy odmówił Różaniec, który był teraz wręcz modlitwą zbawienną. Kiedy prawie z płaczem gryzł dłonie, by nie sięgnąć po linę od dzwonka, usłyszał go, jednak ktoś inny obwieszczał nim zwycięski koniec jego próby.



3564567

Gdy wyczołgał się z szalasu, oślepiiony słońcem i ogłuszony radosnymi krzykami Pigmejów, czuł, że przekroczył jakąś wielką barierę, nie tylko między sobą a nimi, ale wewnątrz siebie, bo przecież on także wciąż od czegoś uciekał. Teraz był pewien, że zostanie tu dłużej, niż się zobowiązał.

– Nie wiem, kto z nas wytrzymałby tę próbę, bo przecież nikt nie zastanawia się nad tym, od jak wielu spraw, ludzi, miejsc, rzeczy, a także od Pana Boga ucieka, choć wcale tego tak nie nazywa. A dobrze by było ujrzeć to, w co i dokąd się ucieka, uciekając tak naprawdę od

samego siebie. Ale kto uczy nas zwyciężania tych pokus ucieczki, ucząc właściwie dojrzałości i nawrócenia?

Gdy tato skończył, zapanowała głęboka cisza. Mama miała załzawione oczy, a i w moich było mokro, bo obie wiedziałyśmy, że to nie misjonarz, ale właśnie on przesiedział przez siedem dni we wnętrzach tego namiotu! Jeszcze jak się nie znali z mamą! Czyli około dwudziestu lat temu! Ale mam super ojca!

Trzecią historię rozpoczęła pani z tego starszego małżeństwa...

– Czy wystarczy zakazać czegoś, aby uczynić to przedmiotem pożądania? Dlaczego wręcz namiętną ciekawość budzi to, co przed nami zakryte lub zamknięte? Kto jest bardziej ciekawski – kobiety czy mężczyźni? Pytania warte tej przypowieści, a ona – tych pytań. No więc tak...

Mądrość ponoć jest gorzka, ale tego dowiadują się mędrzy. Jednym z najmędrzych ludzi był król Salomon, ale i królowa Saba niewiele mu w tym ustępowała. Zdarzyło się to podczas jej odwiedzin u króla, kiedy wyjechali oboje poza mury miasta i zatrzymali się w małej wiosce. Z jednej z chat docierał do nich śpiew kobiety.

Salomon nastawił ucha, bo usłyszał, że śpiewa ona, iż w swojej chacie przy pracy szczęśliwsza jest niż król Salomon w pałacu.

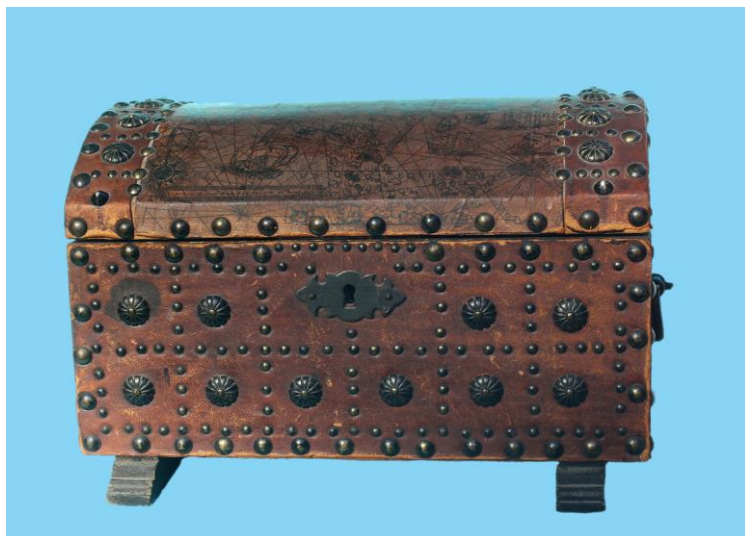
– Ta kobieta musi być dobra i uczciwa – rzekła królowa, lecz Salomon zauważył, że nader rzadko spotyka uczciwego mężczyznę, a jeszcze rzadziej taką kobietę.

– To poddaj ją próbie, a przekonasz się, że jest taka, jak mówię.

Salomon zgodził się i wydobył z torby małą szkatułkę zamykaną na kluczyk. Gdy ujrzeli, że mąż kobiety wraca z pola, weszli do ich chaty. Salomon powiedział:

– Jedziemy do Jerozolimy i za trzy dni będziemy wracać. Chcemy, byście przechowali tu tę szkatułkę, której nie wolno wam otworzyć. Za przechowanie jej zamkniętej otrzymacie nagrodę, ale za otwarcie straciecie życie.

I wręczył szkatułkę wraz z kluczykiem mężowi tej kobiety.



242301

Nie minęła godzina, gdy kobieta zaczęła snuć domysły, co może kryć szkatułka. Może klejnoty albo magiczne ziele – myślała. Mąż nie był tego ciekaw. Kiedy wstali rano, kobieta powiedziała, że miała koszmarne sny o zawartości szkatułki i musi do niej zajrzeć. Mąż skarcił ją, przypominając o grożącej im karze. Kiedy wrócił z pola, zastał żonę chorą z ciekawości, co też może kryć szkatułka.

– Ty masz kluczyk i wydaje mi się, że szkatułka jest cenniejsza dla ciebie od żony. Zajrzyjmy do niej choć przez dziurkę od kluczyka.

I pierwsza sięgnęła po nią, lecz nic nie ujrzała. Zaczęła więc nalegać, by uchylił wieczko, bo może jest tam coś, dzięki czemu król jest taki mądry. Mąż aż krzyknął ze strachu i oburzenia. Nie jedli kolacji i oboje spali bardzo niespokojnie. Kiedy mąż rano zaczął pracę w polu, przybiegł do niego syn, wzywając do umierającej matki. Pobiegł do niej, stwierdzając, że szkatułka odebrała im szczęście. Żona leżała blada i wymęczona.

– Umieram, bo dręczą mnie demony, które są zamknięte w tej szkatułce. Przychodzą do mnie we śnie, duszą i mówią, że unicestwią mnie, jeśli nie otworzymy wieczka. Nie mam już sił i naprawdę umieram, ale tobie bardziej zależy na kluczyku niż na moim życiu – powiedziała.

Mąż zaczął ją uspokajać i karmić, ale ona jakby resztkami sił błagała:

– Czy nie masz nade mną litości? Czy chcesz mojej śmierci? Uchył wieczko szkatułki na chwilę, przecież król się nie dowie...

I tak jęczała godzinami. Mąż, będąc u kresu sił, zawołał wreszcie:

– A niech tam – otworzę ci!

Żona zerwała się z łóżka i przyniosła szkatułkę. Mąż włożył i przekręcił klucz... Wieczko odskoczyło i wyskoczyły stamtąd trzy małe myszki, które gdzieś uciekły. W środku pozostało tylko kilka okruchów chleba. Wtedy żona wpadła w rozpacz.

*– Jak mogłeś tak nieostrożnie wypuścić te stworzenia!
Przez ciebie zginiemy teraz oboje*

Gdy próbował jej tłumaczyć, że to na jej prośbę, odrzekła:

– Ty miałeś pilnować kluczyka, aleś się nie okazał prawdziwym mężczyzną, ulegając słabej kobiecie. To twoja wina!

Mąż umilkł i tylko Boga zaczął prosić o wybawienie ich od kary. Kiedy stanął przed Salomonem, przyznał się, że otworzył szkatułkę i że jest gotów zginąć, ale żeby król darował życie żonie. Król uśmiechnął się i życzył obojgu pokoju, poprosił tylko, aby jemu i królowej Sabie opowiedzieli, jak to było. Królowa chciała skarcić kobietę, ale nagle pomyślała, czy ona sama podolałaby tej próbie i umilkła.

Jakaż dziwna pustka w nas szuka dopełnienia w zakazanych tajemnicach? Jaki kusiciel uruchamia ten

dziwny niepokój, choć ktoś ostrzega, że sięgając po zakazane i zakryte, otworzymy nie schronienie dla myszek, lecz puszkę Pandory. A czasem taka puszka jest porównywana z wybuchem karbidu, niszczącym głębię wiary i chęć nawracania się. Jest nawet takie powiedzenie, że – ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Po dobrej chwili ciszy, gospodarz domu zachęcił do dzielenia się tym, co kogoś dotknęło, uderzyło, ucieszyło, zabolowało... Ale jego żona zaproponowała, że może Szymon czy ja byśmy coś dołożyli do tych historii. Tak „z doskoku”. Musiałam mieć bardzo speszoną minę, bo Szymon bohatercko zdecydował się, że „coś” opowie.

– Im bardziej rośnie lęk przed niewiadomą, tym też większa potrzeba swoistego ”zamawiania” jakichś kapryśnych mocy czy przeznaczeń. Jak i czym? Sposobów jest wiele – w końcu mamy za sobą wiele wieków pogaństwa. To, co chcę przekazać, to są fakty z mojego życiorysu! – dodał. – Takie fakty, które pomogły mi w ubiegłym roku wrócić do Pana Boga – zakończył niemal szeptem.

Po tym wstępie opowiedział pewną historię o Florze...

Otóż w jednym z nadmorskich bulwarów stało sporo kramów z wyrobami z bursztynu, muszli, koralu, minerałów. Między nimi rozkładała dywanik moja kuzynka Flora i kładła na nim wyplatane ręcznie z bawełny kolorowe tasiemki z frędzelkami w różnych deseniach. Jednak nikt nie zatrzymywał się przy niej. Oczy turystów przyciągały tańsze czy droższe klejnociki, a Flora przywykła, że widzi tylko ich przechodzące nogi. Po cichu jednak liczyła na coś czy na kogoś.

Któregoś dnia zatrzymała się przy niej jakaś starsza turystka, obwieszona drogą biżuterią. Zapytała, co te kolorowe tasiemki mają w sobie, czy ich desenie coś oznaczają i czy nie jest to jakiś rodzaj tajemnego pisma. I wtedy Flora, trochę dla żartu, trochę z przekory, rzuciła:

– Mają one wpisane magiczne modlitwy, zapewniające komuś, kto je zawiąże na przegubie dłoni, szczęśliwy powrót do domu.

Turystka poprosiła o pierwszą tasiemkę z brzegu, wyjęła banknot o sporej wartości i nie chciała reszty, tylko trochę zdziwiona powiedziała:

– Jeśli oferujesz coś tak cennego, to dlaczego nie napiszesz o tym na czymś, by każdy mógł przeczytać?

Flora, zaskoczona trochę, uśmiechnęła się i napisała na kartonie: „Magiczne tasiemki na szczęśliwe powroty”. Już po chwili ktoś zatrzymał się i kupił tasiemkę, zaraz potem kilka osób z wycieczki, jakieś nastolatki, marynarze... I zapas zniknął.

Przez najbliższy tydzień Flora nie nadązała z wyplataniem. Sprzedawcy bransolet, naszyjników, broszek, wisiorów zerkali zazdrośnie na jej pustoszejący dywanik z codziennie wyższą ceną tych niezauważanych dotąd czy pogardzanych tasiemek. Flora zaczęła naśladować w ich deseniach pismo runiczne, lecz nikt nawet nie pytał o dosłowne brzmienie owych „modlitw”. Każdy przecież chciał wrócić do siebie szczęśliwie, a jeśli mają one to zapewnić, to czy warto żalować na nie kilku, kilkunastu, czy kilkudziesięciu złotych?

Minął miesiąc, Flora miała już spory kram, zatrudniła kogoś do wyplatania tasiemek, do których dowieszała tajemnicze węzły z frendzlami. Popyt rósł. Flora sama zaczęła wierzyć, że jakieś dobre moce jej pomagają i że to, co sprzedaje, naprawdę ma magiczną moc.

Któregoś dnia podeszła do niej jakaś kobieta ubrana we wschodnim stylu. Zapytała o znaczenie tych tasiemek,

wzorów na nich i węzłów, a potem zapłaciła za jedną, zawiązała Florze na przegubie i powiedziała:

– Jeśli tak jest naprawdę, to wypróbuj to na sobie, bo mam obawy co do twojego szczęśliwego powrotu.

I odeszła. Florę przejął jakiś dreszcz... Nie śmiała odwiązać tasiemki, a jednocześnie zaczęła się bać jakiejś złej i mściwej mocy. Zostawiła otwarty kram i ruszyła do domu, starannie omijając wszelkie miejsca, gdzie mogłoby się jej stać coś złego. Złana potem, roztrzęsiona, pełna złych przeczuc, dotarła w końcu do swojego domu, zatrzasnęła i zaryglowała drzwi, wyłączyła prąd i gaz, spuściła żaluzje. Bała się odebrać telefon... w końcu podniosła słuchawkę. Usłyszała w niej sprzedawczynię wyrobów z bursztynu:

– Flora, wariatko, gdzieś ty poszła? Rozkradli ci wszystkie twoje tasiemki. Wracaj! Taki biznes porzucić?!

– Magia jest wiarą w jakieś nieokreślone moce działające poza Bożą Opatrznością. Im mniej rozumnej wiary w Opatrzność, tym więcej ślepej wiary we wszystko, co jakoby te moce ma zjednać, co pomoże nimi zawładnąć dla różnych celów. Jednak zabobonny lęk zostaje i rośnie... A przecież ja nosiłem pierścien

Atlantów „na szczęście”, nagminnie czytałem horoskopy, nawet kiedyś byłem u jasnowidza! I wtedy zastanowiłem się, w co ja wszedłem, w co czy w kogo wierzę, czy ja przypadkiem nie jestem już zmanipulowany przez złe moce? Z tym lękiem poszedłem do generalnej spowiedzi. Ksiądz był super! Moje lęki uspokoiły się, a wiara w Bożą Opatrzność – wróciła! A właściwie – wraca! Bardzo się o to staram i... modłę!

– No a ty, Zosiu – zapytała pani domu – opowiesz nam coś?

Siedziałam cała sztywna i spięta, bo historia Szymona była taka realna, tak pasowała i do moich „kawałków” życia. Ale co ja mam opowiedzieć? Spłoszona spojrzałam na mamę, a ona – najukochańsza mama – zaproponowała, że powie parę słów, bo dobrze wie, jakie ja mam problemy. A ta historia przyda się z pewnością wszystkim.

Życzliwy uśmiech na wszystkich twarzach był jasną odpowiedzią...

– Słuchajcie! Zdarza się, że trudno jest dotrzymać Panu kroku! – rozpoczęła. – Problem stanowi nie tyle odważna decyzja przystania do Pana, wielkoduszna chęć towarzyszenia Mu w drodze, co raczej późniejsze,

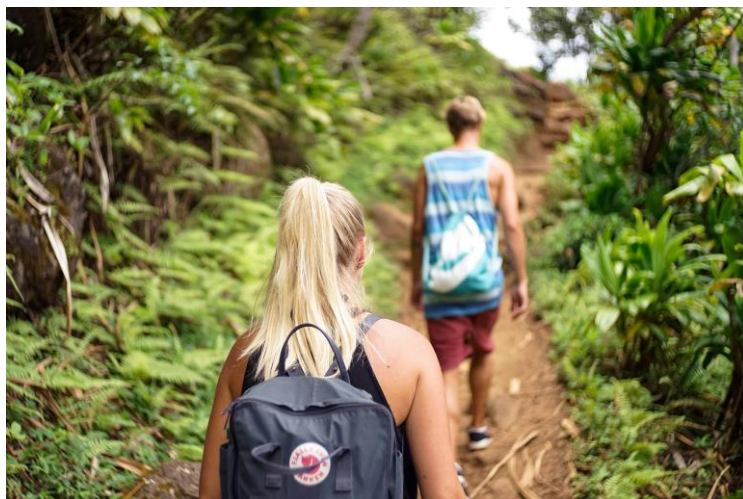
wieloletnie, często uciążliwe kroczenie wraz z Nim. Całą sztuką polega właśnie na tym, aby dotrzymać Panu kroku, aby zrównać się z Nim, aby iść z Nim ramię w ramię, aby zgrać własne kroki z rytmem Jego kroków, aby nie opóźniać marszu, aby właściwie reagować na zmianę tempa.

Istnieją maruderzy, którzy nie nadążają za Panem; którzy nagle opadają z sił i entuzjazmu; którym brakuje tchu i kondycji; którzy nie akceptują narzuconego tempa; którzy zwalniają, albowiem inaczej sobie ten wspólny marsz wyobrażali; którym marzył się niedzielny spacer, a nie mordęga, dokuczliwy skwar i poobcierane stopy. Zostają więc z tyłu. Dystans rośnie, a Pan zamienia się w świetlisty punkt na horyzoncie. I dobrze, jeśli nadal wpatrzeni są w ten punkt, jeśli pozostają w sferze przyciągania tego dalekiego światła, gdyż w ten sposób jest szansa, że któregoś dnia złapią drugi oddech, odzyskają siły, wykrzeszą chęci i rzucą się w pościg.

Istnieją też znudzeni monotonią kroków, doświadczeń i krajobrazów. I zamiast trzymać się drogi, zamiast cenić sobie towarzystwo Pana, ruszają na złamanie karku w pola, w bezdroża, w cierniste chaszczce; rozpoczynają bieg

w pogoni za motylem, za czczą obietnicą, za mrzonką, za smugą księżycowej poświaty. I nieraz dużo czasu upływa, zanim usłyszą nawoływanie Pana. I nieraz doświadczają dużo samotności, zanim zostaną wyłuskani z cierni i wyprowadzeni z bezdroży.

Istnieją w końcu wierni, którzy trzymają się blisko, ale nieraz i oni nie potrafią dotrzymać Panu kroku. A to wówczas, gdy ulegną pokusie zniecierpliwienia; pokusie przyspieszania kroku i przynaglania Pana do pośpiechu; pokusie wybiegania naprzód i samowolnego wybierania drogi, gdy przedwcześnie i samotnie dotarli w tym biegu na bezdroża. Jest to pokusa ludzi, którzy nagle zapomnieli, kto w tej wędrówce wyznacza marszrutę i dyktuje tempo.



863454

Ale wszystkie te sztuczki i przynaglenia, cała ta biegania i szarpanina nie wybijają Pana z rytmu, nie zmieniają Jego „rozkładu jazdy”. Więc trzeba okiełznać pośpiech, trzeba spętać zniecierpliwienie, trzeba czasem poczekać. Pamiętając, że i w tej sytuacji prawdą jest to, że nie traci się nigdy czasu, gdy czeka się na Boga. I trzeba zmierzać ze wszystkich sił do stanu harmonii i zgrania z Panem, do kroczenia z Nim zgodnym i równym krokiem, do zdania się na Jego mądrość, do intuicyjnego wyczuwania Jego zamierzeń. Kto bowiem w taki sposób

idzie, ten się nie spóźni, ten na czas dotrze do celu, ten stale się nawraca...

Płakałam cicho i nawet nie zauważyłam, że ulewa przeszła, a promienie słońca żegnają nas – do rana. Było mi dobrze i ciepło na sercu.

Nagle do furtki ktoś zadzwonił. Pan domu spojrział na zegarek, złapał się za głowę i zawołał:

– Kochani! Przyjechała zamówiona pizza! Kolacja!

Wiarygodność – bardzo cenny atrybut informacji

To prawda, że niełatwo zmierzyć głębokość słów

/św. Jan Paweł II/

– Mamo, mamo! Tak mi smutno, że wyjeżdżasz, zaraz się rozpłaczę!

– Słonko moje, nie płacz! Muszę wyjechać na te trzy dni, a właściwie na dwa i pół dnia. Szybko ci zleci. Tato będzie z tobą. Przyjedzie też Kasia z rodzicami. Będzie fajnie, zobaczysz. Ani się spostrzeżesz, a już będę w domu, Milenko. Masz już przecież prawie sześć lat i idziesz do szkoły. Jesteś dużą, mądrą dziewczynką, prawda?

– No tak, prawda, ale... dalej mi smutno! Musisz zabierać tyle rzeczy?

– Milenko! Muszę wyjechać, to jest niedaleko, około stu kilometrów. Ale teraz pogoda jest różna. Sama widzisz, wczoraj był upał, burza, a potem padało, i tak w kółko. Chcę zabrać i coś lekkiego, i sweterek, i kurtkę, bo nie wiadomo jak będzie wewnątrz domu. Jak puszczą klimę, będzie bardzo chłodno. Idź, obejrzyj sobie jakąś

bajeczkę, a ja tu się zapakuję. Bo rano, skoro świt, w drogę! Bus będzie stał przy szkole od siódmej.

– No dobrze, ale powiedz mi jeszcze, dlaczego ty teraz jedziesz, a inni nauczyciele – nie? Wczoraj spotkałyśmy panią od historii i nic nie mówiła, że gdzieś się wybiera.

– Jola! Ciszej rozmawiajcie, bo ja muszę skończyć na jutro ten projekt! Proszę!

– Ojej, mówiłam ci Milenko już kilka razy, że to jest spotkanie nauczycieli, którzy uczą, lub będą uczyć w szkole religii. Musimy zastanowić się jak to robić, żeby wiara nie zanikała w narodzie. A w średnich szkołach jest bardzo źle – westchnęłam.

– Nie martw się mamusiu. Pan Bóg wam pomoże, zobaczysz! – powiedziała poważnie Milenka.

Ucałowałam ją mocno, bo rzeczywiście dodała mi odwagi. Cieszyłam się na ten wyjazd. Zawsze to jakieś oderwanie od szarej rzeczywistości, spotkanie z koleżankami, kolegami, bo obejmowało północną i środkową Polskę; ale i niepokój pozostał, bo już ostatnio, chyba z trzy lata temu było niewesoło. A teraz, po pandemii, w czasie wojny w Ukrainie? Zobaczymy!

Podróż minęła szybko i przyjemnie. Obok mnie usiadła Krysia z sąsiedniej gminy, już prawie przed emeryturą, ale z kupą doświadczeń i wciąż nowych pomysłów. Pogadałyśmy sobie tak od serca, bo nie wiadomo, jaka będzie atmosfera na miejscu. W moim liceum na religię chodził co ósmy, dziesiąty uczeń. U Krysi lepiej – co czwarty. Ale to mała miejscowość, tam jest inaczej.

Po zakwaterowaniu i zostawieniu bagaży, miałyśmy jeszcze prawie dwie godziny na spacer przy słonecznej, trochę wietrznej pogodzie. O dwunastej rozpoczęła się Msza święta i zobaczyłyśmy, że przyjechało blisko siedemdziesiąt osób. Super! Musimy coś „wymyślić”.



656595

Biskup był radośnie i pogodnie usposobiony, ale mówił mocno o wierze i nawróceniu. Czytania były znamienne: Wiara bez uczynków martwa jest! A Ewangelia jest zawsze na miejscu, zawsze żywa i warta tego, by przekazywać ją dalej! Oczywiście to prawda, ale... jak to wcielić w życie, i to w życie młodych, jakby zupełnie już z innej bajki ludzi?

Po obiedzie spotkaliśmy się w sporej sali konferencyjnej i na pierwszy ogień poszły dwa wykłady: „Jak postrzegasz młodzież po dwóch, pięciu, piętnastu, dwudziestu latach pracy?” oraz „Jak obecnie postrzegasz

wiarę wśród uczniów w twojej szkole?”. Wykłady, jak to wykłady, mają swoje i plusy, i minusy. Ale wnioski były konkretne i smutne! Wiara leci na łeb, na szyję! W dół, oczywiście! I co z tym zrobić??? To zadanie dla nas wszystkich, na jutro!

Wieczorem, po kolacji – modlitwa, a dla chętnych – adoracja całonocna w kaplicy. Mamy ograniczyć rozmowy, a prosić Ducha Świętego o natchnienie. I o możliwości praktyczne – jak je wcielić w życie. Do kolacji jest jeszcze godzina, można się przejść na spacer, przespać, jak kto woli – a potem – co Bóg da!

Po kolacji dostaliśmy małe karteczki z losowo wybranymi numerami grup i miejsca, gdzie jutro po śniadaniu ma być spotkanie. Na mojej karteczce był numer „cztery”, spotkanie w pokoju „osiemnaście” i duży napis: „Animator”! Ciarki mnie przeszły, ale cóż! Posłuszeństwo obowiązuje.

Nie jestem specjalnie za nocnymi czuwaniem, miałam zamiar wyspać się przed jutrzejszą burzą mózgow, ale sen nie przychodził. Była już prawie dwunasta, a ja leżałam z otwartymi oczyma wbitymi w sufit – i nic. Kto będzie w mojej grupie, ile osób, z jakich szkół, czy ich znam, czy

dam radę zapanować nad emocjami – moimi i tych ludzi, którzy przecież są często zdenerwowani, bo mało uczniów oznaczać może – wymówienie!

Coraz bardziej mnie „nosiło”, sen uciekał, wstałam więc i poszłam w dresie do kaplicy. I tu zdziwienie! Prawie wszystkie krzesła zajęte! Niektórzy siedzą, inni klęczą, ktoś „mruczy” różaniec, ktoś siedzi na kocu przed samym ołtarzem...



1227335

Ale to „święty ludek”, przeleciało mi przez głowę! Właśnie jeden ze starszych panów wyszedł z kaplicy i uśmiechając się zachęcająco, skinął na swoje krzesło.

Usiadłam i... wróciłam do pokoju o... szóstej rano! Wcale nie czułam się zmęczona! Wyciągnęłam się na godzinkę w łóżku, a... potem już poszło! Śniadanie, modlitwa wspólna i spotkanie w grupach dzielenia.

Pokój numer osiemnaście był niewielki, ale nasza ośmioosobowa grupa zmieściła się bez kłopotu. Znałam z widzenia tylko jedną osobę – Mirkę, a sześć pozostałych poznałam na początku spotkania. Było to trzech mężczyzn w różnym wieku, tak na oko – od trzydziestu do pięćdziesięciu lat – Teodor, Kazik i Marek oraz dziewczyny, raczej młode, tak do czterdziestki – Inka, Baśka i Hania. Część uczy w liceum, część w technicach, ale to nie ma większego znaczenia, bo problemy w nauce religii są wszędzie podobne. I wszyscy martwią się, jak to będzie dalej.

– Nie ma potrzeby opowiadać, co o tym myślicie, ale powinniśmy zaproponować jakieś rozwiązanie, które, przy aprobacie księdza biskupa – mogłoby zaradzić tej sytuacji. I dlatego – słuchajcie – teraz każdy z nas niech się skupi jak tylko może i przypomni sobie zasłyszane kiedyś czy przeczytane ostatnio historie, związane, nawet luźno, z wiarą, nawróceniem itp. Można tu zostać, można

wyjść na ten czas, można też wykorzystać do tego celu smartfona. A na owocne myślenie – posłuchajcie wiersza księdza Jana Twardowskiego:

WIARA

*Żeby nie zasłaniał sobą Ciebie
nie zawracał Ci głowy kiedy układasz pasjans gwiazd
nie tłumaczył stale cierpienia – niech zostanie jak skała
ciszy
nie spacerował po Biblii jak paw z zieloną szyją
nie liczył grzechów lżejszych od śniegu
nie kochał długo i niepewnie
nie załamywał rąk nad okiem Opatrzności –
żeby serce moje nie toczyło się jak krzywe koło
żeby mi nie uderzyła do głowy święcona woda sodowa
żeby nie palił grzesznika dla jego dobra
żeby nie tupał na tych co stanęli w połowie drogi
pomiędzy niewiarą a ciepłem
nie oczekiwał przez sen
a zawsze wiedział że nawet największego świętego niesie
jak lichą słomkę mrówka wiary*

Po około pół godzinie wpadła do pokoju Basia z radosnymi wypiekami na twarzy!

– Mam, mam! – zawołała gromkim głosem i bardzo się zmartwiła, gdy pokazałam jej, że jeszcze trwa cisza.

Po chwili weszła Inka, ale taka jakaś byle jaka, jakby zapłakana, a po niej Hania, chyba najstarsza. Spojrzała na mnie dosyć smętnie i – nic nie powiedziała. Mirka siedziała w pokoju, tyłem do mnie, ale sprawiała wrażenie nieobecnej, tylko „zastukanej” w smartfona. Panowie przyszli razem i też jacyś niemrawi, ale Teodor szepnął, że „coś tam” znaleźli. Wygląda na to, że wspólnie pracowali. Nie szkodzi, dobrze, że mamy trochę materiału do prezentacji.

– No proszę, czy jest ktoś chętny na pierwszą propozycję, jak obudzić naszą młodzież?

– Ja, ja! – Basia, zgodnie z moim przeświadczeniem, rwała się do tablicy! – Ponoć dobrymi chęciami piekło wybrukowane. I każdy ma w tym swoją część i swój udział. Każdy dołożył się sporą ilością brukowców, gdyż każdy podejmuje od czasu do czasu wielkoduszne zamierzenia, które ulegają zapomnieniu, zanim jeszcze doczeka się realizacji. Mądrość ludowa powiada, że dobra intencja podobna jest do węgorza: łatwiej go złapać niż utrzymać w ręce. Powstaje więc pytanie: dlaczego

rzeczywistość tak bardzo odbiega od pragnień? Odpowiedź jest zwięzła: granie na zwłokę, odkładanie realizacji na dzień następny, odsuwanie nawrócenia na lepsze czasy. Wiecie, pomyślałam, że historia o diabłach, tak na przekór – będzie dobra. Znalazłam ją na Tik-Toku, posłuchajcie...



2683711

Pewna legenda opowiada, jak to trzech diabelscy czeladnicy referują swojemu mistrzowi, w jaki sposób mają zamiar ludzi zwodzić i do upadku przywieść. Pierwszy czeladnik oznajmił:

– Będę ludzi przekonywał, że nie ma Boga.

Szatan odparł:

– W ten sposób niewiele zwojujesz. Ludzie posiadają w głębi serca skłonność do wiary w Boga i tak łatwo im jej nie wydrzesz.

Drugi czeladnik powiedział:

– Powiem ludziom, że piekło nie istnieje.

Szatan i w tym wypadku wyraził niezadowolenie:

– Niewielu tym zwiedzisz. Mądrzy ludzie wiedzą, że istnieje ostateczna sprawiedliwość.

Trzeci czeladnik wyznał skromnie:

– Będę ludziom szeptał do ucha, że wszystko można odwlec, przesunąć na później, przełożyć na lepsze czasy i że nie ma niczego, co musiałyby być wykonane natychmiast.

– Przystąp do dzieła – powiedział mistrz – przed tobą wielkie sukcesy. Tysiące zwiedzisz i napędzisz nam w sieci.

Zwłokę więc wynalazł ojciec kłamstwa i w jego kalendarzu każdy dzień nazywa się „jutro”. Nawróćcie się! – to wciąż aktualne wezwanie i proroków, i samego Chrystusa. Jest to zaproszenie do zapoczątkowania czegoś nowego. Także tutaj obowiązuje reguła: Nie jutro, lecz

dziś, natychmiast, bez ociągania się i zwłoki! Inaczej wszystko zostanie po staremu, będzie się toczyć utartą koleiną, a dobra intencja stanie się tylko pobożnym życzeniem. Zmian zatem nie należy odkładać do jutra, nie należy z nimi zwlekać. A niestety bywa tak, że dobre postanowienia podejmujemy krótko przed zaśnięciem, a więc w momencie, gdy jesteśmy pewni, że nie musimy natychmiast przystąpić do ich realizacji. Tylko że nazajutrz konieczność zmian wydaje się już dużo bledsza. Dlatego już św. Ignacy Loyola zalecał, aby natychmiast po przebudzeniu, a i częściej w ciągu dnia, przywoływać na pamięć to, co komuś leży na sercu, co jest jego pragnieniem, postanowieniem oraz dobrą intencją.

Gromkie brawa nagrodziły Basię za tę wypowiedź i opowiadkę. Czy zadziała?

– Kto następny? Może Teodor?

Rozpoczął od razu...

Stara legenda powiada, że przy stwarzaniu świata aniołowie zadawali Stwórcy pytania. Pierwszy zapytał:

– *Jak Ty to robisz?*

Drugi:

– *Dlaczego to czynisz?*

Trzeci:

– Czy mogę Ci w tym pomóc?

Czwarty:

– Ile to jest warte?

Pierwszy był naukowcem, drugi filozofem, trzeci altruistą, czwarty handlarzem nieruchomościami. Piąty anioł przyglądał się tylko pełen podziwu i klaskał w ręce z zachwytem. I był to mistyk.



3095334

Podobne nastawienia charakteryzują postępowanie ludzi. Istnieje typ naukowca, który wytrwale szuka odpowiedzi na pytanie: Jak to powstało? To poszukiwanie

wiedzy jest cenne, jeśli nie zaczyna być daremną próbą zrównania się z Bogiem.

Istnieje typ filozofa, który za wszelką cenę chce wiedzieć: Dlaczego? Człowiek ma prawo do takiego pytania. Człowiek może dociekać nawet zamierzeń Stwórcy. I to jest cenne, o ile nie jest usiłowaniem przejrzania na wylot myśli Boga i kategorycznym żądaniem od Niego wyczerpującej i zadawalającej odpowiedzi na wszystko.

Istnieją też altruści. Ci nie zaprzatają sobie głowy pytaniami bez końca. Ci pracują nad tym, by dzieło stworzenia wzrosło do kształtu zamierzonej przez Stwórcę doskonałości. Ci są Jego pomocnikami i współpracownikami.

Czwarta kategoria, kupieckie dusze, to smutny i tragiczny gatunek. Bowiem prędzej czy później przekonują się, że kiepskimi byli rzeczoznawcami, że popełnili błąd w ocenie wartości spraw i rzeczy, że ich rachuby zawiodły, że padli ofiarą ojca kłamstwa.

I w końcu mistyk. Przeżycia mistyczne kojarzą się nam z nadzwyczajnościami, z wizjami i objawieniami, z porwaniem świętego Pawła aż do trzeciego nieba. Istnieją

wprawdzie i takie doświadczenia z Bogiem, ale nie są one czymś zwykłym i codziennym, a i nie dla każdego czymś bezpiecznym. W literaturze ascetycznej znajduje się ostrzeżenie: „Nie pragnij oglądać aniołów, mocy niebieskich lub Chrystusa w postaci uchwytnej zmysłami, abyś nie postradał rozumu, nie ujrzał wilka zamiast Pana i nie zaczął oddawać czci złym duchom”. Piąty anioł daje nam przykład skromnego, pokornego i bezpiecznego przeżycia mistycznego. I co ważniejsze, dostępnego dla wszystkich. Jest to pełne zadziwienia oglądanie rzeczywistości i radosne odkrywanie w niej śladów Stwórcy, a więc spontaniczny podziw dla dzieł Jego rąk. Jest to poddanie się Jego miłości i mądrości.

– No kochani! Historia dla młodzieży – jak najbardziej właściwa. Może ktoś przeskoczy te etapy i od razu zapunktuje wyżej? Zobaczymy! Teraz proponuję, żeby któraś dziewczyna zabrała głos. Nikt nie chce? To poproszę Kazia!

– Byłem latem ubiegłego roku w Ziemi Świętej, ale opowiadkę znalazłem w sieci teraz, na świeżo! Córka zdążyła jeszcze posłać SMS-a do rodziców i pochwalić zdjęcie górskich widoków, a tu nagle – huragan i burza!

Straszno się zrobiło. A teraz posłuchajcie – Kazio wziął głęboki oddech i rozpoczął...

Gdy dzieci Izraela – mówi jedna z opowieści chasydzkich Martina Bubera – dręczyły wielkie utrapienia, zatroskanemu rabbiemu Elimelechowi ukazał się jego zmarły nauczyciel. Rabbi zapytał go:

– Czemu milczysz, mistrzu, widząc tyle nieszczęścia?.

Ten zaś odpowiedział:

– Widzimy w niebie, że wszystko, co wam wydaje się złem, jest dziełem łaski.

Czy możliwe jest już tu na ziemi takie spojrzenie z góry na utrapienia, ciosy losu i nieszczęścia? Czy dostępne jest już teraz dla nas takie rozumienie sensu, celowości i pożytku „złych” zdarzeń i przeżyć?

Katechizm Kościoła Katolickiego mówi: „Wiara daje nam pewność, że Bóg nie dopuściłby do zła, gdyby nie wyprowadzał z niego dobra drogami, które poznamy w pełni dopiero w życiu wiecznym”. A zatem poznanie dróg i metod Opatrzności jest kwestią przyszłości, ale już teraz możliwa jest wiara w mądre i dobre zarządzanie Boga losami człowieka i świata.

I w imię tej wiary J.H. Newman zachęcał: „Uważajmy za korzystne wszystko, co Bóg nam zsyła”. Taka wiara przyjmuje za pewnik stwierdzenie: „wszystko, co wydaje się złem, jest lub stać się może dziełem łaski”. Taka wiara jest darem Ducha Świętego, owocem kierowanej do Niego prośby: „Daj nam przez Ciebie Ojca znać”. Kto bowiem zna Ojca, ten wprawdzie nie zna na wylot Jego myśli i zamierzeń, ale wie, czego się można po Nim spodziewać i czego od Niego oczekiwać; ten jest przekonany o Jego wszechmocy i Jego niezłomnej woli wyprowadzania dobra ze zła; ten widzi wszystko przez pryzmat Jego dobroci i Jego miłości. A jest to widzenie równie cenne i dogłębne jak spojrzenie z góry tych, którzy już przekroczyli próg wieczności. I więcej człowiekowi do szczęścia nie potrzeba.

– I po tej opowieści poproszę, żeby młodzi się rozejrzeli, bo może będzie ktoś, kto zechce poprosić o modlitwę. Modlitwę, którą przekazał nam J.H. Newman! Uważajmy za korzystne wszystko, co Bóg nam zsyła – westchnął Kazio!

– To może teraz czas na Marka?

– Moja historia też pochodzi z Internetu, tak jak poprzednie, ale ma moc! – Marek był bardzo zainteresowany tym, czy zaciekawi ona jego podopiecznych na lekcji religii – No to zaczynam!

Pewien król – opowiada historia z Indii – skazał jednego z poddanych na śmierć. Skazany poprosił władcę o wstrzymanie wykonania wyroku i dodał:

– Królu, jeśli zachowasz mnie przy życiu, to w ciągu roku nauczę twego konia fruwać.



8368154

Król odrzekł:

– *Niech tak będzie, lecz jeśli w tym czasie koń nie nauczy się latać, stracisz życie.*

Gdy później zatroskana rodzina pytała go, jak zamierza spełnić daną królowi obietnicę, powiedział:

– *W ciągu roku król może umrzeć, koń może zdechnąć lub może nauczyć się latać. Któż to wie?*

Skazaniec jest mistrzem niefrasobliwości. Zachowuje podziwu godny spokój w obliczu ponurych perspektyw i wcale nie różowej przyszłości. Podobnie spokojne spojrzenie w stronę rzeczywistego zagrożenia powinno być czymś normalnym u chrześcijanina. „Wiara kończy się tam, gdzie zaczyna się trwoga” – twierdzi Corrieten Boom. Można to wyrazić inaczej: Gdzie ustaje strach, też przed wrogą przyszłością, tam zaczyna się niewzruszona wiara. A taką wiarą sięga człowiek aż po krainę Bożych możliwości, gdzie nawet rzeczy nieprawdopodobne stają się możliwe, gdzie może się zdarzyć, że koń dostaje skrzydła i zaczyna latać. Chociaż zdarzyć się nie musi i nie zawsze się zdarza.

Chrześcijańskie wyznanie: Pan światłem i zbawieniem moim: Kogóż mam się lękać? – nie jest bynajmniej czarodziejską formułą na odpędzenie wszelkich bolesnych

doświadczeń i klęsk. Chrześcijanin o tym wie i ani go to w rozpacz nie wtrąca, ani nawet nie trwoży. Chrześcijanin jest wolny od lęku nie dlatego, iż z góry wie, że wszystko przyjmie korzystny obrót i żadna krzywda go nie spotka, że i tak wyjdzie z opresji bez szwanku, a zło nie będzie miało do niego przystępu, lecz dlatego, iż wierzy, że ostatnie słowo w każdej sytuacji jego życia należy do Pana, który jest światłem i zbawieniem. W kręgu tego światła, wszystko, co po ludzku niezrozumiałe i nieprzydatne, odsłania swą wartość i sens. W zasięgu tego zbawienia umrzeć – to zysk. Ta wiara pozwala chrześcijaninowi nie lękać się tego, co nadejdzie, ani co się wydarzy. A tej jego „niefrasobliwości” nie potrafi zniweczyć nawet najbardziej niepomyślny obrót spraw.

– Na pewno porusza serca – stwierdziła Mirka.

– Ok, dyskusję zostawiamy na później. Teraz czas na dziewczyny! Może Hania powie, czym chciałyby zainteresować młodzież?

– Między panem a niewolnikiem może być bardzo niewielka różnica. Czasem ktoś może być jednym i drugim jednocześnie – zaczęła dosyć tajemniczo!

To było w Andach, na wysokim płaskowyżu, późną jesienią. Pojawił się tam niewielki, luksusowy samolot, który coraz niżej zataczał koła nad prawie dziewiczą krainą. Silnik miał chyba defekt i na szczęście znalazło się miejsce do lądowania. Z samolotu wyskoczyło trzech młodych mężczyzn, rozglądających się dookoła. Zasięgu telefonu tu nie było, więc ruszyli przed siebie, by spotkać jakichś ludzi i nawiązać łączność ze światem. Spotkali grupę indiańskich pasterzy, ci jednak obrabowali ich ze wszystkiego i jeszcze poturbowali. Cudem chyba natknęli się na małą kamienną chatkę i pustelnika z Europy. Kiedy zapytali, jak mogą najszybciej dostać się do jakiejś stacji czy poczty, ten stwierdził, że padający teraz śnieg zasypie dolinę na całą zimę i muszą czekać tu do wiosny. Mężczyźni byli przerażeni.

– Co ja zrobię bez komputera? – wykrzyknął jeden.

– A ja bez mojej firmy? – jęknął drugi.

– A co ja pocznę tu bez moich dziewczyn? – zawołał trzeci.

Pustelnik tylko mruknął:

– A co zrobię tu z wami trzema?

Głośno i spokojnie jednak rzekł, by zabrali się do budowania sobie chatki, jeśli nie chcą zamarznąć na śmierć. Ani w głowie im było go słuchać. Zaczęli się kłócić i skoczyli ku sobie z pięściami. Ale pustelnik zamknął się u siebie. W końcu zmarznięci i głodni przyszli prosić go o pomoc.

Pierwszą noc przespali u niego, choć było strasznie ciasno i niewygodnie. Rano nieporadnie zabrali się do budowy, wybuchając co chwilę bezradną złością. Na szczęście pustelnik znał się trochę na tym i jakoś wszystkim dyrygował. W kolejne dni uczył ich strzelania z łuku, polowania, palenia ognia, gotowania. Bez tego chyba wpadliby w obłęd. I bez tego spokoju pustelnika, który bezwzględnie przestrzegał rytmu swoich modlitw i medytacji, głuchy wtedy na to, co robili. Kiedy któryś z nich zapytał, jakim cudem tak panuje nad sobą i nad nimi, odpowiedział:

– Pan nade mną i Pan we mnie.

Nie rozumieli, byli bowiem niewierzący.

Mijały tygodnie, a oni powoli wrastali w tę dziką i niedostępną krainę. Uczyli się także siedzieć godzinami przy ogniu, rozmawiać, śpiewać, słuchać. Coraz rzadziej

mówili o tym, bez czego dotąd nie wyobrażali sobie życia. Prosił pustelnika, by opowiedział im o swoim Panu, a on kazał im słuchać, patrzeć i odgadywać Go. Nie mogli pojąć, jak to się mogło stać, że podporządkowali się temu starcowi, choć on ani o to nie zabiegał, ani tego nie wymagał.

I tak przyszła wiosna, i śnieg zaczął sphywać, odsłaniając dolinę i drogi, ale oni jakoś nie spieszyli się do zejścia w dół. Jeszcze słuchali, jeszcze patrzyli w ogień, jeszcze powtarzali za pustelnikiem krótkie modlitwy. Kiedy zagadnął ich, dlaczego nie spieszno im do komputera, firmy i dziewczyn – milczeli. Wtedy rzekł:

Myśleliście, że panujecie nad tym, ale to wszystko panowało nad wami, a wy byliście jak panowie na smyczy swoich psów. Teraz możecie wracać, bo już nauczyliście się panować nad sobą. A kiedy zapagniecie Pana, On będzie tam, gdzie wrócicie. On was nie zniewoli. Ruszajcie!

Jak trudno pojąć współczesnym, że „wyzwalając” się od Boga, stają się niewolnikami wszystkiego. Kto ich z tego wyzwoli?...

– Pouczająca historia Haniu, też z sieci?

– Tak, nie było już czasu, ale znalazłam jeszcze kilka...

– Ale to już nie teraz, dobrze? Bo głos ma Inka!

– Moje „znalezisko” też pochodzi z sieci – rozpoczęła.

Ponoć coraz więcej młodych ludzi w USA poddaje się zabiegom chirurgii plastycznej, by upodobnić się do najatrakcyjniejszych celebrytów. Nie chcą mieć własnej twarzy ani tworzyć swojej osobowości, bo wygodniej z cudzą – sławną i wręcz symboliczną.

Marnym zajęciem jest chodzenie po ulicach jako człowiek-reklama. Chyba bardziej jako reklama-człowiek, bo tego drugiego nie widać często spod jakiegoś kostiumu czy zza krzykliwych kartonowych tablic. Jednak Nikiemu to odpowiadało – jakby utożsamiał się z postaciami, za które był przebrany, lub z tymi o zadowolonych twarzach na tablicach reklamujących to czy owo. A były to twarze mężczyzn graficznie doskonałych. Celowo nawet ukrywał swoją twarz, by nie kontrastowała z tymi przyciągającymi uwagę i aprobatę przechodniów.



3738427

Niechętnie więc zerkał w domu w lustro, jakby wstydząc się własnej nijakości czy bylejakości. Tym chętniej oglądał filmy z uwielbianymi powszechnie aktorami, grającymi wyraziste, wręcz mityczne role, zwłaszcza że ostatnio nosił na sobie plakaty filmowe z najnowszymi kinowymi hitami. To miała być krótka, sezonowa praca, ale jakoś się do niej przywiązał i nawet żałował, gdy firma reklamowa zrezygnowała z takiej formy reklamy.

Popadł w marazm, nie szukając zbytnio nowego zajęcia. Kuzyn zaciągnął go na spotkanie religijnej

wspólnoty, gdzie bardzo serdecznie go przyjęto i gdzie poczuł, że jest jednak coś wart. Wszedł w krąg dość aktywnie, tym bardziej, że pomogli mu w znalezieniu pracy przy promocji książek w wydawnictwie drukującym głównie popularne biografie i ikonografie świętych. Musiał je czytać, by zachęcać klientów do kupna. Niektórzy święci wręcz go zachwycali. Opowiadał więc o nich z pasją. Zaczął to robić nie tylko w pracy, ale w każdej rozmowie mówił o jakimś świętym, starannie podkreślając jego zalety, cuda, charyzmaty. Angażował się tak, jakby miał bardzo bliski związek z postacią czasem sprzed kilku wieków. W swoich opowiadaniach tworzył postacie bardziej heroiczne niż autorzy czytanych przez niego źródeł. Ubarwiał, szukał dodatkowych faktów z ich życia, anegdot, ikonicznych przedstawień. Zebrał ich sporą kolekcję. Nieznający go za dobrze słuchali chętnie, ale ci, z którymi spotykał się często i wciąż mówił im tylko o tych „wybrańcach, herosach Bożych”, zaczęli go unikać. Nie rozumiał tego. Przecież właśnie teraz brakowało wszystkim świetlanych, wręcz doskonałych wzorców. A zdawało mu się, że opowiadał o nich najpiękniej, bo jak można inaczej mówić o pięknych postaciach, losach,

twarzach. Nawet przynosił na spotkania wydrukowane w dużym formacie portrety czy reprodukcje obrazów, scen z życia tych świętych. Kuzyn, który wprowadził go w krąg, zauważył kiedyś:

– Ty nie żyjesz swoim, ale ich życiem. Owszem, pięknym, wręcz legendarnym, ale nie zauważasz, że przy opowieściach o nich, przy ich prezentacjach, sam jesteś bardziej nijaki i mniej podobny do któregośkolwiek z nich. Nie kryj się za ich ikonami, ale twórz swoją własną twarz, bo może nie zdążysz jej mieć...

Kiedy teraz pytają nas, wierzących w Polsce, jacy jesteśmy i jaka jest nasza wiara, my wyjmujemy ikonę Jana Pawła II i opowiadamy o jego wielkości. Nie zauważamy jednak, że wtedy narzuca się komuś nieuchronnie porównywanie jego z nami. I marnie chyba wtedy wypadamy...

– No i Mirka została na deser!

– To posłuchajcie mieszanego opowiadania – trochę z sieci, ale większość powinna być moja. – „Głębia przyzywa głębię...”, więc płycizna chyba też odnajduje się tylko w płyciznie. A płytkość jest ostatnio modna, bo głębia budzi lęk, niechęć, obawę przed zanurzeniem,

przed niespodziewanym, przed zakotwiczeniem, zakorzeniem. Boimy się głębszych przyjaźni, głębszych znaczeń ważnych słów, głębszej literatury, pogłębienia pojmowania kogoś lub czegoś, głębi swojego serca, coraz głębszej prawdy o sobie... o głębi miłości już nie wspominając. Wygodniejsza, bezpieczniejsza, bardziej swojska jest powierzchowność: parada wizerunków, degustowanie powierzchownych doznań i przeżyć, ślizganie się po powierzchni rzeczywistości, jak na desce surfingowej po grzbietach fal czy pilotem po telewizyjnych kanałach lub znudzonym wzrokiem pasażera pociągu po widokach za oknem. I nikt prawie nie dziwi się, że życie takie nijakie, płaskie, bo jednowymiarowe. Posłuchajcie też tego...

Z listu kończącego pewną znajomość:

Wybacz, ale ja tak dłużej nie mogę. Znamy się kilka miesięcy, a Ty ani razu nie spojrzales mi dłużej w oczy. Nie zapytales mnie nigdy o to, co naprawdę głębiej czuję i nie zatrzymales uwagi na tym, o czym Ci usiłowalam z siebie opowiedziec. Gdy siedzieliśmy ze sobą, to albo biegales wzrokiem po sali kawiarni, albo gapiles się przez okno, albo w telewizor, nie zatrzymujac się dłużej niż

minutę na jednym kanale. Nie przeczytałeś do końca ani jednego artykułu, który Ci poleciłam. O książkach już nie wspomnę. Gdy kupiłeś aparat, miałam nadzieję, że będziesz fotografował moją twarz (ponoć mam ciekawą i żywą), ale Ty wolałeś robić zdjęcia... kałużom, czyli temu, co się w nich odbijało.



453891

Nie znosiłeś ciszy ani milczenia i ostentacyjnie ziewałeś podczas ciekawszej dyskusji. Mówiłeś, że jesteś głęboko wierzący, ale gdy Ci zadałam kilka pytań o Boga, modlitwę, sens bólu... to okazało się, że ta Twoja wiara ma głębokość... kałuży. Może tak się teraz wierzy, czuje,

kocha, ale ja tak nie mogę. Nie umiem ślizgać się po powierzchni, latać jak motyl, skakać jak pasikonik czy być jak lupinka na fali. Mam coś z drzewa, które chce się zakorzenieć. A u Ciebie za płytko, za sucho...

– To też jest głębokie, prawda? Są ludzie żyjący jakby tylko na powierzchni siebie samych, na powierzchni zdarzeń... Dla nich nic i nikt nie ma chyba głębszego znaczenia. Kolekcjonerzy płytkich wrażeń, powierzchownych spotkań, naskórkowych przeżyć. Zdradza ich bezmyślny wzrok, znudzona twarz lub nerwowe podniecenie, gdy szukają czegoś, co wyrwie ich z nudy. Pustynię upiększa to, że gdzieś w sobie kryje studnię. A studnie saharyjskie są bardzo głębokie, bo sięgają do ogromnego lustra wody, którego nikt nie przeczuwa pod jałowym jakby i martwym krajobrazem. Tak jest i z wymiarem duchowym człowieka, zdarzeń, rzeczywistości. W tej głębi dzieje się coś, bez czego nie sposób pojąć tego, co na powierzchni. Tam tętni rzeczywiste życie. Tam tylko można wyruszać na odkrywanie sensów i znaczeń, poznawanie przepastnej głębi własnego serca. Tam napotyka się tylko spojrzenie Boga... Bo wciąż najważniejsze jest niewidoczne.

– Dzięki Mirka! Tekst jest super! Żeby jakoś podsumować nasze spotkanie, posłuchajcie...

Stara żydowska mądrość głosi: „Gdy człowiek się rodzi, ma zaciśnięte pięści, jak gdyby chciał powiedzieć: Ja zdobędę świat. Gdy człowiek umiera, jego dłonie są otwarte, jak gdyby chciał wyznać: Niczego nie zatrzymałem. Wszystko należy do ciebie, Boże”.

Aby chrześcijanin mógł rozstać się rzeczywiście bez żalu lub buntu z tym wszystkim, co w życiu zdobył, aby mógł złożyć Bogu podobne wyznanie, musi zachowywać postawę otwartych rąk. Aby tę postawę osiągnąć, musi od czasu do czasu stanąć przed Bogiem z otwartymi dłońmi i powiedzieć:

– Niczego nie ukrywam za plecami, niczego nie trzeba mi odbierać siłą; niczego Ci nie odmawiam, gotów jestem wszystko złożyć w darze lub w ofierze; cokolwiek weźmiesz, nie poczytam tego za stratę; wybór zostawiam bez zastrzeżeń Tobie, możesz wyciągnąć rękę po co chcesz.

Czy takie bezgraniczne zaufanie do Boga nie jest rzeczą zbyt ryzykowną? Czy takie pozostawienie Bogu wolnej ręki jest dla człowieka w ogóle możliwe? Czy człowiek potrafi się zdobyć na postawę otwartych dłoni?



3452571

Zaufanie to nie jest ryzykowne, ponieważ człowiek ma do czynienia z Tym, którego celem jest ubogacenie, a nie grabież; który ma radość w obdarzaniu szczęściem; który jeśli już coś weźmie, to jedynie po to, by stokrotnie wynagrodzić. Całkowite zdanie się na wybór Boga nie jest tylko możliwe, lecz wręcz nietrudne dla człowieka, który wie cokolwiek o pragnieniach Boga. Bóg pragnie być blisko człowieka, żyć z nim w przyjaźni i jedności. Jeśli już coś zabiera, to przede wszystkim to, co urzeczywistnieniu tego pragnienia stoi na przeszkodzie. Znakomicie pokazuje to epizod z życia św. Hieronima. Opowiada on, że w Wigilię Bożego Narodzenia ukląkł przed żłóbkiem i zapytał Boże Dziecię:

– *Mój Panie, stałeś się ubogi, aby nas ubogacić. Cóż mam Ci za to złożyć w darze?*

Wówczas Pan odpowiedział:

– *Hieronimie, ofiaruj mi swoje grzechy.*

*Na postawę otwartych dłoni potrafi się zdobywać codziennie, a nie tylko od wielkiego dzwonu człowiek, którego pragnieniem i szczęściem jest być blisko Pana. Jedno z praw życia duchowego mówi: Człowiek najściślej i najgłębiej związany jest z tym, komu najwięcej ofiarował. Istnieją ludzie, którzy te prawa odkrywają intuicją miłości i dlatego gotowi są oddać wszystko, by tylko więź z Panem bardziej jeszcze zacieśnić lub pogłębić. I ludzie ci dają wyraz owej gotowości w codziennej modlitwie: *Mój Panie i Boże, zabierz mi wszystko, co mnie oddala od Ciebie! Mój Panie i Boże, daj mi wszystko, co mnie zbliża do Ciebie!**

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w zupełnej ciszy. Ptaki pięknie śpiewały za oknem, do obiadu był jeszcze czas, bo Msza święta była dziś zaplanowana na późny wieczór. Co dalej? Czy na popołudniowym spotkaniu opowiemy wszystkie historie, czy niektóre? I w tym momencie odezwał się mój smartfon: „Spotkanie

popołudniowe – macie około 60 minut na podsumowanie swoich propozycji ewangelizacyjnych!”.

– Słuchajcie, kochani! Do obiadu, z zegarkiem w ręku niech każdy z was opowie jeszcze raz swoją historię. Mamy godzinę na prezentację! Proponuję, abyśmy wszyscy wystąpili! Ok? Nigdy nie wiadomo, kogo zainteresują, prawda? A czy zadziałają na młodzież? To już w ręku Boga! Dziękujemy Ci Boże za te opowiadki! I za słońce, i za ptaki! Bądź uwielbiony!

Skuteczność informacji w „SFINKSIE”

Dobre słowo mało kosztuje, a pomaga wiele

/Wojciech Bartoszewski/

Stałem i patrzyłem z dumą na nasz rodzinny biznes. Dziwnie to trochę zabrzmiało, bo Firma Cmentarna „SFINKS – Janusz i spółka” czyta się na przytłumionym oddechu, ale... Dom i biuro po kapitalnym remoncie prezentują się okazale. Różne akcesoria pogrzebowe – od pięknych (w różnej cenie) nagrobków, aż do drobnych gadżetów, projektant „schował” od podwórka w specjalnych namiotach i pawilonach. Asortyment bardzo różnorodny – na wszelkie gusta damskie i męskie. W poniedziałek – otwarcie salonu, a w niedzielę po sumie, proboszcz obiecał, że poświęci nowo-starą firmę z dziada, pradziada należącą do rodu Klimeckich.



2421821

Żona z córką pojechała na duże zakupy. No bo obiad w niedzielę musi być wystawny! Nie chciała zamawiać cateringu, same wszystko zrobią, obiecała z błyskiem w oczach. Na obiedzie ma też być narzeczony Moniki – Filip z rodzicami. Oni są już jak rodzina, tak się nawzajem traktujemy. Młodzi mieszkają razem od dwóch lat, ślub za dwa miesiące, w czerwcu. No, tak to już teraz jest! Trudno, wypowiadają się, a czy będą żałować, to już nie nasz kłopot, ale księdza.

– Będzie dobrze! – pocieszyłem się na głos.

Filip z Moniką mają przejąć po mnie ten interes. Na razie się przyuczają i robią dyplomy na Akademii Ekonomicznej. No bo co papier, to papier! Muszą o tym pamiętać!

Ocknąłem się z tych moich planów i marzeń. Żona zajechała właśnie przed dom i od razu zagoniła mnie do roboty. Wykupiły chyba cały zapas w Realu!

– Czy to już zapasy na wesele – zapytałem trochę zjadliwie, ale były tak zmęczone, że dyskusji nie było.

– Co w domu, to w domu – mruknęła Monika i oznajmiła, że boli ją głowa i idzie na pięterko, żeby się położyć.

– Nie jestem pewien czy to nie jest pretekst, bo coś mi mówiła, że w poniedziałek mają jakieś duże kolokwium. Ale cóż, niech się dziecko uczy, chociaż nie ma z czego.

– Jak to nie ma z czego? A smartfon? – Żona była zdumiona moją niewiedzą – Przecież w nim jest kopalnia wiedzy. Niech się nauczy chociaż części z tego, co tam jacyś mądrzy ludzie wpisali, to już będzie Ok!

– A ty Kama myślisz, że to wszystko jest prawdą? I to sprawdzoną na sto procent?

– Tak mówili, Janusz w „Pytaniu na obiad”, a tam jest tylko prawda, cała prawda i tylko prawda! – Kama aż się zachłysnęła z wrażenia! – Ty patrzysz tylko w te nagrobki, trumny, urny itp., itd. I co? Nie wiesz takich podstawowych rzeczy?

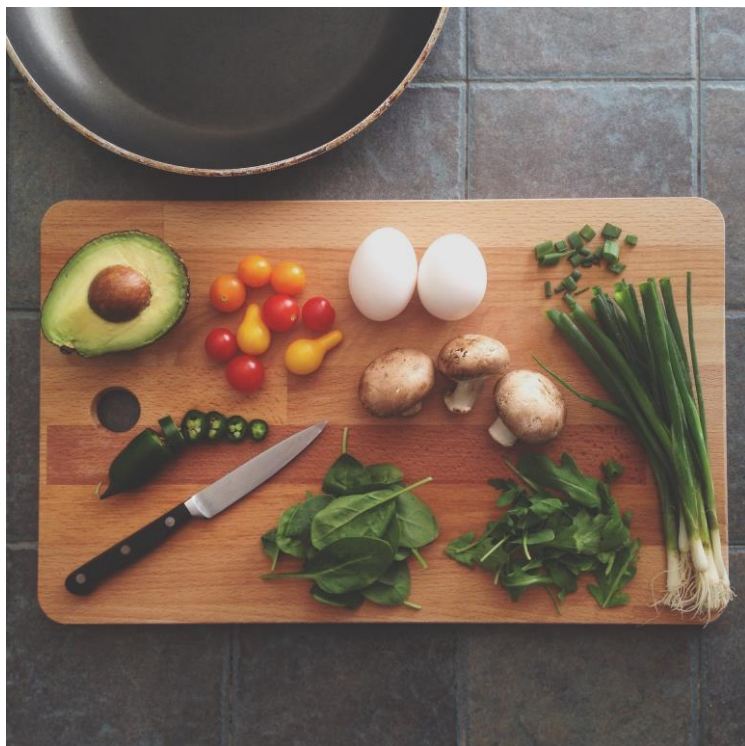
– Ale posłuchaj! „Pytanie na obiad” to nie jest żaden pewny program. A zresztą, zostawmy to! Jeżeli już wypiałś kawę i trochę odetchnęłaś, to może pochowamy zakupy do lodówki i...

– Co takiego? Do jakiej lodówki?! Bierzymy się do roboty, i to szybko! Jest czwartek po południu, a przed nami taka impreza! Musimy dobrze się zaprezentować. I przed teściami, i przed Filipem, i przed proboszczem, prawda? Drożdżowe ciasta zostawię na sobotę, a mięsa, zupy i inne smakołyki – robimy dziś do wieczora i jutro przez cały dzień. Jasne? Pójdę tylko na moment na górkę i sprawdzę, co u Moniki, oraz przebiorę się w domowe ciuszki.

O Matko Boska! To co to będzie na weselu, zajęczałem w duchu. Może jednak Monika zejdzie i pomoże? Ale Kama oświadczyła, że córka śpi jak zabita, na stoliku leży opakowanie „Ibupromu” i kubek po wodzie.

– Nie budziłam jej, może jutro będzie w pełnym ryzsztunku – oznajmiła.

Do późnego wieczora robiliśmy z Kamą różne – jak to mawiała moja ś.p. babcia – bzdety. A to popłukać, pokroić w paski, a tamto w kratkę! O Boże! No, zobaczymy, co z tego wyniknie! Jutro rano, jak tylko zobaczę Monikę w kuchni, urywam się i już! Muszę pomyśleć nad dekoracją pokoju, wejścia do domu itp. najlepiej w jednym stylu.



1838785

Ranek był szybciej niż się spodziewałem i Kama ściągała ze mnie kołdrę.

– Wstawaj! Już siódma! Pomożesz mi w przygotowaniach, bo potem będziesz robić dekoracje, prawda? Widzisz, jak ja cię dobrze znam!

– A gdzie Monika? – wydusiłem omdlałym głosem.

– Wyjechała do Wrocławia, miała pilny telefon. Wróci w sobotę wieczorem.

Zabrakło mi słów...

Siedziałem w kuchni do siedemnastej.

– A tak przy okazji – jak nastawić czas na smartfonie?
– podpytywałem pomocnika, który wszedł do kuchni po kolejną butelkę wody.

Czas nastawił mi od ręki. Młodość...!

– Ojej, późno – westchnąłem cichutko! – Kama, idę zobaczyć, co z tą dekoracją!

I odwracając się na pięcie, dałem nura do domu, oczywiście pustego w środku. Za chwilę przyszedł pomocnik i wspólnie pokonaliśmy problem dekoracji. Wyszło ciekawie i inspirująco! Najlepszy okazał się pomysł, aby dobre jedzonko kapąło z moich ust!

Oczywiście na portretowym zdjęciu, umieszczonym nad drzwiami!

Poświęcenie firmy po kapitalnym remoncie i wystawny obiad wypadły super! Proboszcz otrzymał też od nas kopertę z odpowiednią „kasą” – za fatygę. Był rozanielony! Przyszła młoda para siedziała przykładnie za stołem, teściowie byli obsługiwani przez mojego syna i synową, którzy z rodziną zjechali na obiad niedzielny!

Przy kawie i deserze, proboszcz zagadnął mnie, czy mam już gotowe wizytówki, bo może pomóc w przekazie ich w ramach dekanatu.

– Im więcej klientów, tym lepiej dla firmy, prawda?

– Mają być w tygodniu gotowe – odpowiedziałem trochę w roztargnieniu, bo w tym pędzie ostatnich dni, prawdę mówiąc o nich zapomniałem. – Jeszcze grafik chciał nam coś zmienić, pojedę jutro do niego i uzgodnimy, jak będzie.

– Dobrze, dobrze, to podrzuć mi paczkę, zrobię rozeznanie, co i jak. I wiesz co, Janusz? W ubiegłym roku byłem u znajomego proboszcza w Londynie. Tam takich biur jak wasze, jest masa! I on wymyślił, że w jego biurze będzie trochę inaczej. Nie wszyscy z rodzin, które tu

przychodzą, muszą chodzić po firmie, oglądać trumny, urny, ceny, wybierać strój dla zmarłego, czekać na rachunki itp. Właśnie w Londynie, w małej poczekalni, córka właściciela roznosi napoje, herbatniczki i proponuje do poczytania okolicznościowe teksty. Wiecie, że chwyciło?! Może i wy spróbujecie?

– Pomysł super! – zawołał Filip, a Monika mu przyklasnęła. – Wyjdziemy teraz do ogrodu, a na podwieczorek pokażemy teksty. Dobrze, tato?

– Co, będziecie je tworzyć? – zdumiała się przyszła teściowa.

– Ależ nie, w Internecie jest przecież wszystko, nie wiecie o tym? Na pewno, na początek znajdziemy kilka historyjek.

I rzeczywiście, pokazali nam owoc swoich poszukiwań! Uważam, że zrobili to właściwie i z gustem. Posłuchajcie!

Jesteśmy czasem jak karzełek, co stanął nagle z tyłu krosna pod płachtą kilimu i nie pojmuje sensu i ład u gmatwaniny różnokolorowych nici, sznurków, splotów i węzłów tkaniny. Nie wie on – bo i skąd – że od góry

wygląda to zupełnie inaczej... Tak, ale musiałby spojrzeć na to oczami pracującego tkacza.

„Modlitwy idą i wracają – nie ma niewysłuchanej” – powtarzała często Magda, modląc się kolejny rok o dziecko. I kiedy już coś zaczęło w niej ustawać, nagle, wbrew lekarzom, pojawiły się oznaki ciąży, potem ruchy dziecka i jego narodziny.

– Widać, że wymodlony – powiedziała jej matka – istny aniołek.

Tak, to było śliczne, złotowłose dziecko i tak kochane, że zdawało się, iż jest „pieszczochem nieba”. Magda porzuciła pracę fryzjerki, chcąc zająć się nim całą sobą. Tym bardziej nikt nie mógł pojąć tego, że to oczko w głowie całej rodziny wyrwało się któregoś dnia spod oka babci i wpadło pod ciężarówkę swojego ojca, wybiegając mu naprzeciw. Na pogrzebie nawet ksiądz nie był w stanie powiedzieć ani jednego zdania kazania.

Magda codziennie chodziła na cmentarz, wpatrując się w fotografię na nagrobku jej ukochanego synka z rozwianą, jasnozłotą czuprynką. Nie potrafiła spojrzeć w oczy mężowi i reszcie rodziny, jakby wszyscy byli winni tej bezsensownej śmierci, z Bogiem na czele. Nie modliła się

wcale. Czula kamień w gardle i w sercu. Po trzech miesiącach zaczęła się budzić z wykrzykiwanym z płaczem pytaniem: „Dlaczego?!”.



6951419

Powtarzała je potem wielokrotnie każdego dnia, zwłaszcza na cmentarzu. Ale w końcu nie można żyć między grobem a domem. Zdobyła się na rozmowę z mężem, prosząc o niewielki kredyt, by mogła znów otworzyć mały zakład fryzjerski i powoli powracać do życia sprzed narodzenia synka. Słuchała rozmów klientek, czasem sama je wszczyniała, żeby zmniejszyć ciężar w sobie. Jednak czasami szloch powracał bezwiednie,

szeptala: „Boże, dlaczego?”. Z nikim jednak nie chciała o tym rozmawiać.

Mijał już rok od śmierci dziecka i przyszła jesień. Któregoś dnia, zaraz po otwarciu zakładu, gdy była tam sama, weszła jakaś młoda i bardzo ładna kobieta, prosząc o wyrównanie i ułożenie jej bujnych włosów. Kiedy usiadła w fotelu i Magda dotknęła jej włosów, aż zadrżała, widząc i czując, jak w barwie, połysku i jedwabistości są podobne do włosów jej synka. Trudno było jej opanować to drżenie i łzy. Tamta dostrzegła łzy w lustrze, ale nie pytała o nic, wypatrując odbicia jej spojrzeń. Włosy kobiety były niezwykle i ona w pewien sposób też. Czuć było od niej jakiś subtelny, niespotykany zapach. Kiedy kilka łez Magdy spadło na jej włosy, odezwała się:

– Tam, gdzie mieszkam, taka łza ma wartość brylantu w ogóle, a dla twojego syna szczególnie. Nawet nie wiesz, jak on jest tam szczęśliwy. Chcesz, to pozdrowię go od ciebie. Będzie jeszcze szczęśliwszy...

I uśmiechnęła się jakoś tak niezapominajkowo. Magda opadła na krzesło, niedowierzając temu, co usłyszała. Podniosła dłonie do twarzy, a kiedy je opuściła, kobiety już nie było. Spojrzała na migoczące pod fotelem kosmyki

włosów tamtej i schyliła się po nie, ale podmuch, jaki wpadł od drzwi otwieranych przez jej pomocnicę, zmiotł je spod jej dłoni i tylko jeden włos został jej w palcach.

– Był tu już dziś ktoś? – zapytała pomocnica, patrząc na odmienioną twarz.

– Tak, anioł z odpowiedzią – wyszeptała.

Święci mawiali, że jeśli Bóg coś czy kogoś odbiera, to po to, żeby zachować i zwrócić stokrotnie. Nie widać tego od strony kogoś, kto utracił. Bóg milczy wtedy, gdy padają rozpaczliwe czy natarczywe pytania. Odpowiedź jednak przychodzi – niezapowiedziana.

Lękać się trzeba o serce, co na wietrze uczuć jest jak listek... I choć płaczliwe bardzo, lzy może wypłakać wszystkie...

Szkoda, że po zamku na wzgórzu koło Brąswaldu na Warmii nie został kamień na kamieniu, bo ładny był ponoć. Jednak dobrze, że jednemu sercu, które tam skamieniało, ludzkie czucie zostało przywrócone, o czym mówi ta legenda. Opowiada ona o wdowie, której mąż – pan zamku – wyruszył przeciw wrogim plemionom i w bitwie koło Świętej Lipki poległ. Tak przynajmniej

twierdzili ci, którzy na pobojuwisku tarczę jego znaleźli i żonie ją przywieźli. A ona młoda była jeszcze i w nim rozkochana. Zaniosiła się płaczem tak głośnym, że echo po jeziorach szło i w ludziach żal budziło. W tym płaczu nie ustawała prawie, jakby nim chciała poruszyć niebo.

Któregoś dnia umilkła nagle, wyszła do ludzi z twarzą suchą i zimną, a gdy zaczęła rozkazywać, sądzić, karać, ludzie pomyśleli, że serce w niej obróciło się w kamień. Już żadna łza nie błysnęła w jej oku ani żadna czyjaś łza, ból czy skarga nie poruszyły jej serca. Zaczęto nazywać ją Kamienną Panią. Jednak ów rycerz, jej mąż, został wzięty w niewolę i po wielu miesiącach z pomocą jakiegoś wajdeloty zbiegł i przez puszcze ruszył w stronę zamku. Kiedy dotarł tam, tak był zabiedzony, obdarty i zarośnięty, że nikt go nie poznał. Stanąwszy przed Panią, opowiedział jej o swoich bojach, niewoli, udrękach, ucieczce, ale że jest jej mężem – zamilczał. Pozwoliła mu być najemnym sługą i pomagać w drewnitni i przy paleniu w piecach. Jednak któregoś wieczoru rozpoznała go stara piastunka, szepcząc tuż za nim jego imię. Drgnął wtedy i przytulił płaczącą, lecz szeptem wyjawił jej, iż w niewoli ślubował Bogu, że nie wyjawi, kim jest, dopóki jego żona sama go

nie rozpozna. Zachodził wieczorami do piastunki, słuchał jej opowieści i sam opowiadał, ale oboje strzegli tajemnicy. Pani ani razu nie spojrzała w twarz słudze, mimo że usługiwał przy stole, przy koniu, na polowaniu. I tak minęło kilka lat, aż zmogła ją ciężka choroba. I wtedy piastunka pomyślała, że może kończy żywot i zmięкло jej serce, więc wyjawiała jej tajemnicę. Jednak ten kamień w sercu Pani odpowiedział tylko obawą, że mąż pozbawi ją władzy lub zmieni jej sposób panowania. Kazała przykuć go do ściany w głębokim lochu, chcąc go zagłodzić na śmierć. Piastunka jednak karmiła go przez kratę. Pani odkrywszy to, postanowiła otruć męża rękami piastunki. Podarowała jej placek, który lubił niegdyś jej mąż, dodając do ciasta truciznę. Jednak nieopatrznie placek nadgryzł kot, który natychmiast zdechł. Kiedy Pani ujrzała, że piastunka zakopuje placek, rzuciła się, by ją udusić. I wtedy ta stara kobieta krzyknęła:

– Przekłęta bądź i zamień się bodaj w żmiję, byś tak pokutowała za swoją złość, dopóki ktoś nie nazwie cię Bożym stworzeniem.

I tak się stało. Długa i barwna żmija wypęzła z zamku i skryła się pod wielkim krzakiem róży przy drodze. Rycerz

objął władzę na zamku i zmienił się los poddanych, bo wszystkie niedole uczyniły jego serce litościwym. Co i raz jednak ktoś spotykał w pobliżu różanego krzewu wielką żmiję, a dzieci ciskały w nią kamieniami.



3523686

*Kiedyś ujrzał to pielgrzym i powiedział do chłopców:
– Nie róbcie jej krzywdy tymi kamieniami, bo to też stworzenie Boże.*

I wtedy stanęła tam piękna pani, która szybko zmieniła się w garbatą staruszkę, prosząc pielgrzyma, by wziął od

niej złotą ostrogę jako znak, kim ona jest, i żeby poprosił wszystkich o przebaczenie. I zniknęła.

Kiedy ów pielgrzym przejął władzę po śmierci rycerza, zamek zasłynął jako miejsce wielkiego miłosierdzia. Po wielu latach, gdy w Brąswaldzie budowano kościół, wykopano złotą ostrogę. A ów różany krzak długo jeszcze kwitł, przypominając ową legendę.

Przekleństwem jest serce niezdolne do łez i współczucia. Może na tę nieczułość sposobem jest tylko pokuta?

Mówisz, że kochasz. To, że kochasz, to jeszcze nic. Ważniejsze jest: kogo, a najważniejsze: JAK? Można bowiem z miłości zrobić sobie bożka, obłąd, narzędzie zniewolenia, grę, zabawę, pasję życiową... I nigdy naprawdę nikogo nie kochać, choć o miłości się śpiewało, pisało, choć się miłość wielbiło.

Pewien król, zaraz po ślubie, postanowił wybudować swojej pięknej, młodziutkiej żonie pałac. Pałac tak piękny i wielki, jak jego miłość do niej. Zebrał najlepszych architektów, razem długo tworzyli projekt i szybko ruszyła budowa. Król głównie nią żył. Bezpośrednio nadzorował,

coś zmieniał, doskonalił i coraz rzadziej odwiedzał żonę, bo przecież to wszystko dla niej tworzył. Królowa zaczęła chorować, blednąć, marnieć i któregoś dnia cicho umarła, podczas gdy mąż właśnie pilnował w nowym pałacu pozłacania łoża dla niej... Król wpadł we wściekłą rozpacz.

– Jak ona mogła mi to zrobić?! – krzyczał płacząc. – Umrzeć przed ukończeniem TAKIEGO pałacu?!

Kazał włożyć ciało zmarłej do skromnej trumny i złożyć ją w niszy, bo postanowił, że robi dla niej trumnę z kryształu, a pałac przeobrazi w jej mauzoleum. Zabrał się więc z jeszcze większą pasją za budowę. Mauzoleum miało być na obraz i podobieństwo jego wielkiej i tragicznej miłości. Sprowadzał najlepsze marmury, najlepszych rzeźbiarzy, dekoratorów. Zaniedbywał rządy, obronę granic, chcąc ukończyć arcydzieło swojego życia, któremu poświęcał już trzeci rok.

Któregoś dnia, tuż przed ukończeniem pałacu-mauzoleum, przechodził z nowym architektem koło niszy z trumną. Spojrzał na nią i oburzył się, jak coś tak brzydkiego może przebywać w sąsiedztwie tak wspaniałego pałacu... I polecił wyrzucić tę trumnę. Wtedy

stary sługa przypomniał mu, że to trumna z ciałem jego zony i że to dla niej miał być ów pałac. Król spojrział z pogardą i rzekł:

– Jeśli ona była tak brzydka, jak owa trumna, to nie jest godna tego pałacu, a nawet krypty z trumnami jej poprzedniczek.



883860

Kto w miłości jest ważniejszy: kochający czy kochany? Kiedy teraz czytuję w poppsychologicznych tekstach o konieczności kochania siebie samego (bo ponoć bez tego nikogo innego nie można pokochać), wręcz o przymusie

samoakceptacji, samopotwierdzeniu siebie, samoafirmacji, samorealizacji, to mam wrażenie, że jest to nowa religia: KULT SAMOLUBA! I nie dziwię się potem, że taki/taka, choć za miłością goni, to ją uśmierca, zanim ona zacznie się w kimś rozwijać, bo na wszystko rzuca cień swojego rozdętego JA.

„Powiedz mi, JAKA jest twoja miłość – mówił do młodzieży Jan Paweł II – a powiem ci, kim jesteś”.

Jeszcze dobrze żyć nie zaczęli, a już swym życiem tak zmęczeni... Niby nie chcą się całkiem od ludzi oddzielić, ale nie chcą być przez nich niepokojeni... Niechętni do bycia w tyglu – zawsze lepiej z boku, a z rzeczy świętych to chyba jedynie... święty spokój.

Na poboczu pewnej legendy zaistniało mimochodem coś jak przypowieść. Może całkiem nieważna, ale może też jednak kogoś zaniepokoi. Otóż zjawił się tam jakby przypadkiem młody człowiek, choć z cieniem goryczy na twarzy. Nie wyglądał, by uciekał przed czymś, ale też żeby dążył dokądś czy do czegoś. Jeśli szukał schronienia, to może jak zwierzęta przesypiające zimę, choć właśnie zaczęła się wiosna. Zakątek na skraju lasu z opuszczoną

drewnianą chałupką uznał za swój azyl i tam pozostał. Miejscowi pasterze czasem go zagadywali, gdy widzieli, jak krząta się, idzie po wodę do źródła lub wraca. Odpowiadał, ale nie widać było w nim chęci do pogadania.

– Odludek jakiś – powiedział ktoś i dali mu spokój, bo tego chyba pragnął.

W nie tak odległej wiosce działy się ludzkie dramaty i radości, ale on wolał ich nie znać, bo nie po to schronił się na uboczu. Jakoś tam dbał o to, by coś zjeść i mieć czym napalić w kominku, a czy co robił więcej – nikt nie wiedział. Mijały lata, we wsi najstarsi umierali, dzieciaki rosły, były nowe śluby, wesela, chrzciny, a on tkwił u siebie – ani szczęśliwy, ani nie. Wystarczało mu to, co miał i jakim był. Nawet za bardzo się nie zmieniał, bo zmarszczek ani siwych włosów nie miał mu kto przysparzać. Sypiał sporo i twardo, bo lubił, a nie budził go nikt, nawet ptaki, które chyba wyplaszal. I tak ubiegło mu życie. Pogarbily mu się plecy, włosy zrzedły, oczy, choć nigdy nie błyszczały, bardziej przyblakły. Czuł coraz częściej niemoc w kościach i to zaczynało go niepokoić. Podobnie jak obawa, że to wygodne gniazdko w chatce może będzie

musiał utracić i kto inny ją zajmie, a on tak bardzo się do niej przywiązał, że ani w głowie mu było stąd odejść. Jeśli czegoś żałował, to nie życia nijakiego trochę czy nieodczutej nigdy miłości, braku bliskiej istoty – nie. Żał go ogarniał na myśl o utracie tego spokojnego kąta. Nigdy jakoś szczególnie się nie modlił i nigdy nie wydobył z siebie nawet śladu wdzięczności za ów spokój tutaj. Teraz jednak odezwał się do Boga:

– Jeśli jesteś wszechmocny, to spraw, bym mógł zostać w tej chałupce także po śmierci, bo gdzie mi będzie lepiej. Po to ją urządziłem i pokochałem.

Bóg ma litość dla grzesznika, to i dla odludka czy samotnika także, więc przychylił się do tej prośby. Po srogiej zimie, kiedy śniegi były tak wielkie, że przysypały chałupkę zupełnie, ludzie na wiosnę zastali tam wielki głaz w kształcie chaty, z wyraźnie zarysowanymi drzwiami i oknami. Kiwali głowami, że jakie kto miał życie, tak i po śmierci ma.



403774

Dziwnie cicho przy tym glazie-chałupce było, jakby dawny mieszkaniec i teraz dbał tu o spokój. Jakoś deszcze i wiatry nie naruszyły twardości i obłych kształtów glazu, ale gdy budowano drogę, przyjechali kamieniarze i rozłupali glaz na kawałki do budowy. Mówiono jednak, że ktoś ich nocami przy pełni księżyca niepokoi. Ale może to tylko ich własne niepokoje serca, bo w końcu, kto może żyć na świecie w kamiennym spokoju.

Ostatnio ludzie jakoś częściej życzyli sobie spokoju. Pewnie wszyscy go potrzebują, mimo braku wielkich

niepokojów i wojen. Jednak chcieć od życia tylko spokoju – czy nie jest to przedwczesne budowanie grobowca, od którego nawet ptaki trzymają się z daleka?

Król bardzo lubił wokół siebie grzeczne uśmiechy. Ale zatrząsnął się ze strachu, gdy ktoś nagle wybuchnął serdecznym śmiechem.

Hegemon kpił z tego, że ludzie wokół szemrali, ale przeraził się, gdy zaczęli głośno i pogodnie śpiewać. Kto sam nie jest naprawdę wolny, nie znosi tych, co takimi są. Zrobi wręcz wszystko, by tę ich wolność przykurczyć strachem, zatruć obawą, skuć podejrzliwością. Jakoś tak jest, że gdzie nie ma wolności, nie ma też radości, bo każdy każdego się boi. Może wtedy słyszać głośną muzykę, huk fajerwerków, ale nie słyszać radosnych pieśni śpiewanych pełną piersią. Lęk jest niewolą duszy.

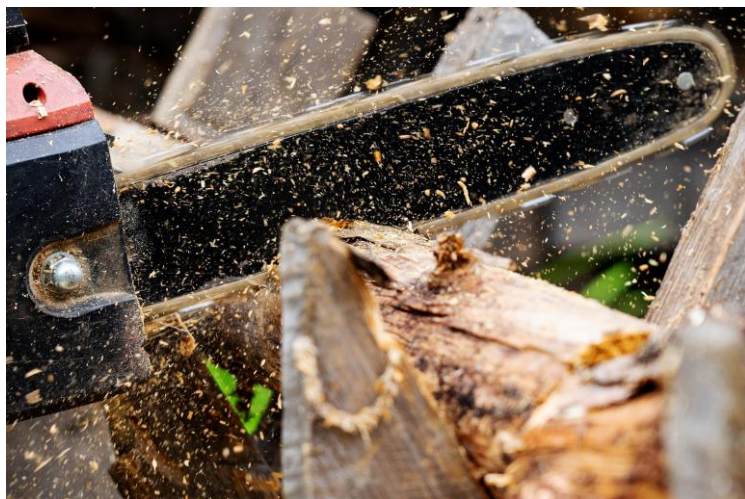
Pewien naczelnik miasta jeździł często na polowania. Wtedy w lesie cichły ptaki, ale robiło się głośno od ujadania psów, głosów rogów i brzękadeł naganiaczy. Obojętnie jednak, czy łowy były udane, czy nie, gdy przejeżdżał on obok chałupy drwala, słyszał, jak on śpiewa. A śpiewał jak ktoś, kto nie ma nic do stracenia, bo

patrzył prosto w oczy naczelnikowi, jakby on tu był panem lasu, chałupy i samego siebie.

Już kilka razy naczelnik myślał, jak zdławić to śpiewanie w tym prostaku, jak przymusić go do pokłonu i lęklivego spojrzenia. Któryś ze służących podpowiedział:

– Trzeba mu dać tyle roboty, żeby się zgiął do ziemi, i zagrozić mu utratą wszystkiego, nawet życia, jeśli jej nie wykona. I niech to będzie robota jałowa.

Posłał więc naczelnik do drwala poborcę podatków i kazał mu wyrabiać codziennie dziesięć worów trocin. Jeśli po tygodniu nie będzie siedemdziesięciu worów, to drwal straci chałupę, a może i życie. Drwal spokojnie wysłuchał i wrócił do swojej roboty i śpiewu. Wcale nie przyspieszył pracy ani w ten dzień, ani w następne. A trocin było tylko tyle, ile sypało się spod piły. A on nadal śpiewał.



4480274

W ostatni dzień, świąteczny, zaprosił bliskich, ugościł, a potem, po śpiewach i tańcach, czekał spokojnie z żoną na wyrok lub katów.

– Lepiej stracić wszystko, niż żyć w poniżeniu, strachu i niewolniczej harówie! – rzekł do żony, a ta dodała:

– Ech, nikt nie zabije twojej radości...

I wtedy załomotano do drzwi. Westchnął drwal, chlipnęła żona, jeszcze raz zaśpiewał pełną piersią i poszedł otworzyć. W drzwiach stał sługa z pałacu.

– Potrzeba kilka desek na trumnę dla naczelnika – powiedział cicho. – Umarł przed chwilą, ponoć ze złości.

Nie wiem, czy zazdrościć tym, co ciągle nas straszą nowym podatkiem, nowym zakazem, nową bezkarną bezczelnością... Przecież oni się boją już własnego cienia. A otuchy im dodają nasze grzeczne uśmiechy, ciche szemranie i lęk o oczach. Może w końcu czas wybuchnąć im w twarz śmiechem i zaśpiewać z głębi wolnej duszy?

Kahlil Gibran opisuje w krótkiej przypowieści, jak to oko rzekło pewnego dnia:

– Za tymi dolinami w niebieskiej mgle widzę górę. Czyż nie jest ona piękna?

Ucho posłuchało przez moment i odparło:

– Gdzie jest góra, nie słyszę żadnej.

Ręka dorzuciła swoje pięć groszy:

– Próbuję dotknąć i nie czuję żadnej góry.

Nos przyłączył się do tego chóru oponentów:

– Niczego nie mogę wywąchać. Tam nie ma żadnej góry!



2064522

Oko obróciło się w inną stronę. Oponenci zaś po krótkiej dyskusji doszli do wniosku:

– Z okiem coś jest nie w porządku.

Z podobnym niezrozumieniem spotkał się Jezus u swoich słuchaczy. On mówił o królestwie Bożym, im marzyło się ziemskie królestwo.

On głosił pokój za wszelką cenę, oni spodziewali się po Nim zbrojnej akcji.

On ostrzegał, że nie można dwom panom służyć, oni chcieli bić pokłony Bogu i czapkować Mamonie.

On odpuszczał grzechy, oni uważali Go za bluźniercę.

On uczył pokory i uniżoności, oni spierali się o pierwsze miejsca i wyższe stolki.

On chciał im przynieść wolność od zła. Oni użalali się nad utraconym stadem świń i wyprosili Go ze swej okolicy.

On obiecywał im swoje ciało na pożywienie, oni uznali, że jest niespełna rozumu.

On mówił, że dana Mu jest wszelka władza, oni domagali się, aby to udowodnił i zszedł z krzyża.

To dlatego Jezus zadał owo pełne goryczy pytanie: Jeśli prawdę mówię, dlaczego Mi nie wierzycie? Dlatego też zakrzyknął z oburzeniem: O, plemię niewierne i przewrotne!. Czy to plemię naprawdę już wymarło? Czy Pan nie ma już do rozczarowania powodu? Czyż nie zdarza się i nam, że chcemy wszystkiego dotknąć, wszystko przejrzeć, wszystko dokładnie osłuchać? Czy nie zdarza się nam podawać w wątpliwość Jego słów i opatrywać znakami zapytania Jego naukę?

Św. Jan zapewnia, że prawda przyszła przez Jezusa Chrystusa. Sam Chrystus wyznał o sobie, że po to przyszedł na świat, aby dać świadectwo prawdzie.

Więc zamiast pokrzykiwać: Zobaczmy, czy prawdziwe są Jego słowa, zamiast powtarzać pytanie

*zdegustowanego Pilata: Cóż to jest prawda?, uczmy się
wyznawać za Dawidem: Tyś Bogiem, Twoje słowa są
prawdą.*

– Brawo, brawo! – wołał przyszedły teść Moniki. –
Super! Może niejeden krewniak się tu nawróci, jak
myślicie?

Ja uważam, że Bóg działa na różne sposoby, również
przez teksty, nie tylko z Biblii. Spróbujemy! Wiwat ksiądz
proboszcz! Dziękuję za podpowiastkę. Oby tylko – jak
ksiądz mówił na początku – klientów nie brakowało!

Niezawodność informacji się sprawdza!

Od słowa do uczynku tak daleko jak od liścia do korzenia

/Mieczysław Wiraszko/

– Cisza nocna! Cisza nocna! Cisza nocna...! – Głos strażnika słycać było już z coraz dalszej odległości.

Gdy całkiem umilkł, Wojtek, chyba najstarszy wychowanek z sali dwadzieścia osiem, usiadł na łożku, złapał koc z wolnego posłania, wetknął go w szparę na dole drzwi i tryumfalnie zapalił zdobytą gdzieś zapalniczkę.

– No chłopaki, tylko cicho mówimy, żeby jakby co, usłyszeć strażnika.

– Mamy nowego kolegę. Może się nam przedstawi?

– odezwał się Krzyś.

Mały, drobny chłopaczek dygotał pod cienkim kocem, jeszcze nie przyzwyczajony do takich „luksusów”.

– Cześć! Jestem Bartek! Nic złego nie zrobiłem, a...

– Ha, ha, ha! Tak wszyscy mówią tutaj na początku, ale później różnie bywa.

– No to wiemy, ty jesteś Bartek, to jest Krzyś, to Zenek, a to Mirek, a ja jestem Wojtek. A to łóżko jest puste, bo Edek wyszedł tydzień temu.

– O, to stąd się wychodzi? – wyrwało się radośnie Bartkowi!



2163951

– Tak! Edek wyszedł, ale do ciupy! Był już przerośnięty jak na nasze warunki i podobno miał na nas zły wpływ! Ha, ha, ha! A ty Bartek, pamiętaj! Ja tu jestem hersztem i mnie trzeba słuchać, jasne?

– Tak, jasne!

– No, to nie będzie ci tu źle! Dogadamy się!

Bartek wyciągnął rękę spod koca i już trochę ośmielony poprosił:

– To opowiedzcie coś, jak tu się mieszka, przepraszam, żyje? Coś mi tam mówili jak mnie przywieźli, ale...

– E, tam. Nikt tego nie pamięta, bo jest zestresowany – odezwał się Krzyś. – Ja na początku też nie wiedziałem, co i jak, ale teraz? Sprawa prosta: noc, ranek – mycie, apel, śniadanie, szkoła, obiad, czas wolny, odrabianie lekcji, kolacja, apel, noc, ranek...

– I codziennie tak samo? – Bartek wyglądał na wystraszonego.

– No nie – wtrącił się Zenek – Od poniedziałku do piątku. A soboty i niedziele – różnie. Czasem coś się dzieje, czasem nie. Żarcie też lepsze i są dokładki. Pilnuj się nas, to nie pobłędzisz!

– A ile masz lat? Dwanaście, trzynaście? – chciał wiedzieć Mirek.

– Mam szesnaście lat – odparł z dumą Bartek – ale tak marnie wyglądam, bo...

– Dobra! To już się znamy! – Zenek był zadowolony, że Bartek ich słucha. – Ciąg dalszy nastąpi, bo dziś robi

się późno, a pobudka o szóstej trzydzieści. Jeszcze dużo nocy przed nami!

Zapalniczka dochodziła już swoich dni, Wojtek zabrał koc z podłogi, a źródło światła wyrzucił przez uchylony lufcik.

I tak potoczyły się dni tej piątki chłopaków, którzy z różnych powodów trafili do poprawczaka. Wojtek – za rozbój w kioskach na targowisku, Krzys za kradzieże w supermarketach, Zenek – za rozboje w uzdrowiskach nadmorskich, Mirek – tak dokładnie nie wiadomo, ale za jakieś seksualne sprawki i Bartek – za pobicie dziadków. Była to niezła grupa, bo w innych – jak słyszał Bartek – chłopaki bili się równo, a nowemu to nigdy nie przepuścili.

W sobotę wieczorem przyszedł kapelan i odprawił niedzielną Mszę świętą. Ale w kaplicy nie było wielu chłopaków. Bartek był zdziwiony, ale to może dlatego, że w telewizji była transmisja ze skoków narciarskich.

W niedzielę były odwiedziny, ale do Bartka nikt nie zawitał. Zresztą nie spodziewał się gości. Trudno tak zaraz po kilku dniach być tu obleganym przez rodzinę, kumpli itd. Do Zenka przyjechali rodzice, do Wojtka jakiś

chłopak, może to brat, do Mirka – starsza pani z panienką, a do Krzysia – też ktoś z rodziny. Wieczorem, po kolacji, była jeszcze godzina wolna na spacer, pogadanie z kolegami, ale Wojtek został wezwany do dyrektora.

– Zrobił coś złego? Co tu dyrektor robi w weekend? – zastanawialiśmy się, stojąc w rogu wybiegu, oświetlonego jeszcze w niedzielny wieczór.

Ale Wojtek wrócił dosyć prędko, z tajemniczą miną.

– Słuchajcie, mamy zadanie do wykonania! Na przyszłą sobotę szykuje się tu jakaś impreza, ma przyjechać główny inspektor, czy jakoś tak, a nasza grupa ma w związku z tym bojowe zadanie: odświeżyć zestarzałą już porządnie gablotkę przy wejściu do pokoju dyrekcji. Nie wiem czy któryś z was ją w ogóle widział? Jest taka całkiem byle jaka, ale duuuż! Pewne rzeczy muszą na niej zostać, ale sporo miejsca będzie pustego! I mamy to zagospodarować! Dyrektor powiedział, że liczy na nas! – Wojtkowi zawiesił się lekko głos! – W czasie wolnym mamy dostęp do komputera w sali laboratoryjnej, dostaniemy też kartony, szyldy na różne litery i cyfry, pisaki itd. Ma być ciekawie i... reszta należy do nas!

– A smartfony? Dostaniemy chociaż na godzinę? Bo mam pewien pomysł – zapytał Bartek.

– Nie wiem! Wojtek stwierdził, że nie pytał o to. Ale przecież jutro można wrócić do tematu. A teraz – myśleć chłopcy! Myśleć, myśleć! Jak zapunktujemy, to będzie... możliwość wcześniejszego wyjścia z tego przybytku! Jasne? No nie dla wszystkich jeszcze, ale na przepustki możemy zasłużyć! Na przykład na Boże Narodzenie! A jak będzie kłapa, to... no lepiej nie mówić! Mamy ambitne zadanie! Widziałem, że grupy z sali czternaście, szesnaście i dwadzieścia mają wyczyścić na błysk toalety, któraś tam jeszcze – zrobić remanent na strychu, a kilku chłopaków z różnych grup ma być do dyspozycji intendenta; będą pomagać w kuchni. No a my mamy super zadanie! Może któryś z was już coś wymyślił? Nie, to do rana czekam na pomysły!

W poniedziałek w wolnym czasie, zamiast odrabiać lekcje, chłopcy rozmawiali na temat gabloty! Poszli ją obejrzeć. Była ogromna! Tytuły, godziny, nazwiska – miały zostać, ale stwierdzili że trzeba je odświeżyć. Jak i nazwę tablicy, adres itd. To zadanie przypadło Mirkowi i Zenkowi. Wojtek miał odświeżyć drewnianą ramę, bo

uczył się przez dwa lata w szkole stolarskiej. No i oczywiście miał czuwać nad całością. A Krzyś i Bartek? Mieli zapełnić tablicę ciekawą treścią!



2768204

Ale co jest ciekawego dla wychowanka poprawczaka?

– Nie powiesimy przecież gołych bab i facetów – martwił się Krzyś. – Chociaż może pan inspektor chętnie zawiesiłby na nich służbowe oko...

– Jakąś grafikę wbudujemy, ale w co? Co chłopaki chętnie poczytają? Co ich skłoni do refleksji? Bartek, a ty już w niedzielę mówiłeś, że masz jakiś pomysł? Gadaj o co chodzi, bo...

– No, ja to chciałem..., myślałem...

– Wyduś w końcu, o co chodzi, bo dostanę szmergla!
Wiesz chociaż, co to jest szmergiel? To fiksum-dyr dum,
teraz kumasz?

– Myślałem o kilku opowiastkach, wiesz, takich do
poczytania. A właściwie o takich historiach, które może
któryś z nas przeżył. Musimy znaleźć, najlepiej w
smartfonach, pokażemy naszym chłopakom i... coś
wybierzemy. Ty, Krzysz jesteś artystyczna dusza, to
znajdziesz malunki, ja szukam treści. Ok?

– A jak nie znajdziemy nic ciekawego tylko jakieś
bajdurzenie? – Krzysz był bardzo podejrzliwy.

– Znajdziemy, znajdziemy. Poprosimy na jutro o
smartfony, może nam dadzą. Do roboty!

Chłopcy dostali na środę wieczór smartfona, ale z
dosyć ograniczonym polem do działania, komputer zresztą
też był objęty częściowym zakazem użytkowania, ale...
udało im się znaleźć przykłady do prezentacji na tablicę, i
nie tylko!

– Jest nas w grupie pięciu, więc – dla każdego coś
miłego!

*Pod którąś z masek gubi się już twarz własną. Nik
siadał na jarmarku i handlował byle czym. Miał się też za*

byle kogo, bo był znajdą i nikt się z nim nie liczył. Patrzył z zazdrością na twarze i bogate stroje mieszczan. Taki to jest kimś, z dziada pradziada – myślał. – Ile bym dał, by przejść się przez miasto z jego twarzą.

I wtedy podszedł do niego ktoś w ciemnej pelerynie z kapturem na głowie, i powiedział, że za wszystkie jego szpargały da mu torbę z nowymi twarzami. Nik, zdumiony tym, że tamten odgadł jego myśli, przystał na zamianę i wziął torbę.

Kiedy opuścił jarmark, zajrzał do środka. Były tam karnawałowe maski dla dzieci. Nik poczuł się oszukany, ale dla zabawy założył maskę diablika. Gdy jednak na jego widok zaczęli nawet uciekać jego przerażeni znajomi, chciał zerwać maskę. Ale ona przyrosła mu do twarzy.



2014554

Ukrył się za jakimś płotem i sięgnął do torby po inną, by zakryć nią tę diabelską. Była to maska bawidamka trubadura, w której poczuł się pewniej, bo przyciągał spojrzenia kobiet. Gdy jednak zawołano go, by zagrał i zaśpiewał, a on tego nie potrafił, musiał uciekać przed znudzonym i zawiedzionym tłumem. Aż skulił się w sobie od szyderczego śmiechu kobiet. Jak mógł najszybciej, sięgnął po kolejną maskę. Ta przemieniła go w wędrownego mędrca kaznodzieję. Czuł, że budzi respekt i zaciekawienie. Na rynku wezwano go, by przemówił, by pouczył i wzruszył tłum oraz innych mędrków. Jednak poza

wyglądem i miną nic w nim z mówcy ani mędrca nie było. Obrzucono go więc zgnilymi owocami i przepędzono ku uciesze gawiedzi. Znow się gdzieś ukrył i nawet nie usiłując zerwać tej maski, sięgnął po ostatnią. Ta była maską cyrkowego klauna z wielką brodawką na nosie, z uszami jak u osła i wargami rozciągniętymi w głupim uśmiechu. Gdzie się pojawił, wzbudzał rechot i rozbawienie. Uciekał, ale musiał coś jeść, a za zrobienie kilku min dawano mu jakieś ochłapy lub grosze. Śmiechu, jaki wzbudzał, nienawidził jak chłosty. Musiał jednak z niego żyć, choć z wielkim smutkiem w środku. I z marzeniem, że może uda mu się odzyskać swoją dawną twarz, którą prawie już zapomniał. Ale kto mu ją odda? Może nawet chętnie wróciłby do poprzednich masek, ale ta była ostatnia i nie do usunięcia.

Kiedyś czereda dzieciaków obległa go, nazywając Bawigębą. Chciał je przegnać, lecz one nie bały się, tylko żądały nowych cudaczných min. I wtedy poczuł się całym sobą klaunem. Robił miny, skakał, przewracał się, fikał, przedrzeźniał, wszystko ku ogromnej uciesze dzieciarni. Sam zaczął się śmiać z siebie aż do łez – jak nigdy dotąd. Odchodził stamtąd jeszcze z tym śmiechem, ale gdy został

sam, poczuł, że płacze. Jak nigdy wcześniej. Zaczął padać deszcz, a on płakał nad swoją dolą i brzydotą, i niepamięcią.

I wtedy ujrzał w kałuży pod nogami czyjąś twarz. Za nim stał ktoś równie znajomy, ale piękny i jasny mimo zapadającego zmroku.

– Kim jesteś? – zapytał Nik.

– Jestem aniołem – odrzekł tamten. – Stróżem twego pierwowzoru. Byłem przy tym, kiedy byłeś stwarzany, i znam twoją twarz, której prócz Boga nie zna nikt. Jednak nie chciałeś jej, kupiłeś od diabła kilka innych. I dopiero dziś, gdy zaczęłeś do łez śmiać się z siebie, a potem podobnymi łzami płakać aż do dna serca, mogę ci oddać twoją dawną twarz, pod warunkiem że jej nie zdradzisz ani nie oddasz. Nik spojrział w kałużę – był tam ktoś, kogo prawie zapomniał, ale był szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Kiedyś maski zakładano tylko w karnawale. Teraz w nieustannym spektaklu, którego sceną stały się wszystkie miejsca, ludzie noszą torby z tak wieloma maskami, że coraz łatwiej im zapomnieć, kim są. Świat nakłada nam maski, a Bóg chciałby je zdejmować. Kto jednak odważy

się na śmiech z siebie i płacz nad sobą, by anioł przywrócił mu prawdę o nim?

Być może, że nasze odruchy więcej mówią o nas niż świadome czyny...Ale czy naprawdę odruch świadczy o naturze człowieka? Bywają przecież dobre odruchy u ludzi raczej złych i odruchy złe u tych z natury dobrych. Czy można mieć wpływ na swoje odruchy?

Są ludzie, którym marzenia jakby same się spełniają, podobni szczęściarzom wygrywającym przypadkiem fortunę... Ale są też tacy, co muszą do tych marzeń wyrąbywać drogę jak górnik do żyły złota. Łukaszowi przypadła ta druga dola. Jego marzenie nie było może niebotyczne, ale drogie: motocykl Harley-Davidson.

Należał do klubu żużlowego i trenował zawzięcie, by wziąć udział w zawodach ze sporą nagrodą pieniężną za pierwsze miejsce. Potracił przez to przyjaciół, towarzystwo znajomych, inne zainteresowania. Uważano go za motocyklowego maniaka, choć nie miał własnego motoru i nie jeździł z czeredami harleyowców, tylko trenował. Sport teraz zmusza do większej ascezy niż u legendarnych mnichów i częstokroć jakby pozbawia

*uczucie, bo wszystkie angażuje w jedną główną
namiętność... I z nim tak było.*



1080496

*W końcu przyszły te zawody. Mówiono o jego świetnej
formie, ale on sam jeden wiedział, że nie przyszła ona
sama, że nikt nie wie, ile jej poświęcił... Teraz stał na
podium z tytułem mistrza – szczęśliwy wśród
wiewatującego tłumu. Mokry od szampana, odbierał z rąk
gospodarza zawodów czek na sumę mającą spełnić jego
marzenie. I wtedy przepchnęła się do niego zapłakana
młoda kobieta. Chwyliła go za ręce i szlochając, mówiła
mu o swoim śmiertelnie chorym dziecku, za którego
leczenie i operację nie ma czym zapłacić, bo się zadłużyła.*

I na leki uśmierzające cierpienie dziecka też nie ma. Wyciągnęła zdjęcie strasznie wychudzonej dziewczynki i podetknęła mu je przed oczy. Zakończyła błagalnie, chcąc prawie pocałować mu dłoń:

– Błagam, pomóż nam!

Łukasz jakby nagle zapomniał o swoim marzeniu i o tym, ile go kosztowało... Poprosił kogoś o długopis, zapytał o nazwisko kobietę i wypisał na nią czek. Cały! Wybronił się jakoś od pocałunków uszczęśliwionej i odszedł całkiem już nieczuły na owacje, jakby chcąc ukryć się z tym, co zrobił i co nagle w sobie poczuł. Świadcami tego byli tylko koledzy z klubu, którzy nie zdradzili tego mediom. Gdy spotkali się po tygodniu, jeden z nich powiedział do Łukasza:

– Mam dla ciebie złą wiadomość. Ta kobieta, której oddałeś swoją nagrodę, naciągnęła cię. Owszem, miała jakiś czas temu beznadziejnie chore dziecko i otrzymała od kogoś pieniądze na operację, która uratowała dziecku życie. Ale teraz próbowała jeszcze w podobny sposób zdobyć pieniądze, no i z tobą się jej udało. A ta jej córeczka ze zdjęcia jest zdrowa.

Łukasz chwycił kolegę za ramiona, wpatrując mu się w oczy.

– Jest zdrowa, mówisz? – spytał.

– Tak, zupełnie! – odpowiedział tamten.

I wtedy Łukasz aż krzyknął:

– To jest dla mnie najlepsza wiadomość chyba od roku!

Koledzy oniemieli, bo nigdy nie widzieli go tak szczęśliwego.

Pewne odruchy: litości, współczucia, hojności... można u nas wywołać, zwłaszcza gdy one niezbyt wiele nas kosztują i jest dla nich publiczność... A niektórzy świetnie to potrafią i na tym żerują. Jednak o prawdziwej dobroci człowieka świadczy co innego. Właśnie – co?

Nie igraj z czyimiś uczuciami, bo twoje nagle mogą zacząć igrać tobą.

Świat łez jest tajemniczy, a więc i wieloznaczny. Czasem łzy potrafią coś uwiarygodnić, ale bywa, że mogą oszukiwać, i to najbardziej perfidnie. Trudno bowiem być nieczułym na łzy, na płacz, na żaloszny lament, zwłaszcza skrzywdzonego dziecka, dziewczyny, kogoś w nagłej potrzebie. Może dlatego mała Cyganezka Kara potrafiła

wzruszyć najbardziej niewzruszonych. Nie zaczepiała nikogo, nawet nie bardzo wyglądała na cygańskie dziecko, nie uprawiała jakiejś hysterii. Nie, siedziała np. na ziemi i zdawała się ukrywać, tłumić swój szloch. Tylko po drgających plecach widać było, że płacze, i po łzach ciekących między ukrywającymi twarz palcami. Ktoś się zatrzymywał, pytał o powód, o możliwość pomocy. A ona o nic nie prosiła, tylko wstawiała i wydawała z siebie coś, jakby cichy skowyt, i szła. Ktoś ją doganiał, pytał dalej, a ona w końcu jęknęła:

– Już nikt, nic mi nie zostało, tylko nieszczęście ...



2856

I wtedy ktoś wyjmował pieniądze, wkładał jej do kieszonki, choć ona ręki po nie nie wyciągała, nie dziękowała, tylko szlochała dalej, ukrywając zalaną łzami twarz. Kiedy wracała potem do swoich i wykladała wciśnięte jej banknoty, zaczynała opowiadać o innych jeszcze sposobach wywoływania czyjegoś współczucia na zawołanie. Zaśmiewała się przy tym do łez, równie obfitych jak tamte. Mówiła o nich: „moje słodkie łzy – nie znam innych”. Cieszyła się swoim urokiem, talentem, niewinnymi prawie mistyfikacjami... Nikt nie nazwałby tego hipokryzją. Tymi łzami utrzymywała swoją dość liczną rodzinę przez kilka lat.

Kiedyś, już jako dwudziestoletnia dziewczyna, poszła rano do pustego jeszcze parku i zobaczyła idącego naprzeciw chłopaka. Nie chciała tym razem wzruszać go płaczem. Chciała tylko spojrzeć mu z bliska w oczy swoimi oczami, szklącymi się od „słodkich” łez... Spojrzała i zamarła. Nigdy nie widziała tak niezwykajnie błękitnych i promiennych oczu, wpatrzonych gdzieś w dal. Potrafiła przyciągać spojrzenia, wywoływać odpowiednie reakcje, uczucia, ale ten chłopiec, nawet na nią nie spoglądając, wymiął ją. Stała oniemiała. Wróciła, zabiegła mu drogę,

by jeszcze raz ujrzeć te oczy, przymusić je, by spojrzały w jej... I wtedy zobaczyła w jego ręce białą laskę. Był niewidomy. Usiadła na ławce i pierwszy raz poczuła, jak łyzy płyną jej same, przeraźliwie słone i piekące. Takich nie знаła. Przeplakała cały dzień – prawdziwie. Nazajutrz poszła o tej samej porze do parku i znów go spotkała. Nigdy nikogo nie kochała, ale wtedy poczuła, że to się właśnie z nią dzieje... Tylko dlaczego to tak boli? Kiedy rodzina zażądała, by Kara poszła zdobyć trochę pieniędzy, okazało się, że nagle straciła swoją umiejętność – łyzy nie chciały płynąć, a na suchy szloch nikt nie reagował. Nie przejęła się tym jednak. Gdy trzeci raz ujrzała chłopaka, wzięła go delikatnie za rękę, by przeprowadzić przez jezdnię. Jedno miała teraz pragnienie: patrzeć w jego błękitne i promienne, choć niewidzące oczy. Opuściła swoją rodzinę, najęła się do zwykłej pracy, bo chciała wyjść za niego. Czy płakała? – Tak. Naprawdę żałośnie, ale tylko wtedy, gdy była sama. Przy nim nie umiała, bo on był taki radosny, jakby nieświadomy swego kalectwa.

Pobrali się w doroczne święto Cyganów z całej Europy. Do ślubnej przysięgi dodała: „...oraz będę

twoimi oczami, póki będę widzieć twoje". Nikt potem już jej nie widział zapłakanej.

Można powiedzieć: Kto łzami szafuje, tego lzy w końcu dotkną do głębi, do prawdziwego bólu. I dobrze, bo do szczęścia potrzebny jest prawdziwy płacz.

Zombie to ponoć człowiek pozbawiony duszy, z ciałem do wynajęcia dla demona wpędzanego weń przez szamana. Postać bez tożsamości, bez prawa do tego, kim była. A może z tożsamością... obrotową, wymienną, według mody czy wymogów jakiegoś anonimowego rządu dusz? Jakoś mi z tym się kojarzy globalny nakaz tolerancji i otwartości oraz zakaz zachowywania odrębności czy wyraźnej tożsamości narodowej, religijnej czy moralnej, a poniekąd już i płciowej, bo i tu wszystko okazuje się względne i do zamiany, jak choćby transseksualizm. I coraz więcej jest zastraszonych tym ludzi, otwierających się potulnie na wszelkie innowacje, preferencje czy dewiacje. Może to jakaś masowa produkcja inkubów czy zombie? Bo jak można inaczej nazwać ludzi bez jasno określonej tożsamości?

Opowiadał mi ktoś bajkę, jak to stado wron usiadło na ramionach stracha na wróble. Ten oniemiał i zrozpaczony chciał je odpędzić krzykiem, skoro jego wygląd ich nie wystraszył. One jednak nie zwracały nań najmniejszej uwagi, a przyfrunęło ich jeszcze więcej. Siedziały sobie na nim całą chmarą, kracząc na rozmaite tematy. A kiedy resztą sił krzyknął do siedzącej mu na głowie wrony, że ma się stąd wynosić, ta kazała mu zamilknąć, bo one rozmawiają o tym, do czego on wtrącać się nie ma prawa. I nadal go ignorowały.



4566548

Strach bełkotał z pomieszania:

– Jak to... czemu... wy się mnie nic nie boicie?

Wtedy wrona zapytała:

– A ktoś ty w ogóle jest?

– Strach na wróble – wyjąkał strach.

– To wiedz, że my jesteście wrony – kraknęła ta i wypięła się na niego.

Strach nie pojmował. Przecież bały się go wszystkie ptaki bez wyjątku – jeszcze wczoraj... Czy to czar jakiś, czy zmutowane ptaki? – dumiał, uginając się pod rozkrakany towarzystwem. I wtedy ujrzał lisa. A ten zawołał na niego:

– A ktoś ty jest? Jakiś nowy stojak na wrony?

Strach znów zaniemówił.

– Nie poznajesz stracha na wróble? – spytał lisa.

Ten przyjrzał mu się i zapytał:

– A gdzieś podział swój kapelusz, swój chałat i terkotkę?

Strach odparł zawstydzony:

– Kapelusz był niemodny, więc go zdjąłem. Chałat nie był markowy, więc rzuciłem go na wiatr. A terkotka przeszkadzała w śpiewaniu ptakom.

Lis machnął ogonem i rzekł:

– I ty się dziwisz, że one cię ignorują?

Strach zaskrzyphiał ramionami i pomyślał: No tak, one nie mają pojęcia, kim jestem, bo i skąd... Jęknął tylko do wiatru, by mu oddał jego chałat i kapelusz oraz dmuchnął w terkotkę. Ptaszyska spłoszone nagle rozpierzchły się, kracząc na wszystkie strony, omijając już z daleka pole z najbardziej rasowym strachem w okolicy.

„Zacznijcie się wstydzić, ukrywać, wyrzekać się tego, kim jesteście – słyszymy zewsząd namolne perswazje lub pogrożki – a zrobimy z was bezpłciowe manekiny, a potem wieszaki na najrozmaitsze kostiumy, które sami wam skroimy na naszą postępową modłę. Wtedy to sami wkrótce zapomnicie, kim byliście”. Zapomnimy... Pytanie tylko, kto sobie przypomni to, co Bóg w Apokalipsie mówi: „Zwycięzcy dam (...) biały kamyk, a na kamyku wypisane imię nowe, którego nikt nie zna oprócz tego, kto je otrzymuje”.

Myślę, że w starym przysłowiu o kimś, kto Panu Bogu pali świeczkę, a diabłu ogarek, dzisiaj może trzeba byłoby tę świeczkę i ogarek zamienić miejscami, pamiętając, że ogarek to resztką świeczki. A tu może oznaczać to, czego

Panu Bogu się nie daje, czego Mu się skąpi, samemu na tym tracąc.

Pewna stara legenda opowiada o dwóch łotrzykach, którzy niejedną zbrodnię, gwałt i rabunek mieli na sumieniu. Trafili oni kiedyś na wędrownego mnicha, którego nie mieli z czego okraść, ale który oświecił ich nagłym pojęciem, kim są i co robią, targnął ich sercami aż do łez i obdarował miłosiernym rozgrzeszeniem. Pojmując ogromny ciężar swoich win, sami zapragnęli jakiejś pokuty, wynagrodzenia, a przynajmniej pamięci o tym, co zrobili, aby już więcej do tego nie powrócić. Wtedy ów mnich rzekł, że jeśli sami tego chcą, to niech sporządzą sobie drewniane krzyże i powędrują z nimi do Ziemi Świętej.



3262919

Zrobili tak z wielką ochotą – bo czymże był ciężar takich krzyży wobec zdjętego z nich ciężaru zbrodni. Przez pierwsze dni wędrowali lekko i ze śpiewem z głębi wyzwolonej duszy. Jednak każdego kolejnego dnia pokutnej wędrówki coraz mniej pamiętali swoje winy, a coraz bardziej uciążliwe zdały im się te krzyże. Przedtem palił ich wstyd na wspomnienie swojego łotrowskiego życia, a teraz zaczęli się wstydzić niesionych krzyży wobec pytań i drwin napotykanych ludzi. Już nie śpiewali i modlili się coraz krócej. Krzyże wpijały im się w ramiona, ocierały skórę, przytłaczały do ziemi, choć niedawno

zdawały się nic prawie nie ważyć. Kiedy zobaczyli po drodze warsztat stolarza, jeden z łotrów wpadł na pomysł, by poprosić o skrócenie zbyt długiego ramienia jego krzyża. Drugi natomiast poprosił, by stolarz przepiłował jego krzyż wzdłuż i w ten sposób ujął mu połowy ciężaru. Stolarz zrobił to, o co go proszono. Ruszyli dalej, pocieszając się, że nadal są to ich krzyże – choć jeden krótszy, a drugi lżejszy – i że pokuta jest taka, jaka była. Szli dalej, choć droga dłużyła im się coraz bardziej, zwłaszcza przez pustkowie. Zaczął im dokuczać głód i pragnienie, a tego przecież w pokucie nie obiecywali. Zaczęli się zastanawiać, czy nie porzucić krzyży, bo już kolejny dzień szli głodni i tracili siły. Jednak po kilku godzinach ujrzeli z daleka miasto z bujnymi ogrodami. Uradowali się, że to chyba już koniec ich wędrówki i pokuty. Poprawili krzyże na ramionach i ruszyli szybciej, prawie biegiem. Nagle zatrzymała ich stroma krawędź głębokiego, choć dość wąskiego kanału, na którego dnie widać było krokodyle. Pływać zresztą też nie umieli. I wtedy zaświtała im myśl, że z tych krzyży można by zrobić kładkę i przejść na zbawienną drugą stronę. Jednak jeden krzyż okazał się za krótki, a drugi za cienki...

Nie lubi się teraz słów: „grzech”, „pokora” i „pokuta”, bo Boże Miłosierdzie jest ponoć ponad takie relikty przeszłości. Na modlitwę poświęca się coraz mniej czasu, choć ma się go coraz więcej na rozrywkę, na jedzenie, na coraz bardziej wyszukane przyjemności. Rozmowy na tematy duchowe prawie nie istnieją. Liturgia i kazania mają być jak najkrótsze. Książki duchowe – kto by się tym „katował”! Dlaczego potem takie zdziwienie, że nie można sobie dać rady ze słabościami, upadkami, nałogami, depresją? Nie mówiąc już nic o krzyżach ani o pokucie, trzeba powiedzieć, że coś tu za krótkie i coś tu za lekkie... a przynajmniej zlekceważone.

Wieczorem przeczytali kolegom swoje „znaleziska”.
Dali im takie brawa, że hej!

Postanowili, że każdy z nich będzie miał w rezerwie jedną opowiadkę, a nuż pan inspektor będzie chciał w sobotę posłuchać tych historyjek!

I wyobraźcie sobie, że... wszyscy przeczytali swoje teksty! To był hit! I obietnice przepustki na święta padły. Oczywiście, jeżeli wszystko będzie Ok. A będzie! Na pewno!

Sprawność informacji ratuje młodych

Inflację słów trzeba tak dławić jak inflację pustego pieniądza

/ks. Jan Twardowski/

– Tato! Jutro mamy z klasą wyjazd do zoo. Tak się cieszyłam, a tu co? Prognozy okropne! Ratuj!

– No Madziu, co ty opowiadasz? Chyba słuchałeś tych prognoz z ubiegłego miesiąca? Zobacz – dwadzieścia pięć stopni, deszczu ani widu ani słyhu! Błękitne niebo! Pogoda w sam raz na taką wycieczkę! Lepiej się ciesz, szykuj wałówkę i...

– Oj tato! Prognoza była przedwczoraj tu, na moim smartfonie. A że to na jutro się zmieniło, to dobrze, ale co ja mam na siebie włożyć? Jak będzie tak ciepło, to coś cienkiego, ale jak się zachmurzy i będzie burza, to co ja zrobię? Muszę zabrać dodatkowo coś na deszcz, na chłód i...



3906637

– Oszalałaś? Ile ta wycieczka potrwa? Trzy, cztery godziny? A ty chcesz wziąć pół szafy ciuchów? Magda! Opanuj się! To najwyżej zmokniesz! Jest czerwiec, więc wyschniesz po burzy bardzo szybko. Ale burzy nie będzie! Słyszysz? Nie będzie!

– A jeżeli...

– Magda! Ja pracuję, nie widzisz? Poczekaj na mamę, ona ci poradzi, co masz wziąć, Ok? Mówiła, że przyjdzie koło szesnastej. Będzie szykować obiad i porozmawiać sobie. A teraz muszę zrobić te rozliczenia, jasne?

– No, jasne, ale może ja powinnam pójść do sklepu i kupić jakieś porządne buty, bo...

– Magda! Koniec dyskusji! Koniec!

W tym momencie stuknęły drzwi wejściowe i Benek wpadł do domu spocony jak mysz.

– Tato! Mamy nie ma, to chodź ze mną do sportowego, bo muszę kupić sobie nowe kijki! Te stare nie nadają się przecież na konkurs, prawda? A eliminacje są już jutro. I muszę przy okazji kupić nową przepaskę na włosy, nowe adidas... , i chciałbym też nowe spodnie, bo...

– Benek! To wszystko mówisz na jednym wydechu! Czyś ty na głowę upadł? Chcesz się udusić?

– Tato, ale ja się martwię, bo moje spodnie i buty są okropne! Jak ja będę wyglądać na tym konkursie? Jak własna ciotka! Tato, no chodź ze mną, ja przecież nie mam już kasy. Kupiłem sobie polar za te parę złotych, co mi zostało z obozu. Ale boję się, że będzie za mały. I co z nim zrobię? Mam jechać do Zakopanego i go oddać w sklepie? A jak nie przyjmą, to co? Może zadzwoniłbyś i zapytał, co tato?

– Benek! Tato włożył do uszu słuchawki i nas nie słyszy! Ale numer! Chodź, zaraz przyjdzie mama, to na

pewno pójdzie z nami do sklepu. Nawet do kilku, bo wiem, że jest oszczędna! Pamiętasz, jak nas ciągała po rynku od jednego końca do drugiego, jak chciała kupić rabarbar na ciasto dla taty na imieniny? Tam był za gruby, tam za krótki, tam za cienki. I co? W końcu zapłaciła drożej niż na początku. Co prawda o dwa złote, ale zawsze.

– Pamiętam, to było sto lat temu! Teraz na takich spodniach czy adidasach można sporo oszczędzić. No bo kijki chciałbym firmowe, jakieś super! A tobie o co chodzi?

– Jutro mamy wycieczkę do zoo. Pogoda może być różna, też muszę jakoś wyglądać! Bo jakby była burza, albo nawet ulewa, to...

– Cicho! Chyba zajęchała mama do garażu. Chodźmy jej naprzeciw, weźmiemy od niej jakąś torbę, to będzie w dobrym humorze. Najlepiej, jakbyśmy poszli od razu na te zakupy, bo czasu dużo nie ma. Jest już grubo po szesnastej. A jeżeli...

– O, są nasze kochane urwisy. Weźcie kluczyki i przynieście zakupy z bagażnika i tylnego siedzenia. Trochę się tego nazbierało, a mnie tak rozboleła głowa, że

lepiej nie mówić! Odgrzejecie sobie z tatą wczorajszy bigos, a ja idę do góry, żeby się położyć. Łykam podwójną dawkę przeciwbólowego środka – i mnie nie ma. Jasne?

– Mamo! No nie rób nam tego! Jutro piątek, ja mam wycieczkę do zoo, Benek – konkurs chodzenia z kijkami, musimy kupić masę rzeczy, bo...

– Magda, wykluczone! Pójdziecie w tym, co macie i już! Koniec rozmowy! Ja się do niczego dzisiaj już nie nadaję! I bardzo proszę, nie przeszkadzajcie mi! Ledwo trzymam się na nogach!



19005

– Ale mammo! My musimy mieć nowe ciuszki, kijki, torbę, buty...

– Cicho, cicho! Czy nie rozumiecie, co ja mówię? Mnie nie ma! Jasne?!

Mama złapała butelkę wody mineralnej, szklanekę i tabletki, po czym wpadła do sypialni i... przekreśliła klucz od środka.

– Ale nam się trafiło! A ja głupi czekałem na te zakupy do ostatniego dnia. Tato! Jak nie pójdziesz z nami na te zakupy, to ja się zastrzelę. A przedtem uduszę Magdę, słyszysz? Tato!

Ale tato właśnie odjeżdżał sprzed domu, a na komputerze zostawił kartkę: „Jak mama wróci, nie zamęczcie jej, bo napisała mi, że bardzo boli ją głowa. Macie zjeść wczorajszy bigos, a na deser – truskawki, są na zagonku. Smacznego!”.

– No to jesteśmy ugotowani na twardo! – zajęczała Magda! – Nie jadę do zoo, też mnie rozboleła głowa! Idę się położyć! A ty rób, co chcesz. Zjedz ten bigos, bo mnie na samą myśl o nim mdli!

– Też nie będę nic jadł! Idę do kumpla, może pożycz mi jakieś porządne portki i buty. Kijki muszą zostać! Kasy

nie mam, to tylko to wchodzi w grę. A ciebie nie uduszę, nie bój się. Poszukaj jakieś ciuchy, może skompletujesz coś sensownego.

Tato wrócił po dwudziestej, ale mama jeszcze się nie ruszyła. Coś zaczął pitrasić w kuchni, smakowity zapach jajecznicy na boczku rozszedł się po całym domu. Ale nie ruszyłam się z tapczanu.

– Dzieciaki, kolacja gotowa! Mamy jeszcze nie ma? No gdzie jesteście? Widzę, że bigosu nikt nie ruszył. Co to, strajk głodowy? Magda! Benek! Chodźcie, bo stygnie!

Tato chyba się wkurzył, bo stukanie garnkami ustało i nagle otworzyły się drzwi do mojego pokoju.

– Magda! Wołam i wołam na kolację, a ty co? Chora jesteś? O piętnastej nic ci nie było? A teraz? Masz gorączkę?

– Nie mam ochoty na rozmowę z tobą! Chcę być sama. A jutro nie idę do szkoły. Zostaw mnie!

– No dobrze, mama wróci lada moment, to cię lepiej zdiagnozuje. Ja jestem chłop i nie wszystko widzę. A gdzie Benek?

– Nie wiem, wyszedł koło szesnastej do kolegi, obiecał, że długo nie będzie. Ale był bardzo rozgoryczony.

Poszedł pożyczyć spodnie i buty na jutrzejszy start. Jeżeli mu się nie udało, to pewnie siedzi gdzieś na ławce i kombinuje, co zrobić. Daj mi już spokój! A mama jest w sypialni, pewnie śpi. Słowa z nami nie zamieniła, tak ją głowa bolała!

– Haniu! – padły za moment słowa taty – Haniu, to ja, jak się mają te wszystkie twoje nagrody? Nie powiedziałaś dzieciakom?

– Sławek, nie, i nie powiem póki co.

Usłyszałam otwieranie drzwi do sypialni.

– Ale zachowują się, jak coś będzie nie tak, to... starałam się uziemić towarzystwo dla bezpieczeństwa i dać im pole do działania!

– Słuchaj Hanka, żałuję, że to ciebie bolała głowa, a nie mnie! Tu był Meksyk! Uciekłem z domu do biura, bo jak wrócili ze szkoły, to zaczęło się zamartwianie, błaganie, jęczenie... Już nawet nie pamiętam o co dokładnie chodziło, ale głównie o różne zakupy. Takie na już! Na jutro! Makabra! W końcu powiedziałem, że ty się na tym lepiej znasz i jak wrócisz, to pogadacie. Ale nie było rozmowy, bo...

– No nie mogłam porozmawiać z nimi, było mi słabo i mdło! Teraz jest już dobrze, ale Benka chyba nie ma, a Magda śpi?

– Nic jej nie jest, to ze złości, że nie dostanie na jutro nowego swetra, spodni, koszulki, płaszcza od deszczu, parasolki... itd., itp. A Benek poszedł do kumpli coś pożyczyć, bo ma stare; chodziło o spodnie i o coś jeszcze.

– To nasz syn ma za mało portek? Coś podobnego!

– Hanka! Chodź do kuchni, jajecznicę trzeba odgrzać, ale przede wszystkim pogadać o dzieciakach, bo zwariują i my z nimi.

– A pamiętasz, jacy my byliśmy? Jak zaszłaś w ciążę, to...

– Pamiętam jak się denerwowałam! A wtedy twoja mama opowiedziała nam historię o aniołach i pewnym małżeństwie...

Bywają ludzie tak bez-nadziejni, że czynią martwą każdą nadzieję, zanim lub ledwie się ona narodzi.

Jest taka baśń o dwóch aniołach. Otóż, pierwszy z nich, Anioł Życia, został posłany do domostwa ubogiej, acz trochę skąpej rodziny wieśniaczej. Modlono się tam już

długo o dziecko, więc anioł przybył z obietnicą spełnienia oczekiwania.



3592866

Mąż z żoną prawie tańczyli z radości. Ale kiedy ona poczuła się już brzemienna, zaczęli się oboje martwić i wymyślać coraz to nowe obawy:

– A może urodzi się chore... A może z jednym okiem i z sześcioma palcami, bo tak bywa... A przecież może umrzeć przy porodzie... A gdy będzie raczkować, pewnie ukąsi je kobra... A może wyrośnie na kogoś rozrutnego... A czy nie zmarnuje majątku i dziedzictwa... A czy po nim

będą jeszcze jakieś dzieci... A czy ten Anioł mówił prawdę...

Szybko przeszła im ochota do tańczenia, bywali bardziej smutni niż wtedy, gdy mowy o dziecku nie było. I oto powracający do nieba Anioł Życia napotkał zdążającego do tego samego domostwa Anioła Śmierci. Zdumiony, zapytał, kogo ma on stamtąd zabrać. I usłyszał jego odpowiedź:

– Ludzie, którzy nie ufają Bożej Opatrzności, a tym bardziej Bożej obietnicy, a tylko spodziewają się wciąż najgorszego i z byle lęku czynią zły los, nie powinni zatruwać innym radości i nadziei życia. Po nich idę, aby spełnić ich obawy i przewidywania. Nie godni są życia.

Gdyby to nie był Anioł Życia, może ovladnąłby go smutek, ale on nagle poczuł jakiś promień w sobie i ruszył za tamtym aniołem, mówiąc:

– To ja samemu dziecku tchnę w serce nadzieję, a jej nie możesz mu odebrać.

– Dziwne Haniu, ale w naszym języku słowa „martwić się” czy „zamartwiać się” pochodzą jakby od słów „martwy”, „martwota”. I jest tu coś na rzeczy, bo nadzieja jest pełna życia i czegoś nieprzewidywalnie dobrego, a jej

przeciwniczki – beznadzieja czy rozpacz – podcinają jej wątlą korzonek lub świeży, wątlą jeszcze pęd. Do tej pory pamiętam słowa mamy: „Nie przepadam za hurraoptymistami – takimi bardziej dla pozy lub z lęku przed czymś nieprzewidywalnym – ale czyjeś czarnowidztwo uśmierciło niejedną śmiały pomysł, szansę, wiarę w niemożliwe. I jest to częstokroć grzech rozpaczy, bo odmawia się Bogu tego, co On ma tu do zrobienia (nawet wręcz niemożliwego), wbrew wszelkim naszym złym prognozom”.

– No Sławku, przeszło nam to martwienie się na zapas, bo jakoś żyjemy! I Benek, i Magda też!

– Trochę może tak, ale ja z kolei pamiętam inną historię z tego czasu, chyba słyszałem ją od sąsiadki, gdy marudziłem, że nie mam tego czy tamtego...

Na ogół dość dobrze wiemy, co mamy robić, ale rzadko kto wie, kim ma być. A jeśli o to nie pytamy, to i świat nie powierza nam swoich tajemnic, i niebo milczy.

Z klasztoru ponoć najbliżej do nieba... Tak się przynajmniej zdaje niektórym, że tam to się tylko o niebie myśli i za nim tęskni. Może niektórzy tak mają. Brat Fabrycy postarzał się już i zmęczył klasztornym życiem,

gdy więc sowa pójdzka zahukała mu nocą, to wiedział, że czas stukać do niebieskich wrót. Pożegnał się z braćmi, przyjął błogosławieństwo na drogę i ruszył. Z pomocą anioła trafił i zapukał do owych wrót. Ale zamknięte były na głucho i nikt się nie kwapił ich otwierać. Zmartwił się Fabrycy, dumając, że pewnie za słabo się modlił, za mało pościł i pracował. Smutny wrócił do klasztoru, by poprawić swoje modły, posty i prace. Uznał w końcu, że wystarczy, i ponownie zastukał do wrót nieba. I znowu nic. Wiem – pomyślał – wiodłem spokojny żywot w klasztorze, a nikogo nie nawróciłem i nie myślałem o misjach... Wsiadł więc na okręt i popłynął do pogan. Starał się bardzo i gardła nie żałował, bo odkrył w sobie kaznodzieję. Za zbytnią gorliwość wyrzucono go nawet poza granice kraju. Był teraz pewny, że jego sława musiała dotrzeć do nieba i pewnie wrota niebieskie będą już otwarte na oścież. Ale one nadal były zatrzaśnięte na amen. Stercząc pod nimi kilka dni, spokorniał i pomyślał, że za dużo hałasu i rozgłosu narobił swymi kazaniami. A przecież nigdy nie posługiwał w pokorze najbardziej potrzebującym. Ruszył więc do przytułków, szpitali, umieralni i był taki gorliwy, że niektórzy mieli dość jego

czuwania po nocach i nadszkakiwania, i chcieli, by dał im już spokój. Po roku pożegnał wszystkich i załomotał mocno, potem słabiutko... Czyżby tam posnęli wszyscy? – myślał. No tak, nie mają nic do roboty, to śpią, a on... Siadł pod drzwiami i aż mu łzy bezradne pociekły po brodzie. I wtedy zobaczył nieopodal dziecko budujące pracowicie zamek z piasku. Spojrzało na niego, roześmiało się ze starego płaczącego mnicha i powiedziało:

– Pobaw się ze mną.

Mnich zdumiał się. Bawić się z dzieckiem? On? Nigdy na dzieci nie zwracał uwagi. W klasztorze nie było ani jednego. Kazania miał tylko dla dorosłych... A tu taki pędrak – małe to, drobne... No tak, ale jak się uśmiecha! Ech! Lepiej już w tym piasku z nim grzebać niż tak jałowo czekać na otwarcie nieba. Podwinął habit, odrzucił kaptur i podszedł. A wtedy to dziecko pokazało mu łopatką niebo, mówiąc:

– Patrz, jaki dziś ładny zachód słońca. Fabrycy spojrzał i oniemiał... Pierwszy raz w życiu stał taki, zachwycony, pełen wdzięczności i gotów pokochać wszystko. Szepnął tylko:

– Boże mój, co za cud! – i drzwi nieba rozwarły się szeroko.



2179624

– Też dobre! Ale jajecznicą, którą usmażyłeś też jest wspaniała.

– Chcesz jeszcze trochę? A ja ci opowiem w międzyczasie o pewnym księciu, który nie wiedział, któremu synowi przekazać majątek.

– To pamiętam! Ale przypomnij, proszę, musimy coś wybrać dla naszej dzieciarni. Skoro nam pomogły kiedyś takie historyjki, to może pomogą również im.

Ponoć w największych głębinach oceanu, gdzie nie dociera już światło słońca, powstają czarne perły. Są bardzo rzadkie, a więc tym cenniejsze...

Pewien książe wezwał swych dwóch synów i rzekł:

– Kończę moje panowanie i nie wiem, któremu z was powierzyć księstwo. Obaj jednakowo jesteście silni, zręczni i rozumni. Ale czy to wystarczy, aby dobrze rządzić? Czy ponad to nie jest ważniejsze dobro w sercu? Temu więc powierzę władzę, który uczyni większe dobro.

I dał im po sakiewce złota, wyprawiając na tę próbę. Gdy wrócili po trzech dniach, książe zapytał, jakie dobro uczynili każdego dnia i na co przeznaczyli złoto. Pierwszy opowiedział, jak ujrzał tonące dziecko kobiety piorącej w rzece, jak rzucił się, by z trudem wyciągnąć je z wody i jak całym sobą tchnął w nie na powrót oddech, ku wielkiej radości i wdzięczności matki.

Drugi powiedział, że nie uczynił żadnego dobra, bo gdy zobaczył, jak tygrys porwał bawiące się dziecko, mógł tylko podejść do jego matki i pocieszać ją, że może jeszcze bardziej by płakała, gdyby synek wyrósł i uczynił coś złego. A tak to będzie on już jej czystą radością... I długo siedział z przygarniętą do swojej piersi matką, aż się

uspokoiła i odeszła, a on jeszcze tam pozostał z jej smutkiem.

I opowiedział znów pierwszy syn, jak to w drugim dniu próby usłyszał nagle błaganie o pomoc napadniętego człowieka, który był sługą księcia i wiózł złoto z danin. Syn rzucił się na napastnika i mimo ran uratował tamtego człowieka i złoto.

Drugi syn znów musiał przyznać, że nie spełnił żadnego dobra, bo na początku nie widział żadnego cierpienia, więc dzielił uśmiechy ze spotkanymi ludźmi. Ale w lesie napotkał leżącego we krwi owego pokonanego przez brata rozbójnika, więc obmył i zbandażował swoją chustą jego rany, tak że ów zasnął z ulgą. I nic więcej.



3042975

W końcu pierwszy syn opowiedział, jak to trzeciego dnia zobaczył dom płonący na oczach rodziny w nim mieszkającej. Uratowali oni swoje życie, ale z dobytku nie zdołali już niczego uratować. Oddał im więc sakiewkę ze złotem, ku wielkiej ich radości.

Na to drugi syn ze smutkiem opowiedział, jak spotkał grupę rozjuszonych wierzycieli, pastwiących się nad nagim trupem dłużnika, który ich oszukał, umierając. Powstrzymał więc ich w znieważaniu zwłok i wysłuchał skarg, że zmarły nie zostawił po sobie nic, co byłoby splatą długu. Oddał więc im złoto od ojca i poprosił, by ubrali trupa i pochowali godnie. I tylko tyle.

Zamyślił się książę głęboko... Baśń nie opowiada już, któremu synowi książę powierzył władzę i troskę o podwładnych księstwa.

– Ta opowieść ma swoją dogłębną prawdę, ale czy nasze smartfonowe dzieciaki to wychwycą? Pomyślmy, co jeszcze mogłoby je oduczyc tego marudzenia? Może coś współczesnego? Zajrzę do smartfona! Ty też poszperaj chwilę, może będzie coś dla naszych „małych, niezadowolonych”.

– Po dobrej chwili ciszy, Sławek zawołał półgłosem:

– Mam, coś mam! Posłuchaj, bo jest dobre i chyba najbardziej pasuje do sytuacji!

Gdy raz w niebie Anioł Stróż zapytał swego podopiecznego, który na ziemi był zagorzałym malkontentem:

– *No, nareszcie jesteś w pełni zadowolony, nieprawdaż?*

To zapytany odrzekł:

– *Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie aureola. Ciągle zsuwa mi się ona z głowy.*



2854030

Oto klasyczny przykład niepoprawnego utyskiwacza. Oto przedstawiciel tych, którym się źle nie powodzi, których życie nie potraktowało kulakami, a którzy tego nie

dostrzegają, którzy tym gardzą, którzy wiecznie narzekają, płaczą nad sobą, na wszystko wybrzydzą i uważają, że ich wypchnięto z kolejki po szczęście. Ale istnieją dzięki Bogu i tacy, którzy tryskają zadowoleniem, którym niczego do szczęścia nie brakuje, którzy wszędzie widzą powody do podziękowań.

Do jednych i drugich, malkontentów i zadowolonych, odnosi się Chrystusowe: „Bo kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma”. Zdanie to można przecież i tak interpretować: Kto uważa, że ma, że został obdarowany, że nie brak mu powodów do zadowolenia, temu się te dobra pomnożą; kto zaś uważa i mówi, że nie ma, że Opatrzność poskąpiła mu darów i łask, temu zostanie zabrane to, co ma, a czym po prostu wzgardził, czego nie docenił, czego dojrzeć nie chciał. Ale to nie Bóg jest tym, który dokonuje rekwizycji wzgardzonych darów. Nie On karze wstrzymaniem dostaw dowodów opieki i laskawości. Nie On nakłada embargo na wyrazy i dowody własnej wielkoduszności. To otoczenie pozbawia wiecznego malkontenta tego, czym on wzgardził. I on sam trwoni to, co mu zostało ofiarowane. Mechanizm takiego ubożenia

lub bogacenia się jest bardzo prosty. Mowa, w której się na wszystko wybrzydza, jest symptomem choroby serca. I jest to choroba zakaźna. Nic więc dziwnego, że bliźni takiego gderacza traktują jak zapowietrzonego, że schodzą mu z drogi, że omijają go szerokim kołem.

Niezadowolenie z losu pochodzi najczęściej stąd, iż wierzymy, że inni mają łatwiejsze od nas życie. Niezadowolenie nie jest więc wolne od zazdrości, czy nawet zawiści. I uczucia tego nie można na dłuższą metę zamaskować. Nic dziwnego, że zazdrośnik nie cieszy się sympatią otoczenia. Kto jest niezadowolony ze wszystkiego, ten nie potrafi sprawić, aby inni byli zadowoleni. I tu błędne koło się zamyka. Kto bowiem nie potrafi uszczęśliwić innych, zamyka sobie samemu dostęp do szczęścia. Zadowolone zaś serce jest obficie zastawionym stołem – powiada przysłowie. Nic zatem dziwnego, że przy tym stole i wokół niego jest gwarnie, radośnie i tłoczno. A właściciel tego serca, a gospodarz tej biesiady nie uskarża się na niezrozumienie, brak przyjaciół i niedosyt miłości. Człowiek ten nie odczuwa braków, gdyż potrafiąc docenić smak zwykłej wody nie ogląda się bez przerwy za winem. Powodem

niezadowolenia wielu ludzi są ich przesadne żądania stawiane losowi. Dlatego warto wziąć sobie do serca wezwanie skierowane do pierwszych chrześcijan: „Zadawajcie się tym, co macie”. A pamiętając o Chrystusowych słowach, można śmiało dodać: zadawajcie się tym, co macie, gdyż tylko w ten sposób będzie wam dodane i nadmiar mieć będziecie.



2411764

– Haniu, posłuchaj jeszcze, co pisze jedna z uczestniczek na Instagramie...

Dostałam pocztą internetową list od Ireny, mojej niezapomnianej nauczycielki angielskiego, na której ukraińskim weselu bawiłam się jak nigdy przedtem i dzięki której poznałam wielu wspaniałych skromnych ludzi. Irena mieszka teraz z rodziną daleko stąd. Toczy, jak my

wszyscy, swoje kamyki codzienności raz w górę, raz w dół, ze zmiennym szczęściem. I tęskni za swoją zieloną Ukrainą, za Polską i pewnie – mam taką nadzieję – za dobrymi starymi czasami.

Gdy dostałam ten list, pomyślałam o osobach, których nie mogę odżalować. Każdy chyba ma takich wspinających ludzi, którzy gdzieś się nam zapodziali. Nic strasznego się nie zdarzyło. Ot, życie poustawiało nas po kątach. W ferworze oni zapomnieli o nas albo my o nich. A przecież przez jakiś czas byli nieodzowni, niezastąpieni, bez względu na skalę „bycia” – makro czy mikro – jakoś nas kształtowali. Wystarczy, że dodawali barwy dniom. I odeszli w swoją stronę, pozostawiając w nas ten cudnie ciepły ślad obecności jak policzek przytulony do mokrej szyby. W tym liście, który czytam teraz we wszystkie szare dni, jest coś z radości, piękna oraz fascynacji życiem, jaką mają w sobie osoby pokroju Ireny. Że czasem trzeba wziąć się w garść, postawić się życiu, zacząć nim rządzić, zanim ono zacznie rządzić nami. Ale bez owej mrożącej otoczenie surowości, bez zarzekania się i wygrażania pięścią. Raczej z dystansem i łagodnością. Irena przesłała mi tekst nie swojego autorstwa, sądząc, że będzie mi on w jakiś sposób

potrzebny. Był. I chcę go teraz przestać wszystkim tym, którym chwilami bywa ciężko na duszy.

„Zrozumiałam, że nie ma znaczenia, jeśli coś złego się przydarzy albo to, jak czarny jest dzisiejszy dzień. Życie idzie dalej i jutro będzie lepiej. Zrozumiałam, że o człowieku świadczy, jak sobie radzi z tymi trzema rzeczami:

- deszczowym dniem*
- zagubionym bagażem*
- splątanymi łańcuchami lampek na choinkę.*

Zrozumiałam, że obojętnie jaki ma się stosunek do rodziców, to tęskni się za nimi, gdy już ich nie ma

Zrozumiałam, że zarabiać dobre pieniądze i móc sobie pozwolić na wiele rzeczy to nie to samo, co mieć dobre życie.

Zrozumiałam, że życie daje czasami jeszcze jedną szansę.

Zrozumiałam, że przez życie nie można przejść z rękawicą baseballową na obu rękach. Czasem trzeba też wyrzucić piłkę.

Zrozumiałam, że jeśli coś postanowię głęboko z serca, to najczęściej jest to właściwa decyzja.

Nauczyłam się, że jeśli sama jestem zraniona, to nie znaczy, że mogę ranić innych.

Nauczyłam się, że każdego dnia należy wyciągnąć rękę do kogoś. Każdy potrzebuje serdecznej myśli i przyjaznego poklepania po plecach.



1846428

Zrozumiałam, że muszę się jeszcze dużo nauczyć.

Zrozumiałam, że ludzie zapomną, co im powiedziałam albo uczyniłam, ale nigdy nie zapomną uczuć, jakie w nich wzbudziłam”.

– I co, dobre? Może za mądre dla naszych dzieciaków. Jak myślisz? Boże! Jak późno się zrobiło! Gdzie jest

Benek? A Magda? Jeszcze śpi czy ryczy w poduszkę...
Które historie im przedstawimy? Gdzie dzwonić w sprawie Benka? Czy...

W tym momencie do kuchni wpadliśmy oboje z zasmarkanymi nosami, czerwonymi uszami, załzawionymi ślipkami!

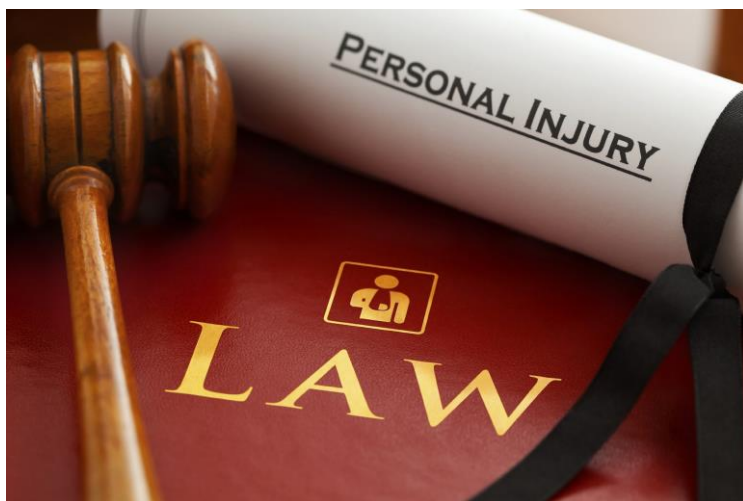
– Mamo, tato – myśmy wszystko słyszeli! Wszystko. Magdzie tak ścierpły nogi, że ledwo się rusza, ale... my już rozumiemy, wszystko rozumiemy!

Dyspozycyjność informacji z obszaru prawa

Grzeczne słowo mało kosztuje, a wielką ma wartość

/Zbigniew Trzaskowski/

– Wasze elitarne studia podyplomowe z nauk prawnych zakończą się eksperymentalnym egzaminem. Słuchacze będą losowo podzieleni na kilka grup. Każda grupa otrzyma zadanie specjalne z zakresu tematyki studiów i czas na rozwiązanie zadania. Forma prezentacji będzie oceniana. Czy to jest jasne? Czy są jakieś pytania?



1000803

Przez dobrą chwilę panowała głęboka cisza, ale pytania oczywiście się pojawiły: ile będzie osób w grupie,

jak długo będzie trwało rozwiązywanie zadań, czy będzie można korzystać z własnych materiałów, ze smartfonów, jeżeli nie będzie zgody wszystkich na podanie konkretnego rozwiązania, to co wtedy? Dziekan i panie obsługujące to studium, cierpliwie tłumaczyli, wyjaśniali, rozszerzali zakres pytań, dopowiadali do niezbyt obficie zamieszczonych wyjaśnień. A tematy? Podobne dla grup czy całkiem różne, czy liczyć się będzie pomysł, czy może być standardowe, książkowe rozwiązanie? W końcu oprócz zadań zaliczeniowych, wszystko się wyjaśniło.

Mieliśmy na rozwiązanie zadania trzy godziny. Trafiłam do grupy czteroosobowej, w której oprócz mnie, czyli Anki, byli jeszcze Wiesiek, Kuba i Zuzanna. No cóż, to ślepy los! Zasady były rozpisane na trzech kartach, trzeba było przejrzeć literaturę, zrobić plan działania, przeprowadzić doświadczenie i przygotować (ciekawe!) referowanie rozwiązania.

Natomiast samo zadanie było umieszczone w zalakowanej kopercie i każda grupa otrzymała je od dziekana. Po magicznym słowie: „START!” wolno było przeczytać tekst zadania – i zacząć je wykonywać!

Nasza grupa dostała salę numer dziewięć, wyposażoną w komputery i smartfony, a także materiały do poszczególnych punktów realizacji zadania. Jak ono brzmiało? „Wybór ministra finansów w skorumpowanym kraju Afryki”.

Patrzyliśmy na to jedno zdanie z mieszanymi uczuciami... Każdy z nas miał z pewnością inne, własne wizje tematu zaliczeniowego. Można by wstawić tu parę problemów – jak to się robi np. u nas czy w Niemczech. Ale bardzo ogólnie, bo to temat-rzeka i politycznie niebezpieczny. Można zobaczyć, co w takich skorumpowanych krajach się dzieje, bo ja nie biorę udziału w dyskusjach na ten temat, albo...

– Oj, zostawcie te szczegóły – Wiesiek wyraźnie się wkurzył! – Temat jest trudny! Czasu mało! Do roboty! Najlepiej według punktów.

– Ja nie będę zaglądać do tych zeszłorocznych książek – tym razem wściekła się Zuzanna.

– Ja też nie – wydusił z siebie Kuba, który od początku sprawiał wrażenie przerażonego.

– To co robimy? – Wiesiek spojrzał na mnie takim wzrokiem, że cokolwiek bym powiedziała, to byłoby złe!

– Powiemy, że o wyborze ministra finansów w Afryce, i to jeszcze w skorumpowanym kraju nic nie znaleźliśmy i już – odpowiedziałam gładko, patrząc na zegarek z niepokojem. – Ale może coś znajdziemy w sieci? Usiądźmy np. na piętnaście, dwadzieścia minut i szukajmy, a nuż coś będzie, co da się dopasować do naszej sytuacji.

– Dobrze, ale ani minuty dłużej. Będę sprawdzał czas

– Wiesiek był zdeterminowany! – Ani minuty!

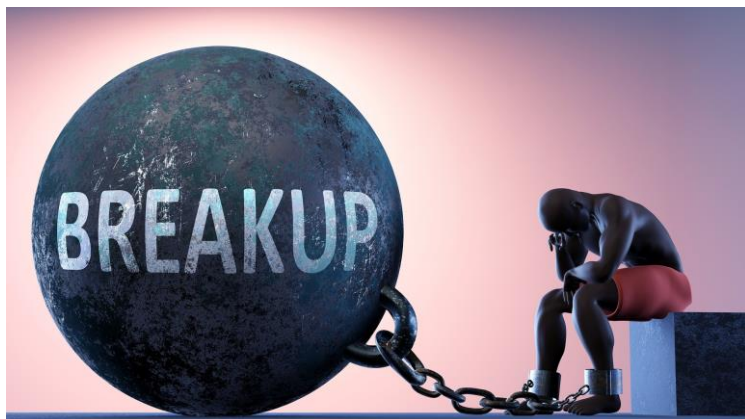
– Ten nasz „Dyr” mnie zamorduje – westchnęła Zuzanna.

– Pociesz się, że człowiek zamordowany przez jednego wroga jest tak samo martwy, jakby przez cały pluton wrogów – dodał Kuba.

– To gorsze niż takie pytanie: Czy można się nauczyć latać? Słyszeliście taką historyjkę? Patrzcie, Wiesiek wyszedł gdzieś na chwilę...

– To mów w końcu, może się nadaje.

Mały chłopiec spytał mędrca, czy człowiek może się nauczyć latać. Starzec odpowiedział, że człowiek może wzbic się do lotu, jeśli odrzuci wszelki balast, jeśli wyrzeknie się tego, co go do ziemi przykuwa.



7139786

Chłopiec nie rozumiał o co tu chodzi. Starzec zatem spytał go, czy posiada rzeczy, które stanowią dla niego ogromną wartość. Chłopiec wyliczył szereg przedmiotów, zaczynając od akwarium, a kończąc na kolekcji znaczków. I spytał go jeszcze starzec, co chciałby posiadać, gdy dorośnie. Chłopiec – co nie trudno zgadnąć – marzył o samochodzie i domu z ogrodem. Starzec spytał go ponownie, czy gotów byłby wyrzec się wszystkich rzeczy i marzeń o nich, a zachować tylko pragnienie latania. Chłopiec zaprzeczył, a mędrzec stwierdził:

- Dlatego też twoja dusza nie nauczy się nigdy latania.*
- Dostyc pouczające, ale na ministra to chyba nie, co myślicie?*

– Cicho, wraca Wiesiek!

– No to co? Nie jest szefem?! Też powinien się wykazać!

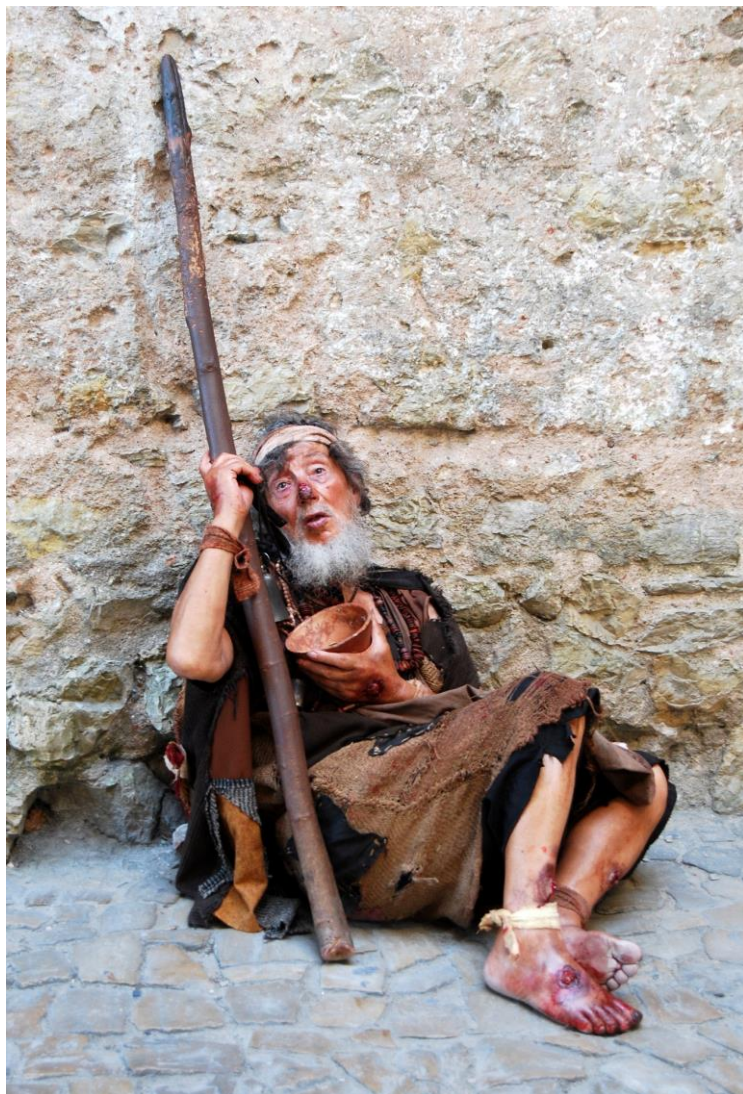
Gdy minął umówiony kwadrans, Wiesiek stuknął o szybę i wyjęczał, że boli go brzuch, ale i tak nic nie ma! Po czym wyprysnął do kibelka.

– A my, co mamy? – spytała Zuzanna. – Ja mam taką opowiastkę o żebraku, który miał wciąż pustą miseczkę. Posłuchajcie!

Żądze są jak bezwodne studnie drążone do źródeł pustki... Dziwne, że wciąż ktoś uczy nas nowych potrzeb, pragnień, pożądań, obiecując szczęście i nie dotrzymując obietnicy... A nikt nie uczy pogodnej rezygnacji, swobodnego wyrzeczenia, prostoty życia, które przyciągają szczęście.

Choć spod palacu króla przepędzano zwykle żebraków, to przed jednym z nich strażę czuły dziwny respekt. Wyglądał raczej na ubogiego mędrca czy wędrownego mnicha, bo nigdy nie prosił o datek, tylko siedział z pustą miseczką przed sobą i uśmiechał się wyrozumiale, jakby to pałacowi mieszkańcy i goście byli

godni współczucia, a nie on – bosy biedak niemający niczego.



521398

Pewnego ranka król, w szampańskim humorze, wyszedł przed pałac i natknął się właśnie na niego. Poczul wzbierającą w sobie hojność i rzekł:

– Mogę spełnić każde twoje pragnienie. Proś więc dziś, o co chcesz.

Na to żebrak:

– Na twoim miejscu, panie, zastanowiłbym się mocno, zanim bym coś takiego rzekł. Któż ci dał możliwość poznania i zaspokojenia pragnień człowieka?

Urażony zarozumiałością żebraka, król powiedział:

– Chyba nie wiesz, że jestem władcą tego królestwa i nie wiem, czy jest coś, czego nie mógłbym ci dać, biedaku.

Żebrak uśmiechnął się tajemniczo.

– Myślę, że nie będzie proste dla ciebie, panie, napelnienie mojej miseczki.

Król roześmiał się, zawołał sługę i kazał mu sypnąć złotych monet do miseczki. Jednak osłupiały ujrzał, że monety zniknęły na dnie miseczki. Świadcami tego było sporo dworzan, więc po paru godzinach nie tylko w pałacu, ale i w całym mieście mówiono o dziwnym

zjawisku. Król uniósł się honorem, wezwał kilku najbogatszych dostojników i rzekł:

– Choćbyśmy mieli poświęcić na to cały nasz skarb, to pokażemy temu żebrakowi, że nie damy mu się ośmieszyć. Przywieźcie tu tyle kosztowności, że napelnimy sto takich miseczek.

Teraz wokół żebraka zebrał się tłum żądny sensacji. Słudzy wysypywali kosztowności z worów i skrzyń, ale w tej niewielkiej miseczce wszystko przepadało bez śladu. Tak się działo przez cały dzień, a tłum gęstniał. W końcu król, nie chcąc się ośmieszyć do reszty, powstrzymał pragnienie ukazania swojego bogactwa i mocy, skłonił się przed żebrakiem i rzekł:

– Prawdę powiedziałeś, że nie znałem bezdna ludzkich pragnień. Zdradź mi jednak, z czego zrobiona jest ta miseczka.

Żebrak odwzajemnił ukłon i rzekł:

– Zrobiono ją z czaszki człowieka, którego mózg trawiły coraz większe pragnienia i żądze. Zżarły mu w końcu mózg, serce i duszę, a pozostawiły po sobie straszną pustkę. Dlatego ta miska zawsze jest pusta.

Król zapytał:

– Czy ty też tracisz wszystko, co użebrzesz?

Żebrak uśmiechnął się i rzekł:

– *Kiedy miseczka jest otwarta – jest samą żądzą i pustką, a kiedy odwracam ją do góry dnem – jest wyrzeczeniem i zaspokojeniem. W głębi wyrzeczeń tkwi pełnia.*

Ktoś kiedyś porównał ludzi konsumpcyjnego Zachodu do ciężko pracujących niewolników, usiłujących wyczerpać morze sitami, ale po tej opowieści można byłoby wielu nazwać żebrakami z miseczkami ziejącymi pustką, tylko nieznanymi sekretu wyrzeczenia.

– Zuzanno! No, takie złe to nie jest, ale jakoś nie widzę możliwości wdrożenia go do praktyki! Jak to zrobić?

Chwila ciszy przedłużała się i nikt nic nie proponował...

– To teraz ty, Kuba, co znalazłeś?

– Mam też opowiastkę, ale taką bardziej bajkową. Myślę, że może pasować, ale jak ją przeciwżyć? Jak sprawdzić? Właściwie historia mówi o tym, że zło przychodzi zwykle przebrane za jakieś dobro, za piękno, za jakąś ludzką słabość. I zaprasza do igrania z nim,

paktowania, kompromisu... Trudno się często stanowczo odwrócić od jego uroku... Ale posłuchajcie...

Nazywano ją Wyspą Syren lub Wyspą Bezwrotną. Była niebezpieczna, bo o jej skały rozbijało się wiele statków, z których rzadko kto się ratował i nikt nie wracał. I tym razem duży statek kupiecki rozbił się podczas sztormu, i tylko część załogi dotarła na łodziach do brzegu wyspy.



1366926

Wyszły im naprzeciw kobiety podobne do ich żon, matek i córek, zapraszając w głąb lądu. Powiedziały im, że straciły swoich mężów, ojców i synów podczas najgorszego od lat sztormu, tym chętniej więc ugoszczą tu rozbitków. Ci więc ruszyli za nimi z wielką ochotą.

Zdziwieni byli tylko wyglądem osady wcale nieprzypominającej rybackiej. Kiedy zmienili ubrania i zasiedli do stołów, pojawiły się te kobiety przebrane za wschodnie hurysy, obwieszane drogimi klejnotami. Częstoowały ich świątynnym jadłem i napojami i tańczyły tak kusicielsko, że dość szybko każdy rozbitek obejmował jedną lub dwie z nich. Trunki mieszały im myśli i wzmagaly uleganie czarowi i pożądaniu.

Jednak kapitan, w którym walczył wciąż obraz żony i córek pozostawionych daleko z urokiem najładniejszej kusicielki, kiedy ją objął, poczuł dziwny chłód i nieznaną mu dotąd lęk. Żeby trochę ochłonąć, udał, że zasypia, a potem niepostrzeżenie zszedł po jakichś schodach na dół, chcąc spotkać innych ludzi. Natknął się na trzech trochę otępiałyh garbusów, przygotowujących cele z łańcuchami. Ci powiedzieli mu, że te kobiety zostały opętane przez demony po tym, jak uśmierciły podstępnie wszystkich mężczyzn na wyspie. A teraz po każdym sztormie, gdy na wyspę trafiają kolejni rozbitkowie, wabią ich, goszczą, sycą żądze – tak do następnego sztormu, podczas którego jednych trują i zabijają, a innym

uszkadzają ciała, czyniąc z nich tępych niewolników. No i że dziś nadejdzie kolejny sztorm.

Kiedy kapitan wrócił na górę, żadnej z kobiet tam nie było. Pobudził i zebrał żeglarzy na plaży, mówiąc im, w jakiej są pułapce. Jedni chcieli uciekać na łodziach mimo sztormu, reszta jednak nie dowierzała kapitanowi. Bo jakże takie piękne, bogate i gościnne kobiety mogły mieć coś z demonów? I wtedy pierwszy piorun uderzył nieopodal i z niego jakby wyszedł świetlisty anioł, który powiedział im, że jest posłany do nich dzięki modlitwie ich żon i córek i może ich uratować, a następnie zapytał, kto naprawdę i natychmiast chce wracać do siebie i do swoich. Potem rozpostarł śnieżnobiałą płachtę, każąc wejść na nią tym, którzy chcą wracać. Jedni pokręcili głowami i odwrócili się w stronę pozostawionej gościny. Drudzy zaczęli mówić, że dopiero tu im się dobrze żyje i mają jakąś przyszłość. Inni, jakby przerażeni tą bielą, bali się na nią wstąpić. Wreszcie kilku stanęło przy kapitanie i aniele. Anioł jeszcze raz spytał, kto chce naprawdę wracać, a potem z mocą poderwał płachtę z żeglarzami i uniósł się w górę. Z góry widzieli następnego rozbity statek i kobiety witające nowych rozbitków. Gdy tak cudownie

uratowani stanęli wśród swoich bliskich, radość musieli pomieszać ze smutkiem i milczeniem o losie pozostałych, bo stamtąd naprawdę nikt nie wracał.

– Ciekawa opowiadka – podsumowała Zuzanna. – Ale tak jak poprzednio, jak ją tu wdrożyć w życie? Też byłby problem, prawda? A gdzie przepadł nasz Wiesiek?

– No siedzi na kibelku i... Niektórzy tak reagują na stres. Ale ja mogę teraz opowiedzieć wam, co figurowało na stronie EZ, czyli etyka zawodowa. Może to uda się nam przeprowadzić, no bo spójrzcie na zegarek.

Walczymy z nadwagą ciała, ale czy również z obciążeniem sumienia? Tę pierwszą trudno jest ukryć, ale ileż jest sposobów na ukrycie, zatuszowanie, zbagatelizowanie tego, co obciąża sumienie. Niektórym się to nawet udaje... Do czasu, gdy...

Nic tak łatwo nie potrafi przyłgnąć do ręki, do portfela, ale i do serca, jak pieniądz. Dlatego z przysłowiową świecą szukać trzeba takiego, kto uczciwie będzie zarządzał wielkimi pieniędzmi, czyli kto może wziąć, a nie weźmie; kto może bez pracy pomnożyć pieniądze, a wybierze jednak spokój sumienia.

Pewien kanclerz po kilku wielkich aferach swoich ministrów i setek innych, którzy się obłowili, szukał teraz kandydatów, spośród których mógłby wybrać nowego ministra na tyle uczciwego, by powierzyć mu spłatę, ale i ściąganie ogromnych długów swojego państwa. Ogłoszono więc konkurs wśród absolwentów najlepszych ekonomicznych uczelni z najlepszymi wynikami. Wśród tych z rodzinnymi tradycjami w tej dziedzinie, z talentami i z jak najlepszymi rekomendacjami. Tych, którzy mogli pochwalić się świetną elokwencją i takimże wizerunkiem, co teraz jest w cenie, szczególnie w mediach. Rozpuszczono też szeptaną legendę o niebywałych zarobkach, jakie będzie miał zwycięzca, ale i jego najbliżsi współpracownicy. Na konkurs zjechało kilkuset kandydatów mniej więcej spełniających owe wymagania. Drogą eliminacji wyłoniono spośród nich stu, a potem dziesięciu najlepszych. Ostateczny wybór kanclerz powierzył swojemu staremu nauczycielowi, mieszkającemu od kilku lat w jakimś zamkniętym klasztorze, ponieważ tylko jemu naprawdę ufał. Ten przyjechał, obejrzał kandydatów i kazał uszyć im luksusowe, fantazyjne wręcz szaty, które mieli starannie

obejrzeć i w nie się ubrać. A potem każdy z osobna miał przejść prawie ciemnym korytarzem, który wiódł do sali, gdzie miano ogłosić werdykt. Kiedy już wszyscy tam weszli, ów nauczyciel zwrócił się do nich:

– Jesteście tymi, których kompetencjom, talentom i innym walorom może zaufać nasz kanclerz i państwo. Przeszliście tak wiele konkurencji, że ostatnia jest bajecznie łatwa: niech każdy z osobna teraz zatańczy. Prosimy o muzykę!

I oto żaden z nich się nie ruszył, prócz ostatniego. Pozostali stali jak przymurowani do posadzki. Niektórzy zaczerwienieni... Tylko ów jeden zatańczył lekko i z wdziękiem, wywołując oklaski nauczyciela, kanclerza i dam. Zdumiony zakończeniem konkursu kanclerz poprosił nauczyciela o wyjawienie jego tajemnicy. Ten przy wszystkich zgromadzonych powiedział:

– Tych dziesięciu prawie nie różniło się od siebie, jeśli chodzi o prezencję i kompetencje. Nikt jednak nie pytał ich dotąd o sumienie. Otóż w tych szatach, które otrzymali, było sporo kieszeni. Kiedy każdy z nich szedł tutaj przez prawie ciemny korytarz, musiał zauważyć, że stały tam otwarte skrzynie z leżącymi pozornie bezładnie klejnotami.



665698

Tylko jeden powstrzymał się, by nie napęłnić nimi kieszeni. A pozostali wzięli ich tak dużo, że zatańczyć lekko mógł tylko ten, co nie wziął z twojego skarbcza ani centa. I jego rekomenduję na ministra. Wątpię jednak, by mógł on wybrać spośród tej reszty swoich współpracowników.

I wtedy podniósł się wrzask wśród tych dziewięciu osądzających nauczyciela w najgorszy sposób.

– To jest super! – Zuzanna zaczęła klaskać w dłonie! – Super! Ale nas jest za mało, żeby to ładnie pokazać! To dziesiątka kandydatów! Jak i skąd ich zebrać?

– Czekaj! Jest jeszcze przeszło godzina! Zobaczymy, czy uda nam się przeprowadzić taki eksperyment. Muszę

zadzwoić do koleżanki, bo ona prowadzi teraz obóz dla młodzieży i może pożyczy nam na parę minut dziesięciu chłopca!

Na szczęście Ewa odebrała od razu. Dobrą chwilę musiałam jej tłumaczyć, o co chodzi. W końcu mi przyklasnęła i prędko policzyła swoich chłopaków, którzy byliby chętni do takich występów!

– Ale mam tylko dziesięciu chłopca, a ty potrzebujesz dziesięciu, tak? No, Ok, tego dziesiątego musicie wykombinować. Ale co z tymi togami i czapkami? Tego ci w godzinę nie załatwię. Co robimy?

– A mają oni coś wspólnego? Na przykład jakieś koce, narzuty?

– Mają koce, wszystkie równe i nawet nowe. Mogą być?

– Dobra! Weź chłopaków i te koce, a po drodze wytłumacz im, w czym rzecz! I żadnego śmiechu, żadnych głupich min itp. mają być ponurzy, bo denerwują się, czy dostaną tę posadę ministra, jasne? Aha! I weź też dziesiąty koc i przyjeżdżajcie jak najprędzej.

– Będziemy za dwadzieścia minut! Trzymaj się!

– To załatwione, będą parę minut przed dwunastą. Ale tylko dziewięciu! Co robimy?

W tym momencie wszedł do nas Wiesiek. Błady jak ściana, ale cóż! Starał się być „na chodzie”. Bez zbędnego działania i opowiadania, co i jak, dosłownie w paru zdaniach przedstawiliśmy mu scenariusz działania.

– Jestem trochę duży, ale w życiu tak bywa, że jedni są duzi a drudzy mali. Nie szkodzi! Czy mam coś tam mówić?

– Nie, ale zatańczyć! Tak jak potrafisz! Na końcu! Chłopaki będą mieć pełne kieszenie złota, srebra itp. A ty nie! I musisz tańczyć lekko!

Skoczyłam jeszcze szybko do bufetu po dziesięć reklamówek i w dziewięć z nich napchaliśmy co prędzej różnych różności z szaf w naszej sali. Były tam kredki, pisaki, zeszyty, książki... A czapki? Trudno, wsunie się człowiek pod taki koc! I będzie udawać Beduina. W pokoju znalazłam też gumki recepturki, super wyglądały na głowach młodych biznesmenów.

I była już niemal dwunasta! Jak zleciały te godziny! Podsumowanie wzięłam na siebie, bo tam progi za wysokie na nasze wszystkie nogi...!

Finał wypadł świetnie! Chłopaki a'la Beduini dźwigali swoje reklamówki ukryte pod kocami, Wiesiek zatańczył jak na olimpiadzie, mój komentarz okazał się trafiony – nie za długi, nie za krótki – taki w sam raz!

Było sześć grup i okazało się, że wszyscy mieli to samo zadanie! Ale takiego teatru nikt nie wyreżyserował! Oczywiście były też różne podejścia do problemu wyboru ministra „od pieniędzy”, ale nasze było najlepsze! Dziekan śmiał się do rozpuku, pozostali organizatorzy nie byli mu dłużni! Dostaliśmy najwyższe noty!

Po smacznym posiłku, gdy emocje trochę opadły, usiedliśmy w zacisznej altance na tyłach budynku z lodami i kawą. Fajne to były studia! Wspomnienia, plany na przyszłość, marzenia... jak to między ludźmi.



7426944

Nagle zaterkotała SMS-owa wiadomość u Wieśka w kieszeni. Zajrzał automatycznie i wykrzyknął:

– Słuchajcie! Wygrałem konkurs na szefa korporacji finansowej NBI, rozumiecie? Czy teraz dalej mam być grzecznym urzędasem?

Użyteczność informacji – na przykładzie szkoły zawodowej

Człowiek honoru ma jedno słowo, krętacz – tysiące

/Emilia Tesz/

W Chinach istniał kiedyś bardzo sympatyczny zwyczaj. W szczególnych okazjach podarunkiem bywał dziurawy miedziak, którego otwór wypełniał pęk wełnianych nici. Nici pochodziły od krewnych, znajomych i przyjaciół, a każda z nici symbolizowała godzinę szczęścia. To znaczy, że ofiarodawcy odstępowali wielkodusznie po godzinie tego szczęścia, które im w życiu było pisane. Rzykowny to był podarek, gdyż nikt nie wiedział, czego się wyzbywa. Nikt nie miał wpływu na wyznaczenie i wybór godziny. Nikt nie mógł nawet przypuszczać, która to będzie godzina. Może ta, w której zapisano by mu w testamencie majątek; może ta, w której pomyślny zbieg okoliczności uratowałby mu życie; może wreszcie jedna z wielu szczęśliwych godzin spędzonych z przyjaciółmi przy winie ryżowym. O wyborze decydował kapryśny los!

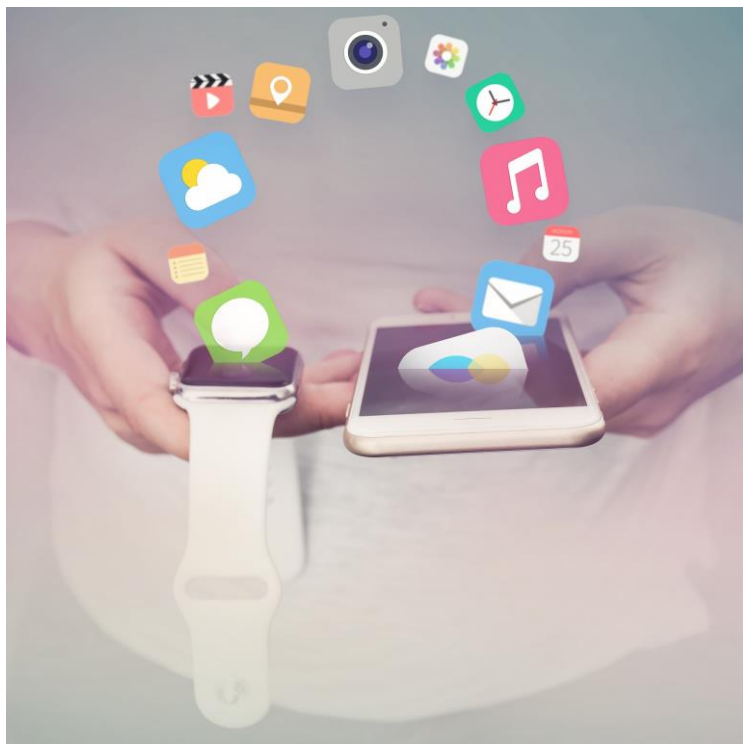
Jak widać, wspaniałomyślność nie jest wynalazkiem kultury europejskiej, a wielkoduszność domeną

chrześcijan. Można się nie zgadzać z wierzeniem, że przeznaczenie przydziela każdemu wedle własnego uznania i wedle kaprysu porcję szczęścia i niedoli, ale przekonanie o przydziałowym i porcjowanym szczęściu dodaje wielkoduszności chińskich ofiarodawców blasku i chwały. Tej wielkoduszności, która i dla nas jest podstawową regułą w ekonomii szczęścia.

Szczęście to nie żywnościowa racja z kartkowego przydziału, którą się człowiek sam dożywia i z której od czasu do czasu coś uszczknie i ofiaruje bliźniemu. Szczęście to nie pożyczony kapitał, którym należy mądrze obracać, który trzeba pomnażać, aby można było kiedyś zwrócić dług, spłacić odsetki i wyjść na swoje. Szczęście to raczej przedsięwzięcie. Przedsięwzięcie skazane z góry na niepowodzenie i straty, jeśli dokonuje się w pojedynkę, z wykluczeniem innych. Przedsięwzięcie, które potrzebuje współników, współwłaścicieli, udziałowców, jeśli ma być imprezą zyskową i udaną. I tu jest miejsce dla wielkoduszności. Trzeba bowiem dopuścić do gry innych, i to w charakterze równoprawnych partnerów; trzeba ich obdarzyć pełnym zaufaniem i nie patrzeć im na ręce w obawie, że będą próbowali włamać się do naszej wspólnej

szkatuły ze szczęściem; trzeba wreszcie wyrzec się chęci bycia szczęśliwszym od innych i nie ulec pokusie okpienia i oszukania współników przy podziale zysków. Ale to oszukanie najczęściej się grubo opłaca! Grubo, grubo...

W tym momencie umilkłem, a na sali dalej panował gwar. Powtórzyłem więc ostatnie zdanie jeszcze raz, i jeszcze raz. Bez skutku! Co robili słuchacze? Otóż bardzo różne rzeczy, ale wszyscy trzymali w rękach swoje smartfony! Mniejsze, większe, w pokrowcach i bez...



1039117

Głaskali je, przesuwali teksty, obrazy, śmiali się pod nosem, niektórzy z niesamowitym napięciem wpatrywali się w ekraniki. Trzech miało słuchawki w uszach, więc z pewnością nie słyszeli nic z mojego wykładu. Pozostali pewnie też nie, bo nikt nie zareagował na zakończenie. Głupie i niezgodne z treścią opowiastki o szczęściu. I to „towarzystwo” ma w przyszłym roku zdawać maturę?

Niedoczekanie! Trzeba coś z tym zrobić! Ale nie w nerwach, tak na gorąco, ale... muszę to przemyśleć! Tak będzie najlepiej! Może nawet z kimś się umówię na hospitację?

Stuknąłem więc parę razy w komputer, zrobiło się odrobinę ciszej i wtedy powiedziałem, że na następnej lekcji wychowawczej spodziewam się hospitacji...

– ...Więc proszę, abyście się dobrze przygotowali z ośmiu ostatnich tekstów, tych, które omawialiśmy w tym roku, łącznie z dzisiejszym. Musimy wypaść nie najgorzej, bo jak dyrekcja zobaczy i usłyszy tu jakieś bzdury, to...

– Ok, panie psorze, będzie dobrze! Damy radę! Możemy już skończyć, bo w barku na dużej przerwie jest zawsze kolejka!

– Dobrze, ale pamiętajcie o moich słowach! Przygotujcie się super!

Tego to już chyba nikt nie słyszał, bo rumor krzesel i stolików zagłuszył moje rady! No zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

Na dużej przerwie robiliśmy w pokoju nauczycielskim kawę i herbatę, czasem jakiś solenizant czy jubilat stawiał

coś słodkiego, ale na dzisiaj nic takiego się nie szykowało! Skorzystałem więc z okazji i powiedziałem parę słów o problemie słuchania na lekcjach.

– No pewnie, to sprawa odwieczna! Ale teraz coraz mocniej ten problem się nasila – powiedziała dosyć mądrze Maria.

– Tak, tak, ale co z tym zrobić? Moja koleżanka, polonistka pracuje w Warszawie, w renomowanym liceum i tam generalnie rodzice postanowili, że zgadzają się na zabranie smartfonów na czas lekcji. Troje się nie wypowiedziało, a dwójka oznajmiła, że to jest dyskryminacja i zażądała, aby ich dzieci miały stale smartfony przy sobie. Ale synowie i tak je składali do pudła w pokoju nauczycielskim. Atmosfera się oczyściła, ludzie ze sobą zaczęli normalnie rozmawiać, cieszyć się swoją obecnością...

– To, co dobre w Warszawie, niekoniecznie spełni się tutaj. Bo u nas smartfon, to jeszcze jest „coś” – oznajmiła pani od fizyki. – Niech noszą te smartfony, będą się czuli dorośli.

– Ale to przecież nie są dzieciaki! Zobaczymy, mam pewien pomysł! Kto przyszedłby do mnie na hospitację w przyszłym tygodniu?

Umówiliśmy się na ustalenie planu działania we czwartek po lekcjach. Poprosiłem, żeby poczekali na mnie chwilę, bo mam wcześniej już umówioną rozmowę z matką mojego ucznia.

– Ale żebyście się nie nudzili, to puszcze wam jedną czy dwie historyjki, które pojawiały się na moich lekcjach.

I przygotowałem ostatnią, tj. „Ekonomia szczęścia w Chinach”, i dwie wcześniejsze: „Czas ucieka, wieczność czeka” oraz „Sposób na szczury”.

Ludzie mówią, że czas im ucieka. Nim człowiek wystartuje do życia w poniedziałek, już za chwilę – za mgnienie, za oddech zbyt krótki – żegna piątek. Ot tak, szast prast i tydzień za nami... A potem chwila pozornego wytchnienia. Sobota i niedziela. Ocean wolnego czasu. I żarcik raczej smutny, że w niedzieli najfajniejszy jest sobotni wieczór.



1654550

Za dużo życia w tym życiu. Za dużo bierzemy sobie na głowę. A gdy już tak zapętlimy się w sieć spraw koniecznych, niezbędnych, arcyważnych do wykonania, do załatwienia, wydreptania, wystania – irytuje nas najmniejsza przeszkoda, jakiś nieprzewidziany zastój, nagła zmiana planów... I już nerwy puszczają, już pełna gotowość do awanturki o byle co, bo „się nie wyrabiamy”. Już narzekania, marudzenia.

Najgorsze w uciekającym czasie nie jest jednak to, że on tak bez opamiętania... że dokłada nam lat, zmarszczek i goryczy doświadczeń – mówią mądrzy ludzie. Najgorsze

jest to, że wraz z tym przeciekającym przez palce czasem uciekają nam ludzie.

Każdy pamięta takie zdarzenie. Przypadkowe spotkanie na ulicy, w sklepie, przed kościołem, w urzędzie, gdziekolwiek. Znajomy albo przyjaciel sprzed lat. I chwilowa radość:

– O, jak miło cię widzieć. Świetnie wyglądasz. Musimy się spotkać, koniecznie.

– Boże, jak ja cię dawno nie widziałam.

– Pogadamy o wszystkim, już się cieszę, naprawdę...

– O tak, pogadamy sobie tak jak dawniej, tak od serca, wszystko mi opowiesz...

– Zadzwońię.

– Odezwę się.

– No to, pa. Muszę lecieć.

– Zdzwonimy się, pa.

Ale nie dzdzwonimy się, nie przyjdziemy na spotkanie, nie pogadamy sobie – to wiemy niemal od pierwszej chwili. Dlaczego? Bo czasu mamy za mało.

Albo inny obrazek, z rodzaju rodzinnych... Codzienna wymiana informacji:

– Jak tam w pracy?

– *Co w szkole?*

– *Jak się czujesz?*

I seria równie lapidarnych odpowiedzi:

– *Dobrze.*

– *Jak zwykle.*

– *Ujdzie.*

Psychologowie załamują ręce.

– *Rozmawiajcie ze sobą – nawołuj. – Gadajcie, paplajcie godzinami, przyzwyczajcie się do wzajemnych opowieści. Mówcie o uczuciach, emocjach, doznaniach, codziennych obserwacjach... Snujcie wspomnienia, refleksje...*

No tak, ale na to potrzeba czasu. Rozmowa zakłada, że ofiarujemy go sobie nawzajem. Rzecz powinna odbywać się niespiesznie, z uroczą powolnością długich zdań. Niech znajdzie się tam coś o krajobrazie, o pogodzie, o jakimś zabawnym, niecodziennym zdarzeniu... Zaparzymy herbaty – mocnej, aromatycznej, takiej wiecie, co szczypie w język... Niech tam za oknem śnieg albo deszcz. Jak w tym wierszu Brodskiego...

W takich właśnie chwilach czas odzyskuje swoje właściwe tempo, rytm i oddech. Jeśli czas przecieka nam

przez palce, jeśli uczucie to nam doskwiera i czujemy w związku z tym dyskomfort – to dobrze. To znaczy, że jeszcze nie jest z nami źle. I jest w nas szansa, nadzieja i spory potencjał.

Pewien pilot opowiada, że podczas postoju w jednym z krajów arabskich do samolotu dostał się szczur. W jakiś czas po starcie zauważył on obecność nieproszonego gościa. Oblał go zimny pot. Rozpoznał niebezpieczeństwo: jeśli szczur zacznie podgryzać kable, samolot może runąć na ziemię! Co robić? Lecieć dalej, ryzykować przymusowe lądowanie?

Pilot robi co innego. Nabiera wysokości i kieruje maszynę w strefę rozrzedzonego powietrza, w której żaden szczur nie ma szansy na przeżycie. Po lądowaniu na lotnisku docelowym znalazł w samolocie martwe zwierzę.

Szczur może być symbolem tego, co umiłowало ciemność, co unika i boi się światła, co ukrywa się w tajemnych zakamarkach serca, co jest zagrożeniem i powoduje szkody, a więc lęku, smutku, winy i grzechu.

Lęk ograbia człowieka z energii, paraliżuje go i zniechęca, podcina mu skrzydła, uniemożliwia bezpieczny

lot. Wina w cień zepchnięta, o której chce się na siłę zapomnieć jest obciążeniem, leży kamieniem na sercu, nie sprzyja duchowemu zdrowiu. Jakże często idziemy przez życie pokąsani i jadem zatruci.

Czy istnieje sposób na „szczury”? Jak zapobiegać szkodom, jak uchronić się od niszczącego działania wymienionych oraz innych „szkodników”, jak się ich pozbyć? Otóż tak samo jak pilot. Trzeba się wzbić i poszybować w górę; trzeba się dostać do czystej atmosfery, która nie pozostawia szans szkodnikom; trzeba dotrzeć w krąg światła, którego one nie znoszą. Tylko w tej atmosferze ginie smutek i przygnębienie, a radość staje się ostoją człowieka. Tylko to światło wygania winę z kryjówki, zachęca człowieka do szczerych wyznań i skruchy serdecznej, obdarza go przebaczeniem.



2605692

– Ok, idź porozmawiać z mamą Grześka, bo to trudny chłopak, a my tu na ciebie poczekamy, tak Krystian?

– Marta! Ale mamy zadanie bojowe! Trzy historyjki – przypomniał Krystian.

– Ok, Jasiu, będzie dobrze! Damy radę!

Gdzieś już to słyszałem, ale teraz miałem co innego do stwierdzenia. Przez dziurkę od klucza zajrzałem do pokoju nauczycielskiego. Marta i Krystian uruchomili mp3 z tekstami, a sami... złapali swoje smartfony... Ale numer! I co ja z nimi zrobię? I to Marta i Krystian. Trudno! Muszę z nimi porozmawiać i wytłumaczyć im jeszcze raz, o co

mi chodzi z tą hospitacją. A może z niej zrezygnować? Postawić wszystkim szóstki i piątki. I mieć święty spokój?!

Sprawa hospitacji wyjaśniła się bardzo szybko, bo gdy nawet jeszcze nie powiedziałem ani słowa, do Marty ktoś zadzwonił i ona bardzo się zmartwiła. Jeszcze rozmawiając, zabrała swoje manatki, rzuciła przez ramię, że zachorowała jej córka, chyba to półpasiec, i że ona będzie wyłączona przez jakiś czas.

– To życzymy wam zdrowia! – Krystian był trochę zmartwiony, ale to on został na placu boju.

– Słuchaj Jasiu! To jak to ma wyglądać? Może lepiej dyrekcję w to włączyć?

– To przecież mają być hospitacje takie „na niby”. No bo co tu hospitować? Przecież nie mnie, tylko uczniów, prawda? Ale chyba i ty musisz się lepiej przygotować. Czy mógłbyś w paru zdaniach streścić te historyjki? Jak to było z tą godziną szczęścia w Chinach, czy czas mamy wyłącznie do dyspozycji i jaki jest najlepszy sposób na „szczury”?

Krystian dostał takich wypieków, że hej! Zaczął coś dukać, ale nic z tego nie wychodziło!

– No bo wiesz, musiałem odpowiedzieć na SMS-y, napisać kilka wiadomości, a teksty leciały...

– Leciały i uleciały, tak? Posłuchaj jeszcze raz, ale z rozumem!

Ustaliliśmy potem, co i jak, pokazałem Krystianowi tekst na kolejną lekcję. Bardzo mu się podobał, mówił, że taki mądry, z treścią głęboko ukrytą i... że musi go sam przemyśleć!

„Nigdy nic nie wiadomo” – powtarzał Mały Książę, wyrывая wciąż cierpliwie zielone pędy baobabów... Bo przecież i dobry człowiek nosi w sobie zalążek zła, a zły odwrotnie – dobra, i nie wiadomo, który się rozwinie. Bo ponoć wady to są zalety, które się jeszcze nie rozwinęły, a jeśli się kocha, to czas się zawsze znajdzie, choćby na rozeznanie, że dobrzy są mniej dobrzy, a źli trochę lepsi. I choć żadne mojry nami nie kierują, to księżę zdarzeń mamy otwartą w połowie...

Bywa, że i jałowa pustynna ziemia wyda z siebie nadspodziewanie piękny i bujny owoc. Tak było z tym drzewem, o którym prawiono legendy, że pamięta czas Edenu. Rosło samotne, o dwóch rozłożystych, ogromnych konarach. Obsypywało się co i raz takim mnóstwem

przepięknych owoców, że pomniejsze gałęzie gięły się do ziemi, jakby chcąc obdarować nimi najmniejszych.



5255288

Jednak legendy ostrzegały, że jeden z konarów rodzi owoce śmiertelnie trujące, ale nikt nie wiedział który, bo niczym się nie różniły ani konary, ani liście, ani owoce. Omijano więc to drzewo z zabobonnym lękiem i sycono się owocami z innych drzew. Lecz gdy nadeszła straszna susza, większość drzew uschła razem z ogrodami i zasiewami. Tylko to jedno drzewo kusilo mnóstwem dojrzałych owoców. Ludzie zaczęli schnąć z głodu, więc coraz ich więcej przychodziło pod drzewo, ale nikt się nie odważył spróbować. W końcu jakiś starzec, któremu

pozostało może parę dni życia, sięgnął po owoc i ugryzł. Popłynął złoty, pachnący sok ze smakowitego miąższu. Wszyscy wpatrywali się w starca... Ale kiedy zjadłszy jeden owoc, sięgnął po następny, to inni też wyciągnęli ręce ku gałęziom. Owoce były bardzo soczyste i sycące. A najdziwniejsze było to, że na miejsce zerwanych pojawiały się od razu nowe. Mieszkańcy kilku wiosek zaspokajali głód przy tym drzewie. W końcu zaczęto się śmiać z dziwnej legendy i swojego strachu. Teraz już byli pewni, który konar daje owoce dobre, więc ktoś poradził, żeby już na zawsze pozbyć się tego drugiego, być może rodzącego złe owoce. Zdania na ten temat były podzielone. Ludzie wierni legendzie sprzeciwiali się, ale młodzi zaczęli nawet podejrzewać, że może wszystkie owoce są dobre... Nocą paru zakapturzonych mężczyzn odrąbało ten drugi konar. Kiedy rano ludzie przyszli pod drzewo, ujrzeli, że wszystkie owoce spadły na ziemię i zaczęły się rozkładać, a drzewo uschło już na zawsze.

Wciąż nie jest nam objawiona tajemnica zła towarzyszącego dobru. Iluż to utopistów wymyślało cudowne sposoby na pozbycie się zła, ale gdy się do tego zabierali, tym więcej zła czynili, a dobro stawało się

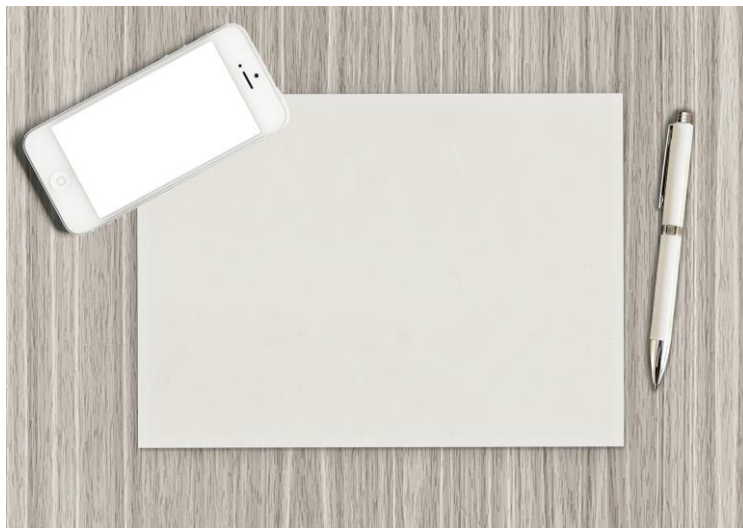
obludne. To czasem tak jak z samobójcą, który tak bardzo utożsami się ze złem czy strachem w sobie, że chcąc je unicestwić, zabija sam siebie, a przecież był jedynie nosicielem tego zła, a załóżek dobra w nim czekał tylko, by go przebudzić i rozwinąć. Nigdy nic nie wiadomo... bo ostatnie słowo nie należy do nas, a więc lepiej go nasłuchiwać.

– I właśnie chodzi o to, żeby te teksty docierały do młodych. A jak mają dotrzeć, jeżeli ich nie słuchają, albo tylko udają, że słuchają?! Coś tam słyszą, niewiele, albo i nic nie rozumieją...

Do sali na lekcję wychowawczą poszedłem jednak sam, bo Krystian musiał w tym czasie zastąpić kolegę na fizyce dla IIIc. Uczniowie nie wyglądali na zawiedzionych, ale miny im zrzedły, gdy poprosiłem o pochowanie smartfonów i innych materiałów, bo będzie krótka kartkówka.

Nie bójcie się! Nie będę jej uwzględniał w ocenie na okres. Ona jest w gruncie rzeczy dla was. Bo widząc wasze „zasłuchanie” na poprzednich lekcjach, dam sobie głowę uciąć, że nie pamiętacie, o co tam – jak to mówicie – „szło”. Proszę, daję wam czyste kartki i trzy pytania z

losowo wybranych tematów. Macie na odpowiedź – kwadrans! Potem omówimy wasze prace!



1215551

Gdy minął kwadrans, wszystkie kartki leżały na moim biurku. Czyste – jak niebo bez chmur!

Część II

Przekazujesz komuś na różne sposoby informację:

„Kocham cię”!

Ale Miłość to nie tylko słowa...

Trzeba czasem trzy razy dać, zanim się raz otrzyma...

Miłość cierpliwa jest¹

a nie, jak dziś, „zaczynamy ją przeżywać na podobieństwo pochłaniania bagietki na stolku w barze szybkiej obsługi – nerwowo, niecierpliwie”. Jesteśmy zachłanni, czasem wręcz pazerni na tego drugiego człowieka... głodomory! Zamiast delektować się długo i poznawać smak... to my jakbyśmy chcieli przeniknąć całego człowieka, stopić się z nim na wzór żelaza. Chcemy, by stał się naszą własnością... zapominając o tym, że mamy być jednością w różności. Wielkość Miłości nie zależy od intensywności Jej przeżywania... to nie burzliwe romanse, intrygi...

Święty Franciszek mówił, że pośpiech jest synem diabła i zabija duszę. A ja sądzę, że on zabija miłość przede wszystkim.

Skoro pośpiech jest synem diabła, to Bóg jest Ojcem cierpliwości.

Falstart

– Zdzichu! Co ty wyprawiasz? Zdzichu! Mieliśmy zjeść tu uroczystą kolację, bo mija pół roku od czasu, jak się spotykamy, a ty co? Daj spokój! Usiądź zaraz, wystygnie ci zupa z krewetek. A taki byłeś ciekawy jak smakuje, prawda? Schowaj, proszę ten pierścionek! Jeżeli

¹ Motta w części II zaczerpnięto z Wortalu Jana Pawła II Wielkiego Pokolenie JP II, zakładka Duchowość-Hymn o miłości 1 Kor. 13,4-8. Autorka Ewa Twerd wykorzystwała cytaty z książki Tadeusza Rucińskiego – Powiedz, jak ma Cię kochać? Wyd. Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2001.

to mają być oświadczyzny, to... Wstawaj z tych kolan! To jeszcze nie czas na to!

– Helenko! Czas? Co tu ma czas do rzeczy? Ja już tak chciałbym, żebyśmy razem zamieszkali, sprawdzili się, no bo jeżeli nie będziemy tak na co dzień pasowali do siebie, to co będzie? Żle! I trzeba będzie się rozstać...

– Zdzichu! Siadaj tu zaraz, bo robi się zamieszanie! Przyniosą drugie danie i co, będziemy też jeść zimne? A miało być tak sympatycznie!

– No przepraszam cię, ale tak jak mówię, miałem jak najlepsze chęci.

– Nie wiesz, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane? Tak, tak, piekło! Co ci tak braknie cierpliwości?

– Kocham cię, dziewczyno, kocham, pożądam, pochłaniam cię wzrokiem! Nie widzisz tego?

– Widzę, cieszy mnie to, ale ta informacja to jeszcze mało, żebym miała zostać twoją żoną na całe życie! Zdzichu! Widzieliśmy się kilka, może kilkanaście razy! Zawsze gdzieś wśród ludzi, w teatrze, w kinie, w lokalu, na spacerze... Nie znamy naszych rodziców, rodzeństwa... Wciąż o wiele za mało wiemy o sobie!

Patrz, niosą już drugie danie! Zjedzmy je w ciszy, żeby emocje opadły, dobrze? Zobacz, przecież wygląda bardzo smakowicie!

Pieczeń stawała mi kością w gardle, lepiej szło mi z sałatkami i frytkami, ale udawałem bohatera. Helenka jadła z oczami utkwionymi w środek talerza i wyraźnie posmutniała. Czuję, że wygłupiłem się z tymi oświadczeniami! Ale cóż, stało się i się nie odstanie! Faktycznie, znaliśmy się, spotykaliśmy, rozmawialiśmy, ale to nie było to! Zwłaszcza, że mieszkam pięćset kilometrów od miejsca, w którym siedzimy. Jeszcze godzina, dwie i trzeba będzie myśleć o odjeździe. Do kiedy? Czy w ogóle będzie jakieś „kiedy”? Czy Helenka nie zapomni mi tej wpadki? Czy będzie chciała rozpocząć, niemal od nowa? Z tego wszystkiego zaczęła mnie boleć głowa, a sala parę razy zawirowała jak na karuzeli.

– Helenko! Zapłacę i wyjdziemy, dobrze? Jakoś źle się czuję po tym wybryku! Bardzo cię przepraszam, ale... myślałem, że to będzie wyglądać inaczej, bo...

– Tak, jak na filmach? Tak, Zdzichu? Młodzi padają sobie w ramiona, ona woła: „Tak, tak, kochany! Będziemy

razem! Do końca naszych dni! Jutro idziemy dać na zapowiedzi!”. Tak miało być?

– No właśnie! Płacę i idziemy na lody do jakiejś spokojnej kafejki, Ok?

Chłodny wiatr od morza orzeźwił mnie na tyle, że mogłem już normalnie rozmawiać! Zapowiadał się piękny zachód słońca, to przecież już czerwiec!

Usiedliśmy przy zejściu na plażę i podobnie jak kolację, jedliśmy lody, niemal nic nie mówiąc! Też tak można? W ciszy, przy lekkim powiewie wiatru, wpatrzeni w niedzielny zachód słońca. Trzymając się za ręce...



A potem już szybko, szybko na autobus, bo do dworca jest kawał drogi. Już na peronie, gdy Helenka zobaczyła, że pociąg spóźni się około kwadransa, zagadnąłem ją pytająco, czy jeszcze się zobaczymy.

– No pewnie, głuptasie! Muszę cię najpierw podszkować do ołtarza, bo jesteś jeszcze nieopierzony! Za dwa tygodnie planowaliśmy wyjazd w czeskie Tatry! Ma nam przepaść taka okazja? Zadzwoń do ciebie jutro wieczorkiem i pogadamy o szczegółach, dobrze? A teraz, daj mi buzi, bo konduktor już wyszedł na peron!

Ucałowaliśmy się serdecznie! Jak chłopak z dziewczyną! Będzie dobrze! Helenka to mądra kobitka! Mądra i kochana! Będzie dobrze!

Gdy pociąg oddalił się od dworca i nie było już widać nawet kropeczki zielonej sukienki mojej dziewczyny, wziąłem do ręki smartfona i przeglądając ostatnie wiadomości zobaczyłem reklamę nowego filmu, który miał wejść na ekrany za parę dni: „Miłość i czas”. Kliknąłem i zacząłem czytać komentarze do tej reklamy...

Człowiek już dawno zauważył, że Pan często zwleka z odpowiedzią, „ociąga się” z wysłuchaniem, wystawia na

próbę cierpliwość i wytrwałość jego błagań. To dlatego człowiek ten ponaglał Boga:

– Boże mój, nie zwlekaj.

Dlatego uzasadniał własne zniecierpliwienie:

– Prędko wysłuchaj mnie, Panie, albowiem duch mój omdlewa.

Prędzej lub później każdy człowiek bywa wystawiany na podobną próbę, doświadcza tego samego zniecierpliwienia i podobne słowa wypowiada.

Ponieważ nie do pomyślenia jest, żeby Pan „droczył się” z człowiekiem dla własnej przyjemności, dlatego od wieków usiłowano odszyfrować tajemnicę tej powolności w wysłuchiwanie, znaleźć sens i celowość tej gry na zwłokę.

Jeden z teologów tłumaczył:

– Wielu rzeczy Pan nam nie odmawia, lecz ich udzielanie przesuwana na później, aby dać nam je w stosownym czasie.

Jest to zatem zwłoka w interesie samego człowieka i nierozsądne jest w tym wypadku ponaglanie.

– Gdy Bóg zwleka z wysłuchaniem, to nie dlatego, żeby cię odprawić z kwitkiem – dodaje – lecz po to, aby ukazać

twoim oczom wielkość daru. W naszych oczach cenne jest tylko to, o co trzeba było długo prosić. Co natomiast szybko otrzymujemy, traci też szybko na wartości.

Jest to więc celowy i przemyślany zabieg dydaktyczny. W ten bowiem sposób człowiek uczy się właściwie doceniać dar i w konsekwencji należycie dziękować.

Inny cel, jaki w ten sposób chce osiągnąć Pan, wymienia drugi teolog:

– Ponieważ często po otrzymaniu tego, o co prosiliśmy, wygasa gorliwość naszej modlitwy, dlatego Pan odsuwa od nas dar, chcąc w ten sposób zwiększyć intensywność naszych modlitewnych próśb.

Byłby to zatem ostry trening, dzięki któremu poprawia i udoskonala się styl, kondycja, krzepkość i żarliwość człowieka.

Można jeszcze przytoczyć wiele podobnych argumentów i wyjaśnień, ale czy to jest potrzebne? Wiemy przecież, że najważniejsze jest zachowanie wytrwałości w obliczu zwłoki, że to zawsze się „opłaca”. Tylko w ten sposób możemy doczekać się wysłuchania. I to wysłuchania w najbardziej dla nas korzystnym i sposobnym czasie, co jest dodatkowym pożytkiem. A przy

okazji realizuje On różne swoje wychowawcze plany i zamierzenia, co ostatecznie wychodzi nam na „duchowe zdrowie”. Bo wielką moc posiada wytrwała modlitwa sprawiedliwego.

Film jak dla mnie. Zobaczą go zaraz po premierze, a potem opowiem Helence. I przyrzeknę, że już będę cierpliwy! Cierpliwy aż do bólu!

Miłość łaskawa jest

My żyjemy na wielkim targowisku, gdzie nic za darmo, coś za coś, gdzie żąda się wielkiej ceny za falsyfikat, gdzie na wszystkim się zarabia, zbija interes, obraca...

Prawdziwa Miłość jest łaskawa, wręcz cudownie hojna. Daje i nie oczekuje niczego w zamian.

Jej źródło bije i jest niewyczerpalne, ponieważ ludzie, którzy je mają karmią swoje serca w Bogu, u którego wszystko jest niewyczerpalne, jak Jego Miłość.

Laska Sebastiana

Siedziałem sztywno na niezbyt wygodnym krześle i dyskretnie rozglądałem się wokół siebie. Ile lat mnie tu nie było? Siedem? A może więcej?

Poradnia psychiatryczna była świeżo po remoncie. Wymienione zostało prawie wszystko, nawet okna były nowoczesne, uchylne, bo na dworze była sroga zima. Taka, jakiej nie pamiętają najstarsi mieszkańcy.

– To chyba „zima stulecia” – westchnął jakiś gościu, bardzo pulchny i starający się zachowywać swobodnie. Ale to złudzenie, wiedziałem o tym dobrze. Wszyscy, jak tu siedzimy – mamy swojego mola (albo i kilka), który nas gryzie!

Punktualnie o dziesiątej przyszedł do nas terapeuta, żeby rozpocząć spotkanie. Siedzieliśmy w kręgu, było nas siedmioro. Ja i ten pulchny facet byliśmy nowi, więc Edek (tak się przedstawił terapeuta) poprosił, żebyśmy powiedzieli coś o sobie. „Pulchny” okazał się... aktorem z dalekiej prowincji, miał na imię Roman. Przeżywał bardzo boleśnie fakt, że nie obsadzono go w ostatniej sztuce, bo ktoś doniósł dyrektorowi, że on ma „szmergla” i lepiej, żeby póki co nie pokazywał się na scenie. Roman zgodził się pokornie i tak trafił do nas, to znaczy do kręgu. Aha, dodał jeszcze, że jest starym kawalerem, ale dlatego, że kobitki nie sprawiały mu nigdy przyjemności. Uśmiechnął się jakoś dziwnie, ale w końcu nie wiem, czy on jest „homo” czy nie.

Gdy ja miałem się przedstawić, powiedziałem, że jestem tu ponownie. Jestem tym razem dlatego, że nie mogę się pozbierać po pewnym wydarzeniu.

– Mam na imię Sebastian, jestem rozwiedziony. Mieszkam samotnie. Dzieci mam odchowane, są na swoim. Przyniosłem rekwizyt, bo z nim związana jest pewna historia.

I pokazałem laskę, pięknie wypucowaną, z namalowaną na boku białą lilijką.

– Jak przyjdzie moja kolej, to opowiem coś więcej.

– Dobrze. – Terapeuta zamknął tę część spotkania i poprosił pierwszą osobę.

Roman zaczął opowiadać o swoim nieprzyjemnym zdarzeniu. Latem był w górach, gdzie myślał, że poznał w końcu osobę swojego życia! Ale ona nie zwracała na niego uwagi. Zaprosił ją jednak raz do kawiarni, potem na spacer, ale jak sam stwierdził, żyli w innym świecie. Nie rozumieli się. On co prawda przytakiwał jej, robił dobrą minę do złej gry, ale po pierwsze, nie mógł jej przegadać, a po drugie – nawet jakby mu się to udało, to i tak tematy, na które ona łatwo przechodziła, były mu zupełnie obce. No bo co on mógł powiedzieć o jakimś filmie fantasy, albo o kolorach lakieru do paznokci. A sama miała je pomalowane na kolor czarny jak noc! I co on ma zrobić? Adres tej pani ma, posłał jej pozdrowienia, ale odzewu nie było!

Roman zamilkł i wydaje mi się, że łykał łzy. Dobłą chwilę nie odzywał się, więc Edek spojrział w moją stronę.

Na początku słowa ugrzęzły mi w gardle, ale po dobrej chwili wydusiłem coś z siebie...

Nigdy nie wiadomo, czym może obdarować cię ktoś, kto zjawił się, by cię o coś prosić.

W swoim uporządkowanym życiu wieczory miałem dla siebie. Wylączałem wtedy telefony, a nawet dzwonek przy drzwiach.

– O tej porze – tłumaczyłem sobie i innym – porządni ludzie odpoczywają i nie składają wizyt.

Przyjaciół i znajomych miałem niewiele, więc nikt mi raczej nie zakłócał spokoju. Tego zimowego wieczoru właśnie odprawiałem wieczorną medytację, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Nie chciało mi się schodzić, ale ktoś nadal dzwonił. Zszedłem więc i zerknąłem przez wizjer. No tak, to ten niby bezdomny, który czasem pukał i któremu dawałem resztki ze śniadania lub grosiki z portfela, bardziej by się go pozbyć niż ze współczucia. A teraz tamten dawał na migi znać, że chce coś zjeść i że jest mu zimno. Wróciłem do mieszkania, wrzuciłem jakieś wiktuały do woreczka, włożyłem czapkę i kurtkę i otworzyłem drzwi, wystawiając przez nie jedzenie. Na zewnątrz było naprawdę mroźnie i wietrznie. Od stojącego

pod drzwiami poczułem alkohol, więc nie otworzyłem drzwi szerzej, a gdy tamten zeszytywniałą dłonią wziął woreczek, szybko zamknąłem drzwi. Tamten obrócił się i odszedł bez słowa czy gestu, lekko utykając i podpierając się jakąś laską, której przedtem raczej nie używał.



Wróciłem do ciepłego pokoju, ale z medytacji już nic mi nie wyszło. Usprawiedliwiałem się sam przed sobą, czemu nie wpuściłem tamtego. Wiadomo, był on brudny, chyba trochę nietrzeźwy i kto wie, czy nie chciałby czegoś więcej. Zresztą, coraz więcej jest tych domagających się wsparcia, a czy on może liczyć na kogoś prócz siebie? Raczej nie.

Z medytacji zostało mi zdanie, że przypadek jest pseudonimem Boga.

– Ale to był czysty przypadek! – powiedziałem do siebie głośno przed snem.

Po trzech dniach zadzwonił do moich drzwi mieszkający niedaleko szef ekipy z zakładu pogrzebowego, mieszczącego się tuż obok.

– Pogrzebaliśmy dziś tego bezdomnego, który do pana też przychodził po prośbie. Może pan znał go lepiej? – powiedział.

– Nie znałem go – odparłem. – A co mu się stało? Nie był jeszcze stary.

– Kilka dni temu zamarzł – powiedział tamten. Została po nim laska, może pan ją weźmie, nawet jeśli go pan nie znał? Tyle po nim zostało.

Wręczył mi tę laskę i odszedł, otulając twarz kołnierzem, bo było bardzo mroźnie. A ja stałem w otwartych drzwiach jak porażony. Pomyślałem teraz o pomieszczeniu na dole domu, z szafą, kranem i starym łóżkiem. Tam było ciepło i pusto, a tamten zamarzł na mrozie.

Wszedłem powoli do środka i zacząłem oglądać czarną laskę po nieboszczyku. Była zapuszczona, ale kiedy lekko ją oczyściłem, okazało się, że jest naprawdę piękna, inkrustowana i bardzo wartościowa. Warta więcej niż koszt kilku nocy w niezłym hotelu – pomyślałem. Ale to, że on wtedy zadzwonił do mnie tutaj, to był przypadek, czysty przypadek! Tylko jakiś szept z głębi sumienia odpowiedział pytaniem: A ta laska też?

Przywykliśmy (może nazbyt?), że dzieje się wokół wiele zwyczajnych przypadków. Czy aż tak zwyczajnych (czystych)? Któryś z nich jednak może być starannie zaplanowany.

Zamilkłem na parę chwil...

– Sprawdziłem, że laska – tu spojrzałem na nią dokładnie – może sporo kosztować! Czy powinienem ją przekazać do jakiegoś zakładu pogrzebowego? A może do domu starców? Taki jeden jest niedaleko domu, w którym mieszkam. Może to byłoby jakieś zadośćuczynienie? Zobaczcie, jest piękna, prawda?

Puściłem laskę obiegiem i za chwilę powiedziałem, że sam nie będę jej używał, nawet jeżeli „wyciągnę” swoje

nogi. Zawsze będzie mi przypominać, że miłość jest łaskawa, a ta moja miłość była bardzo, bardzo uboga!

Miłość nie zazdrości

Czasem Miłość zachoruje na zazdrość. Dzieje się tak w przypadku, gdy kocha się kogoś za to tylko, że on do nas należy. Biada nam wtedy, gdy będziemy się chcieli uwolnić od chorej miłości, przestać być własnością – przedmiotem zazdrości... ups! Wtedy taka „miłość” nam dokuczy, będzie się mścić i niszczyć... aż nas zje, bo ona tylko konsumuje i z nikim się nie dzieli.

Remanent w sercu

Chyba nie zapomnę tego dnia, chociaż minęło już trochę lat...

Wybrałam się z dwiema koleżankami z biura nad morze. Był to pierwszy tydzień września, miałyśmy kilka dni spóźnionego urlopu. Jako pracownice z niedługim stażem, musiałyśmy, zwyczajem biurowym, poczekać na tych, którzy wygrzewali się na słońcu w lipcu i w sierpniu, tak jak Pan Bóg przykazał. Ale cóż! Lepszy rydz niż nic!

A dzień był piękny, upalny, ale bez tej gorączki, jaka bywała wcześniej. Dziewczyny były ciekawe, co „tu dają” w sklepach, bo u nas, w Warszawie, było bardzo, bardzo cienko! Ja nie miałam prawie kasy, bo gdy oddałam mamie dług, to zostało mi ledwo na bilety i parę groszy kieszonkowego. Resztę (bardzo małą) zostawiłam

profilaktycznie w domu, bo do pensji październikowej było jeszcze ho, ho... Wolałam nie kusić losu!

Poszłam więc na plażę, bo tam po południu nie było już zbyt dużo pokus. Usiadłam w wolnym o tej porze koszu i chciałam jeszcze połapać trochę słońca, ale w niewielkiej odległości ode mnie siedziała na kocu jakaś para. Dziewczyna, taka sobie, można powiedzieć i chłopak, zakochany chyba w niej na zabój! Nie przejmował się sąsiadami, wyglądało na to, że oprócz niej, nikt wokół nie istnieje, nic nie jest ważne, tylko ta dziewczyna! Całował ją, tulił, obejmował, szeptał coś do ucha, nie wiem oczywiście co, ale wyrwało mu się raz trochę głośniej jej imię – Tosia!

– Tosiu! Tosieńko! – I tak prawie bez końca.

Najpierw chciałam przesiąść się w inne miejsce, ale moją uwagę przykuły jego ręce, a właściwie dłonie. Bardzo ładne, zwinne palce, które kojarzyły mi się z ręką pianisty. Przyglądałam się tej parze najpierw z przyjemnością, a potem – z zazdrością! Tak bym chciała mieć takiego chłopaka, który nic nie widzi wokoło, tylko

mnie...



A może odbiję go tej panience? Jestem też wysoka, podobno ładna, włosy mam bujne i dobrze przycięte. Włożę jutro kostium kąpielowy i będę się starała zwrócić na siebie uwagę. A może jeszcze dzisiaj rozpocznę podrywanie?

Ale z tego nic nie wyszło, bo oboje, dokładnie o wpół do szóstej wstali z koca, złapali swoje manatki, Karol (też podsłuchałam) wytrzepał koc i prawie biegiem rzucili się ku wyjściu. Ja też zaczęłam się zbierać, postanawiając sobie solennie, że jutro przyjdę tu i jeżeli będą, to rozpocznę akcję!

Kolacja w naszym ośrodku była o osiemnastej. Dziewczyny wcale nie pytały, co u mnie, bo udało im się nabyć w kiosku „Ruchu” krem Nivea, a w sklepie, który robił tu za Warsa i Sawę – nawet ciekawe tenisówki w kropki. Co prawda były to kropki popielate, ale któż by się w tej „bryndzy” przejmował takimi drobiazgami? Spojrzałam automatycznie pod stoliki w jadalni i okazało się, że nie one jedne były na wakacyjnych zakupach. Jutro wybierały się PKS-em do Międzyzdrojów, bo to kurort w porównaniu z naszą pipidówką i snuły plany, co tam „rzuca”. Ale do obiadu smażyłyśmy się na plaży.

– Lena, damy ci trochę kremu Nivea, bo coś pobladłaś, Ok?

– Co, co mówicie? – odezwałam się nieprzytomnie.

Patrzyłam bowiem w jeden, jedyny punkt na sali. A tam, spóźnieni, siadali do kolacji „moi zakochani”! Nie było to daleko, ale mnie zmroziło! To oni! Co tu robią w naszym ośrodku? Jedzą kolację? I to jak szybko. Gdzie się podziewali przez tę godzinę? Co i gdzie robili? – kotłowało mi się w głowie!

– Lena! Coś ty taka nieprzytomna? Spałaś na tej plaży po południu? Taka jesteś wyczerpana pracą w naszym biurze?

– Nie, co ty opowiadasz! – starałam się opanować, ale widocznie marnie mi to wychodziło.

Na szczęście do jadalni wszedł pan Arek, który w czasie wakacji pełnił rolę pracownika kulturalno-oświatowego i zapowiedział, że będzie zbierał zapisy i kasę na wieczorek zapoznawczy, który jest tu planowany pojutrze.

– Dziewczyny, my chyba nie pójdziemy, co? Na tym turnusie to już tylko same babcie z wnukami. A ty Lena, widzę, że masz ochotę się zabawić?

– A czemu nie? To taki tradycyjny wieczorek, może będzie ktoś ciekawy – dodałam, bo Tosia i Karol podeszli do pana Arka i o coś wypytywali. Pokazał im kontakty, okno, zamknął żaluzje? Czy oni sprawdzają jak tu będzie? Wszystko jedno! Jak oni idą, to ja też!

– Chciałabym poznać kogoś ciekawego! – powiedziałam do dziewczyn, a właściwie to w powietrze!

– A wy nie?

Przez to gadanie straciłam z oczu Tosię i Karola. Trudno, zazdrość zżerała mnie coraz mocniej i mocniej! Muszę mieć tego Karola!

Po kolacji dziewczyny poszły na plażę oglądać zachód słońca, ale ja zostałam w pokoju. Chciałam ogarnąć myślami to, co działo się we mnie. Poszukać jakiegoś klucza do serca Karola. Zazdrość, pożądanie rosło we mnie w trybie przyspieszonym! Nie mogłam się pozbierać! Zaczęłam nienawidzić Tosię, myśleć, jak ją usunąć z drogi Karola. Coraz bardziej głupie myśli przychodziły mi do głowy. Nie jest dobrze, jak jest! Nie jest dobrze! Nie jestem zadowolona ze swojego życia! Ze swojej samotności! Nie! Nie...

I nagle usłyszałam...

Leno, przypowieść, chyba hinduska głosi, że pewien bóg miał kiedyś tak już serdecznie dosyć ciągłych próśb jednego ze swoich czcicieli, że ukazał się mu i powiedział:

– Spełnię trzy twoje prośby, ale na tym koniec.

Człowiek poprosił o śmierć własnej żony. I bóg spełnił życzenie. Gdy jednak na pogrzebie krewni i znajomi zaczęli wychwalać zalety zmarłej, świeży wdowiec pojął swój błąd. Poprosił więc boga, żeby przywrócił zmarłą do

życia. I tak się stało. Teraz pozostało mu już tylko jedno życzenie. Tym razem zostawił sobie czas do namysłu i radził się przyjaciół. Jedni doradzali mu, aby prosił o nieśmiertelność. Ale co z nieśmiertelności – mówili inni – jeśli nie jest się zdrowym. I co po zdrowiu, jeśli brak pieniędzy. I co po pieniądzach, jeśli się nie ma przyjaciół. Mijały lata, a on nie mógł się na nic zdecydować. W końcu powiedział do boga:

– Doradź mi, proszę, o co powinienem prosić.

A on uśmiechnął się i odrzekł:

– Proś o to, abys był zadowolony z tego, co przynosi życie.

Historia ta dowodzi słuszności stwierdzenia: kto nie jest zadowolony z tego, co ma, ten nie będzie również zadowolony z tego, co chciałby mieć. Zaledwie spełniło się mu pierwsze życzenie, już tego pożałował. Nie był jednak zadowolony z żywej żony, ale i nie ucieszyła go jej śmierć. Kto zatem nie posiadał umiejętności radowania się tym, co ma, komu obce jest zadowolenie z jakichkolwiek życiowych okoliczności, temu żadne spełnienie życzeń nie sprawi prawdziwej radości, temu żadna zmiana sytuacji nie przyniesie trwałego zadowolenia. Takie są reguły gry.

Bohater jest w rozterce. Nie wie, o co ma prosić. Nie potrafi wybrać. Wszystko jest dla niego jednakowo ważne, pożądane i warte posiadania. I nie jest on wyjątkiem.

Ludzkie serce często przypomina zapuszczony ogród, w którym pragnienia rzeczy ważnych i cennych rosną pospołu z pożądaniem rzeczy tandetnych i błahych. Dlatego od czasu do czasu potrzebny jest i w sercu remanent: ocena wartości pragnień, ich uporządkowanie wedle rangi ważności, postawienie na czele tego, które naprawdę warto przedkładać nad pozostałe. W wątpliwościach przy ocenie tego, co lepsze a co gorsze, można skorzystać z takich na przykład, przyjacielskich wskazówek: Lepiej mieć mało – z bojaźnią Pańską, niż z niepokojem – wielkie bogactwo.

– Co, co? Co się dzieje? Dlaczego mnie szarpiecie? Ja muszę mieć tego Karola. Ja...

– Jakiego Karola? Tego, co siedział z Tosią tam, pod oknem? To jest magazynier w naszej filii w Muszewie. Nie znacie go? Owszem, fajny gość i do tego super gra na keyboardzie Słyszałam kiedyś na...

– A ja słyszałam jak grał w kościele na ślubie mojego sąsiada. Też świetnie wyszło! On ma wykształcenie

muzyczne, chyba średnie, ale studiuje zaocznie w Poznaniu u jakiegoś znanego profesora. A ten magazynier, to tak, żeby z czegoś opłacać studia!

– Na pewno o nim mówicie? O nim? – głos mi się załamał. – A ja...

– Co ty? Chciałaś go poderwać dla siebie? On ma dziewczynę, to ta Tosia z działu kadr.

– Tak strasznie mi się spodobał i... i pomyślałam, że dam radę. Od paru godzin zazdroszczę tej Tosi! Widziałam ich na plaży, wyglądali na zakochanych. Ale na chwilę straciłam ich z oczu, a dopiero teraz, w jadalni...

– To na pewno poszli na osiemnastą do kościoła, bo Karol grywa tam, jak proboszcz mówił, żeby nie wyjść z wprawy. Na wieczorku też pewnie zagra, coś tam widziałam uzgadniał z panem Arkiem.

– Dziewczyny! Miałam taki dziwny sen, że trzeba być zadowolonym z tego, co się ma, bo jak się nie jest, to i z tego, co się otrzyma, też nie będzie się zadowolonym..., więc i ja...

– Lena! Idź lepiej spać! Bo gadasz od rzeczy! Gasimy zaraz światło! Dobranoc!

Miłość nie szuka poklasku

Miłość nie chce widowni i braw, nie jest aktorem – jest prawdziwa, nie grywa w sztukach.

Reflektory Ją rażą, jest bardzo delikatna.

Masek unika – uwielbia światło i patrzeć głęboko w oczy drugiej Miłości...

Nie lubi huku opadającej kurtyny, bo to by oznaczało... koniec spektaklu, a Ona chce być wieczna...

Miłość to nie walentynkowe serduszka, sztucznie barwione róże, pocałunki i pieszczoty na ekranie, spektakularne akcje... iluzja!

Miłość ceni sobie intymność i cichość.

Nie tłumy, nie mikrofony, reporterzy i kamery, nie!

Ciiiiiii... Kocham Cię.

Duet

– Wiesz, Kaziu, dostałam w zeszłym tygodniu ciekawego maila. Pisała moja koleżanka, dyrektor domu opieki, który w lipcu spalił się po uderzeniu pioruna. Posłuchaj...

Na szczęście nikt z pensjonariuszy nie ucierpiał, bo ochotnicza straż pożarna stanęła na wysokości zadania i błyskawicznie zareagowała na telefon o niebezpieczeństwie. Strażacy wynosili leżących własnymi siłami, a chodzących sprowadzali bezpiecznie z

pierwszego piętra! Do rana wszyscy przytulili się w pobliskiej szkole, a następnego dnia zostali rozwieszani do kilku innych domów. Niestety nic nie zdołano uratować, bo był to stary, zabytkowy budynek i palił się jak pudelko zapalek.

Po pierwszym szoku, radość – żyjemy! Zaczęły się jednak płacze, jęki, no bo – ja chcę dalej mieszkać z Celinką, a ja z Adamem, ja muszę mieć przecież oddzielny pokój, a ja – nie chcę dłużej dzielić pokoju z dwoma leżącymi panami... Nie wszystkie postulaty można było spełnić od ręki. I niestety nie obyło się bez łez i szlochów.

Największy problem był jednak z Eleni. Była to Murzynka, która mieszkała u nas od niedawna. Bardzo smutna, zamknięta w sobie. Przeszła ciężki udar, po którym wciąż miała niewładną lewą rękę. Nie miała tu żadnej rodziny, chociaż nie była zbyt wiekowa. Po polsku mówiła dobrze, ale nieczęsto się odzywała. Miała za sobą dosyć burzliwą karierę pianistki, oklaski, bankiety, wciąż nowe propozycje... i udar wszystko zamknął. Intensywnie starałam się, żeby Eleni trafiła w dobre ręce.

Przez miesiąc była u nas w mieszkaniu, ale w końcu znalazłam jej miejsce w dobrym, ciepłym ośrodku. Gdy

odwiozłam ją tam, skojarzenie wszystkich było prawie jedno: „heban”, bo tak była czarna.

I tak już zostało, choć na imię miała przecież inaczej. Kiedy weszła do świetlicy, od razu zwróciła uwagę na stojący w kącie fortepian, podeszła do niego, podniosła pokrywę klawiatury i głośno ją opuściła, wychodząc zaraz ze łzami w oczach. Kiedy opowiedziałam o udarze pracownicy ośrodka, ta po kilku godzinach wprowadziła do świetlicy siwowłosą, zgarbioną staruszkę o twarzy koloru kości słoniowej. Ta miała także sparaliżowaną rękę, tylko prawą. I była kiedyś nauczycielką muzyki.



– *A może byście spróbowwały zagrać coś razem?* – zaproponowała pracownica.

Spojrzały trochę niechętnie na siebie. Obie nie grały już dawno i tak bardzo się od siebie różniły. Gdy usiadły do fortepianu, okazało się, jak jedna żyła swoją, a druga swoją muzyką, rytmem, stylem gry, repertuarem. Ale znany motyw z „Summertime” jakoś im wyszedł, co wywołało oklaski obecnych. Pracownica, która to opowiadała, mówiła, że trudno było jej znieść klótnie obu pań, ale lubiła patrzeć na klawiaturę (białe i czarne klawisze) i dwie zdrowe dłonie: jedną czarną o długich palcach, grającą główny motyw, i drugą bardzo jasną, dość pulchną – akompaniującą. Spory co do interpretacji powoli cichły, im bardziej zaczęły w siebie się wczuwać i nadawać swoisty koloryt znanym utworom. Wtedy Eleni kładła swoje ramię na ramię Renaty, a ta swoją niewładną dłoń kładła na kolanie Eleni. Zaczęły grać i jazz, i klasykę – oczywiście, popularne tematy – nie tylko w ośrodku, ale zainteresowała się nimi telewizja i inne placówki dla seniorów, sierocińce, szkoły. Gdy po występie poproszono je o krótki wywiad, okazało się, że obie są wdowami i obie niedawno zostały prababciami. A najdziwniejsze dla nich

obu było to, że czarnoskóra nie przepadała przedtem za białymi i odwrotnie – Renata odczuwała niechęć do czarnych. Po jakimś szczególnie udanym koncercie Eleni powiedziała:

– Kiedyś odebrano mi muzykę, ale teraz Bóg obdarował mnie Renatą. Dziwne, ale dziękuję Bogu za swoje kalectwo, bo tylko dzięki niemu mogłam odkryć coś znacznie głębszego w sobie, doznać radości z pracy i prawdziwych przyjaciół oraz poznać Boga – dodała.

Nie wiem, czy ci, którym podoba się cytowanie tego zdania o tym, jakoby każdy z nas był aniołem o jednym skrzydle i że wznieść w górę możemy się tylko razem – chcieli tego spróbować. To ładnie brzmi, ale wcale nie jest proste. Może dlatego tak niewielu z nas stać na wzloty?

– No i co, Kaziu? Przejmujące, prawda? Wspaniały duet. Panie dzielą się pracą i sukcesami! I oklaskami, i radością z tego, że grają. A że jedną ręką? No cóż, czasem tak bywa! Ale, jeżeli przynosi to satysfakcję, to – cieszymy się wszyscy! Bo przecież, jak się kocha muzykę, to nie gra się dla oklasków. No, może nie tylko...

Miłość nie unosi się pychą

Nie unosź, proszę, swego noska pod chmury.

Nie bądź zadufkiem, pyszałkiem, wszelkiego rodzaju zarozumialcem – nie unosź się pychą.

... nie rób z siebie karła, bo jesteś Człowiekiem.

Pochyl się nade mną. Potrzebuję, by mnie ktoś wysłuchał.

Przypomnę Ci, kto pierwszy uniósł się pychą, krzycząc na cały Kosmos: „Nie będę służył”, „Nie będę słuchać”, „Sam sobie będę panem!”, „Wszystko mi wolno!”

To korzenie zła, nieszczęść, pogardy, większych i mniejszych piekieł na ziemi.

Słonecznik i kwiatuszek

W marcu złamałam nogę na jakiejś zamarznętej jeszcze kałuży. Paskudnie, z przemieszczeniem. Chirurg nastawiał mi kości operacyjnie. Ale po dwóch dniach wypisano mnie do domu i... „róbta, co chceta”. Noga w gipsie do pół uda, obolała, sina, chodzenie o kulach to dla mnie masakra. Ale cóż...

Mieszkam sama, rodzina daleko, bo do pracy wyemigrowałam aż do Warszawy. Z głodu nie umrę, bo przemiła sąsiadka obiecała zaglądać i kupić mi, co potrzeba. Koleżanki w biurze były zatroskane, ale im dalej od wypadku, tym rzadziej zaglądają, nawet dzwonić im się

już chyba nie chce. No bo noga się zrośnie i Halszka wróci do roboty. One mają swoje domy, mężów, dzieci, chorą teściową, przygłuchego dziadka...

To normalne, pocieszałam się, chociaż brak bratniej duszy bardzo mi doskwierał. Raz czy drugi przez te tygodnie zaszła pielęgniarka z przychodni rodzinnej i tyle.

Słońce świeciło na niebie coraz odważniej, pokazywały się pierwsze zielone listki, zbliżała się Wielkanoc, a ja, jak taki więzień – w pokoju z balkonem wychodzącym na osiedlowe podwórko. Dzieciaki wyległy na nie któregoś późnomarcowego popołudnia. To był piątek, do poniedziałku – daleko, lekcji może mało zadali, to trzeba przypomnieć sobie, do czego służy skakanka, pograć w klasy, pochwalić się swoimi smartfonami, założyć wiosenne podkoszulki i spodnie.

Przysiadłam na fotelu balkonowym, bo bolały mnie już niemal równo obie nogi. Trochę porządku na Wielkanoc trzeba przecież zrobić, bo jechać do domu tyle kilometrów, to póki co – nierealne. Jeździłam więc na krześle komputerowym z kąta w kąt, wycierałam kurze i bibeloty, których nazbierało się – jak to mówiono – trochę

za dużo! Ale nie każdą pracę można wykonywać na siedząco.

Podwórkowy jazgot jakoś mi nie przeszkadzał. Wystawiłam twarz do słońca i grzałam się w jego ciepłe. Nagle usłyszałam krzyk. Zobaczyłam, że kilkoro dzieci szarpie i popycha jedną z dziewczynek. Zerwały jej opaskę z włosów, jakiś chłopak trzymał w ręku chyba pasek od sukienki, inny mocno ścisnął dziewczynkę za rękę i ją unieruchomił, a trzeci – tłukł ją skakanką po nogach.

– Mamo, mamo! – słychać było rozpaczliwy głos, który zaraz został zagłuszony przez chłopaka od paska:

– A wołaj, wołaj jeszcze głośniej! Widzieliśmy, że twoja mama wychodziła i w domu nikogo nie ma, prawda?

– Co wy z nią robicie? – krzyknęłam w środek tego zgiełku. – Zostawcie ją w tej chwili, bo zadzwonię na policję! Słyszycie?! Na policję!

Chłopaki widocznie się przestraszyły, bo chwila-moment i nie było ich w zasięgu wzroku. Zostały trzy dziewczynki, też trochę „pogniecione”, bo scena było dosyć brutalna. A obita delikwentka zbierała swoje manatki, zanosząc się płaczem.



– Dziewczyny, wstydźcie się! Jak można tak traktować koleżankę! Okropność! Zróbcie tu zaraz porządek, a ty bidulko, chodź do mnie na drugie piętro. Coś poradzimy na twoje bóle! Dobrze? Mama wyszła gdzieś, tak?

– Tak! – odpowiedziała za chwilę, gdy zaczęłam oglądać jej potłuczone nogi.

– Co to za zwyrodnialcy! Żeby tłuc sznurem po nogach, to trzeba mieć niedobrze w głowie. A jak ci na imię?

– Jestem Ewa. Mama mówi do mnie – Ewuniu!

– A ile masz lat?

– Siedem.

– To już idziesz do szkoły! Super! Ale nie dawaj się takim młokosom. To jakieś typy spod ciemnej gwiazdy! Dlaczego cię tak bili? Co im zrobiłaś?

– Nic! Tylko żeby Dorota przestała śmiać się z mojej sukienki!

– Co takiego? A co brakuje tej sukience?

– Mama mówi, że nic! Że mi w niej ładnie, ale oni się wyśmiewają, że to jakaś podróbka, że buty też mam takie zwyczajne. A oni wszyscy uważają się za prawdziwych elegantów, bo mają firmowe adidas, džinsy prosto z Arizony, a ten Szymon, który mnie trzymał, chwali się superskarpetami od samego Diora!

– Ała! Boli, proszę pani! Boli! A oni są tacy zapatrzeni w te swoje ciuchy, w jakieś metki, które gwarantują świeżość i elegancję! A ja jestem cała z ciuch-budy za rogiem i...

– I po tym cię oceniają! A to dopiero!

– Pani, która przyprowadza do zerówki swojego wnuczka, który nic nie słyszy, jest bardzo miła, tak jak pani i często zwracała im uwagę, że tak się nie postępuje!

– Ale widać, że bez skutku! Teraz umyj sobie twarz i ręce w łazience, zrobię coś „na ząb” i pomyślimy, co dalej.

Idąc do kuchni, zerknęłam na podwórko. Chłopaków nie było, a trzy dziewczyny siedziały na murku obok garaży, jakoś dziwnie markotne. Zerknęły na mój balkon, to na drzwi wejściowe, ale nie wyglądało na to, że chcą jeszcze Ewie dołożyć.

– Co robić? – zastanawiałam się głośno, szykując parę kanapek.

Co robić? Ewę ochronię tylko wtedy, gdy jej „towarzystwo” zrozumie, czym jest pycha! I wtedy mój wzrok padł na niewielki obrazek wiszący nad stolikiem – piękny, dumny, kwitnący słonecznik, a na trawie pod nim, niepozorny mały czerwony kwiatusek.

Pod tym obrazkiem, na dole, był napis:

Słonecznik wzdragał się uznać mały, bezimienny kwiatek za swego krewniaka. Wtedy wzeszło słońce, uśmiechnęło się przyjaźnie do wzgardzonego kwiatuszka i zapytało:

– Jak się masz, mój drogi?

– Tak, to droga do serc tych małych!

Zdjęłam obrazek i postawiłam na balkonie. Wyszłam i zawołałam:

– Chodźcie do mnie, jesteście mi potrzebne, nie bójcie się!

Dziewczyny, trochę spłoszone, ruszyły jednak w stronę drzwi.

– Chodźcie na balkon, porozmawiamy, coś przegryziemy, dobrze? Nie bójcie się – powtórzyłam, bo Ewa właśnie wyszła z łazienki.

– Słuchajcie, moje drogie! Spójrzcie na ten obrazek! A któraś z was niech mi pomoże w kuchni!

Rzuciły się wszystkie, nie protestowałam, usiadłyśmy w końcu na balkonie i zapytałam, co myślą o tym obrazku! Nie kwapiły się do długich odpowiedzi.

– Ładny.

– Słonecznik duży, kwitnie.

– Co to za mały kwiatek?

– Ok! To muszę wam trochę rozjaśnić w głowach. Ten słonecznik – to wy! A mały kwiatusek – to Ewa, jasne? Słonecznikowi można zarzucić wywyższanie się nad innych, patrzenie na innych z góry, okazywanie innym lekceważenia i pogardy. A wszystko to świadczy o jednym, o absolutnym niezrozumieniu sytuacji.

I nie są to jedyne uchybienia w braterskiej miłości. Bywa bowiem, że braci upatruje się w ograniczonej tylko liczbie osób. Bywa, że braterstwo jest wzniosłym hasłem, którym się wprawdzie szermuje, ale nie urzeczywistnia w praktyce. Bywa wreszcie, że wymagania braterstwa spełnia się tylko do pewnego stopnia: jak długo nie wymaga to specjalnych wysiłków i ofiar. Aby miłość nie cierpiała na tego rodzaju braki oraz inne ograniczenia, musi się opierać na solidnym fundamencie. Takim fundamentem jest nasze teologiczne pokrewieństwo: ów niepowtarzalny fakt, że wszyscy mamy jednego Ojca, który nas stworzył i wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami w Jezusie Chrystusie! Sprawia również i przede wszystkim, że człowiek owemu pokrewieństwu nie zakreśla granic, nikomu uczuć nie odmawia, nikogo poza nawias miłości nie usuwa, lecz wyznaje i praktykuje zasadę: Nawet najnędniejszy człowiek, choćby najbardziej poniewierany i podupadły, jest też człowiekiem – to znaczy moim bratem. Rozumiecie? Kwiatek czy duży, czy mały, czy żółty, czy czerwony – jest pięknym kwiatem! A miłość i pycha – nie zgadzają się ze sobą, jasne?

Miłość nie dopuszcza się bezwstydu

Proszę nie kochaj tylko mojego ciała. Kochaj we mnie TAJEMNICĘ, czyli coś, czego do końca poznać nie można, co jest wciąż przed ciekawskim wzrokiem ukryte. Coś, co każe Tobie mnie szanować. Moją tajemnicę we mnie broni moja wstydlivość, tak wyśmiewana przez profanów.

Nie bądź, proszę, jednym z nich. Oni myślą, że jak już obnażą czyjeś ciało, to posiadą tajemnicę. To bardzo biedni ludzie.

Kochaj we mnie tę przestrzeń, która nazywa się GODNOŚCIĄ, tak teraz już niemodną i deptaną... ale nie dbam o to. Nie muszę „iść” zgodnie z modą. Chcę być oryginalna.

Kochaj mnie całą...

– Bożenko! Taki był piękny dzień, może pójdziemy jeszcze na spacer po kolacji, co? Urlop ma się przecież raz do roku. Trzeba go wykorzystać na maksa.

– Kajtek, zapomniałeś, że dziś jest środa i o dwudziestej pierwszej rozpocznie się wykład, specjalnie dla nas?

– Jak to dla nas? Co ty wymyśliłaś?

– Tak, dla nas. Przyjedzie doktor seksuolog z Lublina. Bo my jesteśmy małżeństwem z problemami... Już nie pamiętasz, dlaczego tu przyjechaliśmy?

– Oj, Bożenko! Cały tydzień jest cudowne słońce, woda w jeziorze ciepłutka, jedzonko Ok. No, może trochę skąpe, ale po drodze kupię ci jagodziankę, a do dwudziestej pierwszej na pewno wrócimy do ośrodka – zaczął pojednawczo Kajtek. – No chodź już do jadalni, bo nam wyjedzą te pyszne bułeczki pieczone na miejscu i zostanie tylko chleb, też zresztą niezły.

– Kajtek! Nie odwracaj kota ogonem! Tak, jak mówisz, tydzień był piękny, ale wiesz, ja nie widzę żadnej poprawy w naszych relacjach. Ma być tak, jak ty zaplanowałeś i... A może zapytasz mnie chociaż, czy ja mam ochotę z tobą spacerować? Przecież cały dzień byliśmy razem i... No, właściwie już cały tydzień. A ty wciąż widzisz we mnie tylko ciało! – wybuchnęłam i zaczęłam nieprzytomnie szlochać! – Tylko ciało, Kajtek! Ciało, które daje ci satysfakcję, odprężenie, relaks... i nie wiem, co jeszcze?! Tak jest od dawna, boli mnie to bardzo i mieliśmy nad tym popracować. Ale ty widocznie nie widzisz w tym problemu!

Kajtek wyraźnie spuścił z tonu! Zrobił się czerwony jak burak, nie wiedział, co powiedzieć, jak się zachować. No cóż, niech się trochę pomartwi, pomyślałam mściwie.

Widząc jego reakcję, wstałam jakby nic się nie stało i „zarządziłam”:

– To chodźmy na te twoje bułeczki. Brzuch ci urośnie jeszcze większy, zobaczysz.

Jedliśmy kolację prawie w milczeniu, bo nie było tym razem przy stoliku pani z córeczką. Przypomniałam sobie, rano mówiła, że wybiera się na cały dzień do Sąsiadowa, bo tam pracuje jej starsza córka. Kajtek chyba stracił apetyt, jadł mało. Zapakowałam więc bułeczki do torby, jak zgłodnieje, zje. Wykład na pewno trochę potrwa...

– I jak będzie, Bożenko? Może pójdziemy kawałek plażą, przysiadzimy w spokojnym miejscu i porozmawiamy? – zapytał nagle Kajtek, trochę niepewnym głosem. – Będę pilnował, żebyśmy zdążyli z powrotem na wykład. Teraz jest wpół do siódmej, więc mamy sporo czasu, prawda?

– Dobrze, zmienię tylko buty i wezmę polar, bo chyba się ochładza pod wieczór. To już przecież koniec sierpnia.

Super, ja też wezmę coś na siebie, bo mi zimno – mruknął Kajtek, wciąż jakiś zmieszany i przestraszony.

Rozmawialiśmy długo i szczerze. O naszym życiu codziennym, o oczekiwaniach i żalach, o radościach i

rozczarowaniach... Minutę przed dwudziestą pierwszą weszliśmy na wykład. Trudno było na początku zebrać myśli. Ale powoli serce się uspokajało, głowa zaczęła funkcjonować jak trzeba, zwłaszcza dlatego, że Kajtek trzymał mnie mocno za rękę. A ja jego!



Prelegent rozgadał się na dobre. Podawał liczne przykłady ze swojej praktyki, niektóre mrozące krew w żyłach! Trudno było je nawet zapamiętać, ale my byliśmy szczęśliwi po tej ważnej rozmowie, po wygarnięciu sobie tego, co leżało na sercu od ładnych paru lat...

Gdy okazało się, że wykład niebawem się skończy i będzie czas na rozmowy i pytania, usłyszeliśmy ciekawą

historię z Chin. Trochę bajkę, trochę legendę, ale zapadła nam obojgu głęboko w serce. Doktor Jarek zrobił najpierw małe wprowadzenie, a potem...

– Niepokoi mnie dziwnie powszechne (trochę magiczne) przekonanie, że wszystko w nas zależy od mnóstwa najrozmaitszych wpływów – tak jakby już na nic wpływu nie miał człowiek. Poza tym coraz częściej przypisujemy miejscom czy ludziom toksyczne działanie, więc chronimy się przed nimi, tak jakbyśmy sami ani trochę toksyczni nie byli. Posłuchajcie...

To było w Chinach w górzystej i skalistej krainie. Od wielu dni wędrował po niej jeden z najlepszych mistrzów feng shui, szukając na polecenie cesarza doskonałego pod wieloma względami miejsca na groby rodziny cesarskiej. Tego dnia upał był nie do zniesienia, a mistrzowi skończyła się woda, więc z trudem schodził ku dolinie z polami ryżowymi.

Ujrzał tam piękną kobietę pracującą z trojgiem dzieci. Zbliżył się do nich i poprosił o wodę. Kobieta wydobyła z zarośli w cieniu drzewa dzban i nalala wody do miseczki. Mistrz chleptał już wodę oczami i gdy sięgnął po miseczkę, kobieta sypnęła mu w nią trochę plew. Z trudem

powstrzymał wściekłość, bo pragnienie było większe. Zdmuchiwał plewy i pił skąpymi lyczkami. Nagle poczuł, że mimo tych plew najchętniej wziąłby tę kobietę ze sobą, pożądanie wzbudziło się z nim zupełnie niespodziewanie. Ale tam siedziały dzieci, było południe, a gwałcić jej nie miał jednak sumienia...

Kończąc pić, myślał, jak odplacić jej za to. Spytał więc, gdzie mieszkają. Ona wskazała biedną chatę nieopodal i powiedziała, że została wdową, a tegorocznego ryżu może im nie starczyć nawet na zimę. Mistrz powiedział, kim jest i stwierdził, że feng shui jej chaty wręcz przyciąga nieszczęścia. Dlatego poradził jej, by przeniosła się do opuszczonego domu z polem po drugiej stronie doliny, gdzie feng shui jest znacznie korzystniejsze. Wiedział jednak doskonale, że jest przeciwnie. Groby przy tym domu dały mu znać, że nikt tam nie przeżyje nawet kilku lat. To miał być jego odwet za plewy w wodzie. Kobieta ukloniła się mu nisko razem z dziećmi i podziękowała za cenną radę. Mistrz odszedł, nie zamierzając tam wracać. Jednak po kilku latach musiał nawiedzić tę dolinę i schodząc ku niej, ujrzał zdumiony ów wskazany przez niego dom, otoczony drzewami i ogrodem, z zadbanym

połem i spichlerzem. Kobieta widząc go, zaprosiła do rozbudowanego domu, z pięknymi meblami, mówiąc, że znalazła męża, a synowie już dorośli, kształcą się i razem żyją w dostatku, a wszystko to dzięki bezcennej radzie mistrza. A ten był tak zdumiony, że przyznał się, iż wskazał jej to złe miejsce z zemsty za złośliwe sypnięcie plew do wody, o swoim pożądanym nie wspominając. Kobieta była nie mniej zdumiona intencją mistrza i powiedziała, że zrobiła to z troski o niego. Widziała bowiem, jak zachłannie patrzył na zimną wodę i wiedziała, że jeśli wypije ją łapczywie, skończy się to źle dla niego. A te plewy zmusiły go do picia powoli, z pożytkiem dla jego dalszej drogi. I wtedy mistrz zrozumiał to, czego nie było w żadnej księdze – że dobroć i troska kobiety sprawiły, iż Niebo odmieniło zupełnie to złe miejsce.

Bywa, że za dużo wiemy i jesteśmy zbyt pewni siebie w osądach oraz w receptach, zwłaszcza jeśli dotyczy to ludzi. Swoje sterowane nastrojami czy magicznymi stereotypami mniemania traktujemy jak pewniki, nie dopuszczając nawet myśli, że ktoś może nie być taki, jaki się zdaje, że magiczność myślenia nas oszukuje. Jednak Opatrzność widząca wszystko i wszystkich, jacy są w istocie, może

*sobie pozwolić nawet na przekorę, byśmy ujrzeli, że
dobrzy są mniej dobrzy, a źli trochę lepsi...*

Miłość nie szuka swego

Ciągle mówisz, że Ty kochasz...

Ty tęsknisz...

Ty się radujesz...

Ty... ty i ty... a ja?

A gdzie MY?

„Zakonnice” w Karpaczu

– Róża! Wróciłyśmy już z Karpacza. Jeszcze mam parę dni wolnego, ale muszę ci opowiedzieć co nieco, bo było jakoś dziwnie. Masz chwilkę? Co? Parę minut? Ok! To w takim razie mówię to, co najważniejsze. Byłam z Kingą... Co? No tak, miałam jechać z Danką, ale tak wyszło. Kinga ma dwanaście lat, myślałam, że tak będzie lepiej. Młoda, bez większych problemów, da się zbyć jakimiś duperelami z kiosku. Ale okazało się, że nie! Że moja młodsza córka jest już dorosła! Dorosła, mówię ci! Co mówisz? Czy stało się coś? No co ty opowiadasz? Nic z tych rzeczy! Jest dorosła „w środku”, rozumiesz? No to posłuchaj! Siedziałyśmy w jadalni z podobną „parą” – mama z dwunastoletnią córką, Ritą. Mieszkają na stałe w Gdańsku, a więc blisko nas, prawda? Co? Jakie to ma znaczenie? Otóż ma! I to duże, bo one się zaprzyjaźniły na

dobre i na złe! Tak na amen! I do tego ta Rita to super panienska!

– Co, taka ładna? – Róży udało się wtrącić.

– Ładna, owszem, wysoka, ubrana normalnie, tak jak teraz dziewczynki wyglądają, ale nie o to chodzi. A jej mama, Monika? No, mówię...

– No to mów, kobieto, bo mam już mało czasu! Muszę wyjść i...

– Róża, no to słuchaj! One obie, to znaczy – Monika i Rita – to takie „zakonnice”. No mówię ci, miłość i dobroć widać w nich gołym okiem. Jak to widać? No, jak mówię, że widać, to widać, jasne? Z oczu, z uśmiechu, ze słów, no, ze wszystkiego. No, na przykład – czy przyszyłoby ci do głowy, żeby zamienić się krzesłem ze starszą panią, której siedzisko „kulało” i bała się wygodnie na nim usiąść? A Monika dostrzegła to natychmiast i zaproponowała zamianę. Sama podkleiła pod nogę parę serwetek i było Ok! Co? Czym podkleiła? No „Kropelką”, którą wyjęła z torby. Starsza pani uśmiechnęła się tak promiennie, że aż słońce wyszło zza chmur. A Rita pomogła zejść po schodach do jadalni mamie z trójką dzieci, bo mąż tej pani utknął gdzieś ze smartfonem. Na

wycieczce w góry obie chyba miały podwójne oczy, bo kilka razy „interweniowały”. Rita dała butelkę wody mineralnej panu, który zapomniał ją zabrać z pokoju, nakleiła plaster na otartą piętę młodego chłopaka, Monika użyczyła pyralginę kobitce z migreną, która zostawiła swoje tabletki w samochodzie na parkingu przy ośrodku. Rita zrobiła parę zdjęć rodzinie z pięciorgiem dzieci, bo ich smartfon jest zakazany na urlopie, a szkoda takich widoków. Monika...

– Słuchaj, ja muszę kończyć, ale zadzwonię do ciebie za małą godzinkę, bo ucieknie mi kolejka u dentysty, dobrze?

– Tylko na pewno zadzwoń! – zdążyłam jeszcze zawołać.

Zadzwo nią! Rozmawialiśmy już na poziomie „wyższym”, bez zbędnych emocji, „ochów” i „achów”. Róża zapytała mnie, czy widziałam te osoby potrzebujące pomocy – wody, plastra, pyralginy...

– No, na początku nie widziałam, ale wtedy, gdy one już działały! Nie przyszłoby mi do głowy, żeby tak „od ręki” pomagać innym. Ja jestem na urlopie, na wycieczce, na spacerze, a nie pełnię funkcji ratownika, który wyciera

nos, lata z plastrem, dzieli się tabletkami pyralginy... Nie masz, zapomniałeś, to cierp! Na następny raz będziesz pamiętać! A moja Kinga? Zaraziła się tą manią pomagania bardzo szybko. Temu dała jabłko, z małą dziewczynką pobawiła się piłką, a jej mama w tym czasie uśpiła malucha, obie z Ritą odstąpiły wejściówki na koncert młodemu małżeństwu, które ciut za późno stanęło po nie w kolejce.

I wyobraź sobie, że i ja po paru dniach też zaczęłam widzieć więcej. I to nie tylko dziadka na wózku, który zebrał do kubeczka pod kościołem, ale i młodą kobietę w sklepie, która ze łzami w oczach tłumaczyła synkowi, że naprawdę nie ma już pieniędzy na lizaka... I cóż to za problem, żeby kupić tego lizaka obcemu chłopczkowi, który z wdzięcznością spojrział na mnie błękitnymi oczkami, tak, że nie zapomnę chyba tego wzroku tak prędko... Zapytałam też jego mamę czy nie chciałyby dorobić parę złotych, myjąc okna w naszym ośrodku, bo „przypadkiem” usłyszałam rano jak intendentka rozmawiała ze sprzątaczką na ten temat... I jeszcze coś – sprawia mi to radość! Miłość daje radość, rozumiesz?

Kiedyś, jak zrobiłabym coś dla kogoś, to oczekiwałabym rewanżu, podziękowania chociaż... A teraz...

– No, jesteś super – usłyszałam od Róży! – Jesteś super! W naszym mieście też jest na pewno dużo biedy różnego rodzaju. Możesz się wykazać! Wiesz, przemyślę sprawę i też będę próbować! A tak przy okazji, ktoś opowiadał mi kiedyś taką historyjkę. Posłuchaj proszę, bo jak nic, pasuje do twoich wakacyjnych wspomnień.

Gdy Jezus – mówi legenda – chciał się po raz ostatni przed śmiercią udać do Jerozolimy, spotkał konia. Poklepał go po karku i zapytał, czy byłby gotów zanieść go do stolicy. Koń, który zajęty był szczypaniem trawy, najpierw pokręcił przecząco łbem, a po długim namyśle powiedział, że ewentualnie mógłby prośbę spełnić, ale najpierw musi się najeść. Wobec tego Jezus poprosił o przysługę stojącego nieopodal osła, a ten natychmiast zgodził się zanieść Pana do leżącej na górze Jerozolimy.



Koń i osioł symbolizują dwa rodzaje ludzi. Pierwsi myślą przede wszystkim o sobie, nie mają czasu dla innych, i z reguły nikomu nie wyświadczają przysług. A jeśli już to zrobią, to zawsze z oczekiwaniem na rewanż. Drudzy skorzy są zawsze do poświęcenia czasu i sił bliźniemu, nikomu w potrzebie nie odmawiają pomocy i swoich usług nie odkładają na później. W konsekwencji obarczeni są bezustannie – niczym juczne zwierzę – problemami, kłopotami i troskami bliźnich.

– Można wyrazić powyższą prawdę następująco:
Czego oczekuje od ciebie bliźni, tego oczekuje od ciebie

Bóg. Jest to wystarczający powód, żeby spełnić oczekiwania ochotczo, bezzwłocznie i bezinteresownie.

Miłość nie unosi się gniewem

Jeżeli grozisz mi palcem, ponieważ źle uczyniłam, karcisz mnie i wskazujesz mi dobro - dziękuję Ci za to, to Boży gniew. Wiem wtedy, że jesteś moim prawdziwym przyjacielem i mnie kochasz... jestem spokojna.

... ale jeśli grozisz mi, krzywdząc mnie zapamiętałem... wiem, że przyjaciela w Tobie nie znajduję, a Twoje słowa o miłości są niczego warte.

Krzywe zwierciadła

– Dzień dobry! Ja mam wizytę umówioną na osiemnastą piętnaście. Biegłam prawie z parkingu, żeby zdążyć, a tu widzę, kolejka. Może panie są po mnie zapisane?

– Doktor Wiśniak dzwonił, że zepsuł mu się samochód i jedzie autostopem. Bardzo przepraszał, ale to siła wyższa! Pani jest pewnie ostatnia na tę godzinę, bo my czekamy już od szesnastej.

– Ojej, to przepraszam. Usiądę sobie przy oknie, odpocznę, może zobaczę coś ciekawego. Pozbieram myśli...

– No tak, ma wizytę u psychiatry, trzeba myśli pozbierać, bo to ważny element terapii – oznajmiła

stosunkowo młoda elegantka. – Ja sobie nawet spisałam najważniejsze punkty. Pani radzę to samo, bo myśl jest ulotna!

– Ma pani absolutną rację! Jak ja coś pomyślę, szykując się na wizytę, to za chwilę już nie wiem, co to było. Tak mi się myśli płaczą!

– To chyba wszystkie mamy podobny problem, prawda? Ciekawa jestem tylko, jaki jest powód tego „roztargnienia”?

– U mnie to jest skutkiem rozmów z córką. Chcę się poradzić, co mam robić, bo... Zuzia zupełnie nie przyjmuje moich uwag! A widzę, że źle funkcjonuje. Mówię jej na przykład: „Przebierz się zaraz z tych łańców, bo przyjdzie o szesnastej lekarz terapeuta, specjalnie do ciebie, bo ja już nie mam siły z tobą. Może on ci wytłumaczy, że nie wolno rzucać butami w nauczyciela fizyki”. „A co, źle wyglądam?” – mówi ironicznie, eksponując dziury w džinsach.

– To samo u mnie! Jacek obraża się na mnie za najmniejszą uwagę. Złość mnie zalewa, krzyczę, grożę, zabraniam, na przykład: „Nie pójdziesz jutro do Bartka na urodziny, jeżeli nie zrobisz czegoś z tym czubem na

głowie!”. A on mi na to, że to jest najmodniejsza fryzura i cała klasa mu zazdrości, bo innym rodzice nie pozwalają. „Ja też ci nie pozwalałam” – wołam wściekła, ale cóż...

– A ja walczę i z dziurami, i z fryzurą, i z językiem! Okropność! Co drugie słowo, to k... Skąd on to ma? Skąd?

– Moja Diana z kolei nie chce normalnie jeść! Jest już chuda jak szczapa, a uważa, że jest gruba!!! Byłam z nią u różnych specjalistów... i nic! „Ma to w głowie”, powiedział w końcu gastrolog. Ale tutaj nie chciała przyjść za żadne skarby. Nie wiem, czym jej zagrozić, jak ją karać, bo siedziała już zamknięta w piwnicy, ale skutek – żaden.

– Co pani mówi? Zamknięta w piwnicy?! Muszę i ja tego spróbować, bo moja Ela z kolei je za dużo, a potem wymiotuje. Zbiera „zapasy”, jakby się bała, że jej zabraknie. Boże! To jest makabra! Czego ja już nie robiłam, jak ją ćwiczyłam, i też nic! Niech ten doktor w końcu przyjdzie, bo oszaleję! Że też dzisiaj musiał mu się popsuć samochód!

– A co on nam poradzi? I to nam, a nie dzieciom? Czy my damy radę? Ja już wątpię, czy ten czub na głowie Wojtek kiedyś obetnie! Wątpię...

– Zaraz powinien być! Słuchajcie, mam pomysł – wejdziemy do gabinetu razem! Każda powie to, czym tu się dzielimy i posłuchamy – czy kijem go, czy marchewką? Bo...

– Dzień dobry! Przepraszam jeszcze raz, że tyle się spóźniłem, ale wszystko się sprzysięgło! Chwilę się ogarnę i już zaczynamy przyjęcia. Która z pań była pierwsza, proszę już do sekretariatu, będzie szybciej! Pani?

– Panie doktorze! My mamy taką propozycję, że wejdziemy razem! Tak, bo mamy ten sam problem – z synem, z córką... Będzie to możliwe?

– Razem? To wbrew zasadom... A gdzie są te wasze dzieci?

– Tylko my, mamy, zostałyśmy praktycznie na placu boju! Mąż, babcia, starszy brat, który już próbował zmienić młodszego raroga – skapitulował. A my...

– No dobrze, spróbujemy tak zrobić. Ale jak się nie da, to ustalimy indywidualne terminy, dobrze?

Gdy opowiedziałyśmy doktorowi, co nas trapi, jak walczymy z dziwactwami naszych pociech, ale to nic nie daje, on tylko kiwał głową, coś notował... Gdy zamilkła

ostatnia z nas i jedynie znaki zapytania paliły się w naszych oczach, doktor powiedział tylko jedno słowo:

– Posłuchajcie...

Pęd do nadzwyczajności i do udziwnienia prowadzi do perwersji albo do znudzenia.

To było w dzielnicy portowego miasta, powoli zamienianej na kilka wielkich lunaparków, czyli miejsca nocnej rozrywki. Ruch, zgiełk, iluminacje zaczynały się tam każdego wieczoru. Dzieci było tam niewiele, ale któraś z pań z obsługi miała dziewczynkę z lekkim porażeniem mózgowym. Nie miała dla niej ani czasu, ani serca, więc dziecko od małego błękało się w ogrodzonym sektorze między budami, namiotami, karuzelami, strzelnicami... i gabinetami krzywych luster. Podczas gdy ludzie stojący przed tymi lustrami pokładali się ze śmiechu, ta mała patrzyła zdumiona na swoje odbicia, biorąc je za rzeczywiste. Patrzyła potem na ludzi, porównywała się z nimi i uciekała gdzieś w kąt, by za kilkanaście godzin wrócić i przypatrywać się sobie wykrzywionej, pyzatej, nieforemnej. Innych luster nie spotkała, więc w końcu jakby pogodziła się z tym, że tak wygląda i trzeba z tym żyć. Nigdy też nikogo nie zapytała,

jak wygląda w jego oczach, bo chyba bała się, że ci piękni i zgrabni, z matką na czele, powiedzą jej coś okrutnego, nie do zniesienia.

Kończyła siedem lat, nadal tak myśląc, tulając się na tej niewielkiej w sumie przestrzeni, która była jej całym światem, bez niczyjej uwagi, troski, czułości. Gdy znów stawała przed lustrem, traciła nadzieję, że może wyglądać inaczej. Najczęściej siadywała schowana w załomie namiotu bazarza i grajka, który na żądanie opowiadał znane bajki i dośpiewywał je. Bała się go trochę, ale знаła te bajki na pamięć, zwłaszcza o cudnych księżniczках namalowanych na namiocie. Powtarzała potem je sobie w jakimś nierealnym marzeniu, że i ją ktoś może zczaruje czy odczaruje i nie będzie już taką pokraką. Może dlatego wciąż się gdzieś chowała, by nikt się jej takiej nie przyglądał. Pewnie tak musiało być – myślała sobie.

Któregoś wieczoru nad lunaparkiem zawisła granatowa chmura, zerwał się porywisty wiatr i rozszalała burza. Łało tak, że potoki wody rwały alejkami. Wylączono prąd i tej nocy mała poszła spać wcześniej. Obudziła się, jak nigdy dotąd, o świcie. Wstawało słońce. Wyszła i patrzyła zdziwiona na wielkie kałuże. Przykucnęła nad

jedną i aż wytrzeszczyła zdumione oczy. Pobieгла do następnej i jeszcze następnej... I nagle zatańczyła w środku kałuży, wołając, jak mogła najgłośniejsze:

– Jaka ja jestem zwykła! Jaka ja jestem piękna!



Tracimy piękno, bo odchodzimy od prostoty i prawdy. Przesada, ekstrawagancje, szukanie niezwykłości, tanich podniet... – to cechy królestwa kiczu i brzydoty. I omija nas wdzięk, czyli gracia, która po łacinie oznacza także łaskę i wdzięczność... Wdzięczność za piękno, jakim ono po prostu jest od wieków stworzone.

– Drogie panie! I właśnie tak trzeba postępować! Syn, córka musi zobaczyć swoje piękno! Nie w tym, co

naśladuje, żeby upodobnić się do kolegów, koleżanek! Ale musi zobaczyć to piękno w sobie! Co to może być? To już wasza w tym rola, żeby je odnaleźć! I to jak najprędzej! I tym powinien się chwalić, tym błyszczyć, a nie czubem czy dziurą w spodniach. Jasne?

Miłość nie pamięta złego

Pamiętaj, proszę: „To, co Cię złego od ludzi spotka, zapisz na piasku, lecz to, co dobrego Cię od nich spotka – wykuj w granicie”.

Wybaczenie nie tylko uzdrawia tego, którego przepraszamy, lecz nas samych – przepraszających.

Czy cierpienie może boleć?

– Proszę księdza, czy cierpienie może boleć?

– Nuśka, co tak dziwnie pytasz? Cierpienie – boli! Czy tego kiedyś doświadczyłaś?

– No tak, ale mi nie chodzi o takie zwykłe cierpienie, ale o takie, gdy ktoś mi wyrządza zło. Czy gdy powiem: „Wybaczam ci”, to zniknie mój ból?

– Widzisz, to dosyć skomplikowana sprawa. Nie powinniśmy obnosić się z tym bólem, nie powinniśmy pamiętać zła, które ktoś nam zadał, ale – pamięć i uczucie to niekoniecznie to samo, prawda?

– Nie to samo... Bo mi, proszę księdza, wyrządzono dużo zła! I gdy pomyślę o tych ludziach, którzy szukali dziury w całym, szukali czegokolwiek, żeby mi dopiec do żywego, to... kiszki mi się przewracają!

– A myślałaś o tym, dlaczego to robili? Czy ty coś im zrobiłaś, a oni się „odwdzięczyli”? bo czasem tak jest, że

rusza tzw. łańcuszek i już w końcu nie wiadomo, co i kto przeskrobał?

– No nie wiem... Ale nawet jeżeli tak, to na pewno nie w takim wymiarze. A oni mnie oczerniali, pisali w Internecie różne fake newsy, zupełnie nie odpowiadające prawdzie, wymyślali sytuacje, w których ja odgrywałam wiodącą rolę. A mi się tylko oczy otwierały – o co tu chodzi? Co ja im zrobiłam, że... No i jako skutek tych działań, nie dostałam upragnionej pracy, bo przyszedł szef coś tam o mnie przeczytał w sieci, albo...

– Nuśka, nie płacz, proszę. To źle robili, może byli podstawieni, może opłaceni, nie wiemy tego. Ale gdybyśmy tak pomyśleli teraz, co cię dobrego spotkało od ludzi? Czy ktoś zrobił ci np. miłą niespodziankę, opowiedział o tym, jaka jesteś uczynna, jak pomogłaś, gdy zalała nas powódź, czy też w czasie Coronawirusa? To były wspaniałe działania! I w tym świetle jesteś odczytywana zupełnie inaczej, prawda? A o ilu twoich dobrych uczynkach ja nie wiem? Co? Na pewno by się takie znalazły! Myśl raczej tak, to nigdy nie wpadniesz w pułapkę tych pierwszych. Dobrze? A za jednych, jak i drugich trzeba się gorąco modlić! Gdy nie będziesz wciąż

myśleć o tych „złych”, to i uczucia się przystosują, i ból będzie mniejszy! Zobaczysz! A teraz posłuchaj, co kiedyś opowiadała mi moja ciocia, którą też w życiu spotkało dużo niezawinionego zła...

„Uściskać wilka” – to tytuł autobiografii z połowy życia niemieckiej pisarki Luise Rinser. Wilk symbolizuje bolesne strony i dramatyczne momenty jej życia: uwięzienie, cierpienie, śmierć męża itd. Pisarka wyznaje:

– A więc uścisnęłam niebezpiecznego wilka, żyję z nim. Wilk jest wilkiem i wilkiem pozostanie. Życie zawsze zawiera bolesne przeżycia. Ale nauczyłam się obejmować ramieniem tego groźnego wilka, żyję z nim w pokoju...



Powiadają, że dopiero cierpienie pokazuje, z jakiej gliny jest człowiek ulepiony i ile w nim mocy. Cierpienie zatem ujawnia człowiekowi prawdę o nim samym. A więc – cóż wie człowiek, który nigdy nie cierpiał? Cierpienie byłoby więc warunkiem zdobycia nowej wiedzy.

Przysłowie twierdzi, że odżywianie się samym tylko miodem niszczy żołądek. I jest to niebezpieczeństwo także w życiu duchowym. Lecz ani chęć poznania prawdy o sobie, ani pożądanie pełniejszej i nieznannej dotąd wiedzy, ani troska o zdrowe pożywienie dla ducha nie wystarczają do tego, aby uścisnąć wilka, objąć go życzliwie ramieniem, zaakceptować jego obecność, żyć z nim w zgodzie i w pokoju. Aby się na ten gest zdobyć, trzeba zrozumieć i uwierzyć, że ten symboliczny wilk też należy do menażerii Stwórcy; że nie jest on bezpańską bestią, której cała przyjemność i jedyny cel polegają na atakowaniu ludzi; że nie wyrwał się spod kontroli Właściciela, lecz pozostaje nadal na Jego usługach; że nie został poszczuty, aby gryźć bez opamiętania, lecz ma do spełnienia konkretne zadanie. Ojciec oczyszcza latorośle, aby przynosiły owoc obfity. Oczyszczanie jest zawsze bolesne, ale jego celem jest przyspieszenie wzrostu w doskonałości, umożliwienie

obfitego owocowania. Bo Bóg uznał, że słuszniejszą rzeczą jest wyprowadzić dobro ze zła, niż w ogóle do zła nie dopuścić. Ten, kto to zrozumiał nie dziwi się, że istnieją ludzie, którzy uścisnęli wilka. Sama też próbuję od czasu do czasu tej sztuki. Nie myślę już o tym, żeby boczyć i złościć się na niego, czy odganiać go krzykiem...

Miłość nie cieszy się z niesprawiedliwości, Miłość współweseli się z prawdą i wszystko znosi

Znosić. To wytrzymać trudne chwile razem.

Znosić. To usuwać, to co dzieli, by być ciągle razem.

Kochaj mnie taką miłością..., która wbrew przeciwnościom trwa.

Kochaj, kiedy boli. Bardzo nawet.

Co byś zrobił na moim miejscu?

– Słyszałaś, Celinko, co się stało u Straszewskich? Rozwodzą się! Zygmunta dowiedział się, że Lila ma kochanka! I to z Afryki! Okropność! Podobno trwa to już jakiś czas. Ten Afrykańczyk bywał u nich wtedy, gdy Zygmunt wyjeżdżał w delegacje, a to się często zdarza. Jednak przedwczoraj wrócił parę godzin wcześniej, bo ktoś tam nawalił i jedno spotkanie odwołano.. Wyobraź sobie, że zajeżdża późnym wieczorem do garażu, a tam, w środku, rozumiesz, w jego garażu stoi jakiś wypasiony merc! Najpierw pomyślał, że to Lili odbiło i kupiła nowy samochód dla niego, na czterdzieste urodziny, ale czar szybko prysnął, gdy wszedł cicho do domu, otworzył drzwi do sypialni i... zdębiał! Murzyn ścisnął Lilkę, a Lila – Murzyna! W ich ślubnym łóżku! Rozumiesz? Makabra! Ale heca, nie? No i się zaczęło, jak w filmie – Murzyn

złapał gatki, koszulkę i dał chodu na dwór, ale z tego wszystkiego zapomniał, że jego merc stoi w garażu. Wrócił więc pokornie i... Zrobiła się awantura na całego! Tak bywa tylko na filmach! A Lila płakała w niebogłosy, przykryta po czubki włosów i wołała do Zygmunta, żeby jej nie zrobił krzywdy, że ona go kocha, to znaczy – Zygmunta, że go przeprasza itd., itp... A Zygmunt zachował się „na poziomie” – otworzył Murzynowi garaż, życzył dobrej nocy i na końcu dodał: „Do zobaczenia w sądzie!”. Po czym wrócił do domu, złapał jakiś koc i rzucił się na kanapę w salonie. Gdy przyszła skruszona Lila, udawał, że śpi. A rano...

– No Olek, gadasz i gadasz, a obiad ci stygnie! Co się tak podniecasz tą historią? Takich wiele, nic na to nie poradzimy. A ty aż wypieków dostałeś i oczy ci się świecą, chyba z zazdrości, co? Jak możesz cieszyć się z takiego nieszczęścia? Trzeba płakać, a nie...

– No bo to tak fajnie wygląda! Jak w serialu, prawda? Ale można powiedzieć, że sami sobie winni ci Straszewscy.

– To jeszcze nie jest powód do radości! To przecież nieszczęście! Bo gdybyś to ty zadał się z jakąś kobitką, to

też byś się cieszył, gdybym to odkryła? No, widzę po twojej minie, że byłoby ci daleko do szczęścia, co? Zostawmy sprawę swojemu biegowi, dobrze?

Sprawy nie „pobiegły” zbyt daleko, bo już następnego dnia Zygmunt zapukał do naszego domu. Byłam sama, bo Olek pojechał na przegląd naszego samochodu do salonu Toyoty, a że to jest kawał drogi stąd, to postanowił poczekać, aż zrobią swoje, te trzy, cztery godziny. Zabrał swoje papiery i chciał przeanalizować projekt w jakimś spokojnym kącie.

Zygmunt nawet ucieszył się, że tylko ze mną porozmawia, a jego oczy pytały już od progu – czy wiem? Poprosiłam go do pokoju, postawiłam miskę z truskawkami, które pięknie zaowocowały tego roku, usiadłam i powiedziałam mu prosto w oczy:

– Wiem!

Odetchnął z ulgą i zapytał mnie, co bym zrobiła na jego miejscu? Czy wystąpiłabym o rozwód z Olkiem?

– Nie wiem – odpowiedziałam szczerze. – Nie wiem, Zygmunt, bo to, że postawię się na twoim miejscu, to nic nie znaczy. Ale myślę, że porozmawiałabym z mężem, szczerze i uczciwie. Co oznacza ta przygoda? Czy to

chwilowy, mało znaczący epizod, zapomnienie? Czy trwa ten romans długo, czy on zamierza związać się z tą kobietą, czy... przestał mnie już kochać? Ale widzisz, Zygmunt, ja to mówię rozsądnie i teoretycznie. Jak bym się zachowała? Nie wiem. Ale przemyśl sprawę rozwodu. Macie przecież dwóch synów, wiesz jak życie się skomplikuje po rozwodzie. Jeżeli jesteś w stanie przebaczyć Lili ten romans, a ona przyrzeknie, że koniec z Murzynem, że spróbuje się pozbierać i... zacząć normalnie żyć, to może spróbujecie? A ty dyskretnie poproś szefa, żeby na te delegacje posyłał kogoś innego, przynajmniej przez pewien czas, dobrze?

Zygmunt siedział z łzawiącymi oczyma, chyba całe nerwy wyszły z niego na tej rozmowie.

– Ale wiesz, jaki to był okropny widok? Lila z Murzynem? Ja to mam przed oczyma! Czy tak zawsze będzie?

– Nie wiem, pewnie nie, ale jeżeli ją kochasz, to próbuj. Próbuj, Zygmunt! Powodzenia!

Siedzieliśmy jeszcze długo w milczeniu. Widziałam, że Zygmunt mocował się ze sobą, miały nim emocje jak okrętem na wzburzonym morzu. W końcu wyduśił:

– Spróbuję! Jeżeli Lila będzie chciała, spróbuję!



Uściskałam go po przyjacielsku i jeszcze raz życzyłam powodzenia. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Słuchaj – zawołałam Zygmunta spod furtki. – Prześlę ci pewne nagranie, wymowne i pasujące do waszej sytuacji. Przesłuchaj i jeżeli tak zdecydujesz, to możesz rozpocząć od niego waszą rozmowę, dobrze?

Gdy wyszedł, usiadłam w fotelu i sama przesłuchałam to nagranie...

Hinduska bajka opowiada o psie, który zabląkał się do pokoju z lustrami. Naraz zobaczył wokół siebie sforę psów.

Zaczął szczerzyć zęby i warczeć. Psy odpowiedziały mu tym samym: szczerzeniem zębów i wściekłym warczeniem. Biedny pies zabiegał się i zaszczekał na śmierć w tym pokoju. A wystarczyłoby raz tylko pomachać przyjaźnie ogonem, żeby wszystkie psy odpowiedziały tym samym przyjaznym gestem.

Bajka przypomina o tym, że istnieje sprzężenie zwrotne między moim nastawieniem i zachowaniem, a postępowaniem otoczenia. Krzyk odbija się echem, uśmiech wywołuje uśmiech, serdeczność przyciąga serdeczność, przekleństwo prowokuje przekleństwo, kłamstwo rodzi kłamstwo. Tylko że w praktyce sprawa nie jest już tak oczywista. Bliźni mają nie tylko możliwość lustrzanego odbicia naszych grymasów, postaw i zachowań. Miłość nie zawsze bywa odwzajemniona. Nie zawsze nadobne bywa odpłacane pięknym. Zwycięstwo dobra nie zawsze bywa natychmiastowe. Pewne rachunki pozostają otwarte przez całe życie. Echo pewnych spraw ulatuje w wieczność.

Mamy traktować bliźnich tak, jak chcielibyśmy być przez nich traktowani. Co wcale nie oznacza, że mamy innym czynić dokładnie to samo, co oni nam uczynili. I

żeby nie było wątpliwości – nie oddawajcie złem za zło ani zlorzeczeniem za zlorzeczenie. Wskazówka ta nie oznacza również, że mamy innym czynić dobro tylko wtedy i jedynie tak długo, jak długo wywołuje ono pozytywny oddźwięk, jak długo spotyka się z rewanżem, jak długo zostaje odwzajemnione. Obce powinno być prawo odwetu liczące na wzajemną dobroć. Słońce wschodzi nad złymi i nad dobrymi, deszcz pada na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Chrystus opowiedział przypowieść o nieurodzajnym drzewie figowym, które dostaje jeszcze jedną szansę, jeszcze jeden rok zwłoki, choć już od trzech lat nie przynosi owoców. Uleczył dziesięciu trędowatych, choć z góry wiedział, że dziesięciu wdzięczności nie okaże. Głosił prawdę o Królestwie i tam, gdzie napotykał niedowiarstwo i gdzie chciano Go w podzięce strącić z góry. Dał nam przykład miłości nieprzyjaciół i modlitwy za nich.

Dopiero wtedy okaże się, żeśmy bezbłędnie pojęli i przyswoili sobie Bożą naukę, gdy będziemy mogli bez zająknięcia powtórzyć: Błogosławimy, gdy nam zlorzeczają; znosimy, gdy nas prześladują; dobrym słowem odpowiadamy, gdy nas spotwarzają.

Miłość wszystkiemu wierzy

Nie bądź łatwowierny i po wariacku zakochany.

Pamiętaj, miłość nie jest ślepa. Ona jest jak najbardziej roztropna i rozsądna.

Ufność zupełnie na czymś innym polega... nie na tym, że każde słówko wypowiedziane jest prawdą, chodzi o inną wiarę wszystkiemu.

Miłość wierzy wszystkiemu w Bogu.

W co wierzyć?

– Ziutek, na litość Boską, nauczyłeś się już tego „Credo”? Ja wiem, że to długie i trudne, ale egzamin macie pojutrze. Co, chcesz odpaść od ustalonego terminu Komunii? Goście zaproszeni, sala w najlepszej restauracji w mieście – zarezerwowana od roku. A Komunia ma być w sobotę, siódmego maja, bo...

– Mamo, ja się tego w życiu nie nauczę! W życiu! Ja połowy co najmniej nie rozumiem. A u nas w szkole był taki pan, który nas uczył, że trzeba rozumieć to, co się wkuwa! Katecheta, który w tym roku nas przygotowywał, bardzo często chorował, dyrekcja zastąpiła go panią od polskiego, bo jak nam wyjaśniła: „Pani Woźniak jest osobą głęboko wierzącą, to was nauczy”. Ale ona nie dała

rady, bo chłopaki wchodziły jej na głowę, wygłupiali się. No i tak my wyglądamy, mamó! To nie tylko ja, inni też, chociaż douczają się teraz u babci czy wujka, żeby jakoś wypaść na tym egzaminie.

– Ziutek! Nie przerażaj mnie, bardzo cię proszę. Czego jeszcze nie umiesz? „Ojciec nasz”, „Zdrowaś Maryjo”..., to chyba jakoś idzie, co?

– To idzie, ale nie mogę spamiętać tajemnic Różańca, tyle ich się nazbierało, mylą mi się w kolejności; tak samo Droga Krzyżowa, jak dochodzę do końca, czyli do grobu, to mam albo za mało, albo za dużo, a nie czternaście. Nie wiem, po co mam je pamiętać, jak są przecież na ścianie w kościele ponumerowane, prawda? Nie umiem „Anioła Pańskiego”, bo inny jest przed, a inny po Wielkanocy, i jeszcze..., a z pieśniami to w ogóle – kaplica!

– Ziutek! Zlituj się, to ty musisz nauczyć się całej książeczki do nabożeństwa na pamięć? Tak?

– No nie, mamó, ale dużo tego jest, że aż strach! To pan Bóg musiał to wszystko wymyśleć, a my musimy w to wierzyć! A kiedyś mieliśmy zastępstwo przez miesiąc na religii i przychodziła taka starsza zakonnica. Fajna była! Nie krzyczała, nie odpytywała nas na stopnie, tylko

rozmawiała z nami, tłumaczyła, że najważniejsze jest to, że Pan Jezus nas kocha! Kocha każdego z nas! Bez względu na to, czy dużo grzeszymy, czy nie, to nas kocha miłością dobrą, ciepłą, nieustającą. Widzisz, i to pamiętam! Podawała dużo przykładów osób świętych, którzy doświadczyli tej miłości i pewnie to im pomogło, że zostali świętymi! No, bo święty Antoni jest od zgub, święta Rita od spraw trudnych, beznadziejnych, tak samo święty Tadeusz. Fajnego patrona ma wujek Tadek, prawda? No a mój święty Ziutek, łał, święty Józef to patron rzemieślników. Zobaczymy, jaki będzie ze mnie fotograf, bo...

– Ziutek! Błagam cię, ty się lepiej ucz, przynajmniej tych najważniejszych rzeczy! Jutro nie pójdziesz do szkoły, tylko będziesz się uczył! Jasne?

– Super! Jutro jest klasówka z matmy. Może mi pani podaruje, co? Albo ją poprosimy, żeby wszystkim podarowała, bo jak się nie nauczymy „Wierzę w Boga Wszechmogącego”, to...

– Dobrze, zadzwonię do mamy Patryka, ona jest w komitecie rodzicielskim, niech się wykaże! Ale ty, Ziutek – ucz się, słyszysz? Za godzinę cię przepytam z

„Wierzę...”. I z innych rzeczy... że też wszystko musi być na ostatnią godzinę!

– Mamo, no, tak wyszło! Mówię ci, nie tylko z mojej winy! Aha, a ta starsza zakonnica mówiła nam jeszcze, że Pan Jezus nauczał bardzo prosto, w przypowieściach. Dużo było tych opowiadań, niektóre pamiętam. Jezus mówił prostym językiem do rybaków, rolników, do zwykłych ludzi. To może też mi się przyda, co mam? Mamo!

– Cicho, dzwonię do pani Halinki, ale coś nie odbiera. Spróbuję później. A co mówiłaś przed chwilą?

– To, że Pan Jezus mówił prosto i dawał przykłady z życia. I w to można wierzyć, bez żadnych regułek. Tam było widać, że jest Bogiem – nakarmił tłum ludzi, a miał tylko kilka chlebów i rybek. To było super! Takiego kogoś mieć u nas! To wszyscy by się nawrócili, prawda? Albo jak uzdrowił chorego na trąd, albo – mówił o polu, kwiatach, to...

– Czekaj, Ziutek! Ja miałam gdzieś taką historię o rzece. Chociaż tego nie ma w Biblii, to też dużo daje do myślenia. Zaraz znajdę, no, gdzie ona się podziała? Tu, nie! Może mam w galerii, bo opowiadanie pokazywało,

jak żyć, gdy patrzy się na rzekę. Tego też masz się nauczyć, prawda?

– Tak, ale to przerabialiśmy na przykładzie dziesięciu przykazań. Mam je powtórzyć?

– Zaraz, za chwilę, bo chyba znalazłam. Co prawda nie mówił tego Jezus, ale w tekście jest głęboko ukryta prawda o tym, że przyroda daje nam przykład życia. I w to można i trzeba wierzyć! Bo Bóg to przecież Stwórca! Posłuchaj...

Pewnego mędrca zapytano:

– Tak długo stoisz na brzegu rzeki i przyglądasz się wodzie, co w niej widzisz?

On zaś odrzekł:

– Rzeka uczy, jak mamy żyć. Gdziekolwiek przepływa, przynosi życie i daje siebie wszystkim, którzy jej potrzebują – jest więc dobra i szczodra. Wygładza nierówności terenu – jest zatem sprawiedliwa. Bez wahania spływa w dół po skalnej ścianie – nie brak jej więc odwagi. Jej powierzchnia jest wprawdzie gładka, ale kryje w sobie tajemne głębiny – jest więc mądra. Omija po drodze skały – a więc jest zgodliwa. Dzień i noc pracuje nad usunięciem przeszkód – jest zatem wytrwała. Choć

płynie zakolami, to przecież nie zapomina o swoim odwiecznym celu – morzu, jest więc świadoma celu. Gdy się ją zabrudzi, stara się odzyskać czystość – dokonuje więc własnej odnowy. Oto dlaczego patrzę w rzekę. Uczy mnie ona tego, jak należy żyć.



Chrystus wzywa nas: Przypatrzcie się liliom na polu... A chodzi Mu nie o nasze estetyczne doznania, lecz o naukę dla życia. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że każde dzieło Boże zawiera zakodowaną jakąś prawdę, jakąś naukę, jakieś postanie. To może być drzewo, które nie spożywa własnych owoców, lecz oddaje wszystko innym, ucząc nas wielkoduszności. To może być morze,

które było przez swój bezkres wezwaniem do porzucenia małoduszności i ciasnoty serca, i góra, która przypominała jej o tym, że życie jest wspinaczką na fascynujący szczyt.

– Mamo, to jest super! Rozumiem już, że Pan Bóg nas bardzo ukochał, jak stwarzał świat! Opowiem to jutro księdzu katechecie. Na pewno zapunktuję!

Miłość we wszystkim pokłada nadzieję

Nie, nie! Nadzieja nie jest matką tych, co mają zielono w głowie!

Kojarzy się nam z tęsknotą, pragnieniem... jest jakby niespełnionym marzeniem... oczekiwaniem... taką niepewnością.

Ale prawdziwa nadzieja jest właśnie pewnością, że spełni się wszystko to, czego Pan Bóg chce.

A nadzieja zawieść nie może!

Śnieg zacina, autobusu jak nie było, tak nie ma... „Chcesz odmienić swoje życie?”. Stoję przed kioskiem i ten duży napis z okładki eleganckiego pisma kłuje w oczy. Czy chcę? Pytanie z rodzaju retorycznych, na które odpowiedź bywa tylko jedna. A kto chciałby w ten szary, śnieżny dzień innego scenariusza? W takim dniu słońce, zieleń, zapach kwiatów, czyjś radosny śmiech wydają się rzeczywistością niemal nieosiągalną.

No więc jak z tą proponowaną przemianą? Patrząc uważnie okładka po okładce. Mój Boże, jakie to proste, łatwe i wszechdostępne. Wystarczy trochę silnej woli, optymizmu i do dzieła – nawołują różni profesjonaliści: psychologowie, dietetycy, finansiści, spece od wizażu, stylingu i chirurgii kosmetycznej.

Rewolucyjna formuła tego kremu ujmie z pięć lat, bo „wypycha” nawet głębokie zmarszczki. Efekt gwarantowany już po ośmiu tygodniach używania. Po prostu – młodość zatrzymana w kadrze. Potem inteligentny fluid, „czytający” koloryt cery, uczyni twoje oblicze podobne do twarzy gwiazd filmu. Mascara potroi gęszcz rzęs, specjalna szminka sprawi, że nawet na najbardziej zaciętych ustach pojawi się promienny uśmiech. A taki uśmiech – rzecz wiadoma – potrafi zdziałać w życiu cuda. Oczywiście, jeśli używasz odpowiednio wybielających past i szczoteczek o długich obcojęzycznych nazwach.



A może samochód – ten dwudziestowieczny symbol wyzwolenia, ucieczki, przygody, odmiany? Co za problem? Możesz go mieć z bonifikatą, ubezpieczeniem, kompletem opon zimowych lub klimatyzacją gratis. Od zaraz, już, z kredytem w jakim chcesz banku, bez poręczycieli, w dwadzieścia cztery godziny. Rodzina doceni twoją miłość i oddanie, gdy już odjedziecie w słoneczną przyszłość – uśmiechnięci, wypoczęci, wolni od trosk doczesności.

Tej wiosny „nosimy się” na zielono. Należy więc włożyć na siebie cokolwiek w tym nastrajającym optymistycznie kolorze, a świat zyska nowy blask. Ale by blask był porażający, pamiętaj – sylwetka! Konieczna do wymiany przed latem. Nabyć więc należy niezbędne specjalistyczne taśmy z ćwiczeniami aerobowymi i stretchingiem – które przemienią twoją talię w smukły cyprys.

No i musi być białe. Bezwzględnie nowa jakość bieli, którą osiąga się dzięki odpowiedniej marce pralki automatycznej i rewolucyjnej recepturze proszku z niebieskimi ziarenkami. Taka biała koszula to ho, ho... awans, sukces gwarantowany, i nawet możliwość

wyczedzenia tego modnego zdania: „A teraz? Teraz to mi to lotto...”. Dla pań – tuziny wielbicieli nie mogących oderwać wzroku.

Aha, jeszcze ten specyfik w malutkich buteleczkach. Jeśli pijesz codziennie, po dwóch tygodniach poczujesz zmianę. Jaką? Dokładnie nie wiadomo. Ważne jest, byś poczuł, zauważył i docenił różnicę. Ot co... Jeśli nie – zwrócą pieniądze. Równowartość czternastu małych buteleczek zrekompensuje zawiedzione nadzieje. Uczciwy układ...

Zza tafli wystawowego szkła atakują mnie barwą, lśnieniem eleganckiego kredowego papieru i wizerunkami idealnych twarzy ludzi, którzy nie goszczą często w moim życiu, oraz pojęcia. Dobrze to czy źle? Coś tracę czy przeciwnie – zyskuję nowe obszary doznań duchowych? A może – bez mojej wiedzy i woli – ten plastikowy świat to jednak ten, w którym żyjemy, i że taka jest właśnie jakość złudzeń, którymi się karmimy? – pomyślałam smętnie, gdy właśnie nadjechał autobus.

Niestety był tak przepełniony, że nie było szans, żeby wejść do środka. Kierowca krzyknął nam na pociechę, że zaraz będzie drugi, machnął ręką i odjechał.

Ten drugi przyjechał za dziesięć minut i na szczęście wysiadło z niego sporo osób, więc zdołałam się wcisnąć do środka. Gdy się trochę rozrzedziło po następnych przystankach, zauważyłam, że razem ze mną jedzie Jadzia, moja dobra kuma z liceum. Przywitałyśmy się serdecznie, a na sakramentalne: „Co słychać?“, zamiast urobionych frazesów, opowiedziałam o wystawie „Jak odmienić swoje życie?”. Nie widziała wcześniej podobnych prezentacji i była bardzo zainteresowana.

Opowiedziałam Jadzi to, co zapamiętałam, z nutką ironii, ale chyba jej nie zauważyła. Zasypała mnie serią pytań, najbardziej o zmianę wizerunku, maskarę, krem przeciwzmarszczkowy, fluid, pasty i szczoteczki do zębów. Podpytała o taśmy do ćwiczeń i inne „aparatury” do poprawy sylwetki. Nigdy bym nie przypuszczała, że tak ją to „weźmie”. Ponieważ na te tematy wiele nie wiedziałam, więc Jadzia zamierzała wysiąść na następnym przystanku i wrócić do tamtego sklepu, żeby nabyć to, co trzeba.

– Jadziu, to nie była drogeria, tylko stoisko z prasą, a ja czytałam strony z reklamami tych „cudów”. Pamiętasz takie stare powiedzenie: Reklama dźwignią handlu? Tu o

to chodzi. Żeby człowieka omamić, zachęcić i zmusić tym samym do wydania pieniędzy.

– Hanka, co ty opowiadasz? Jak wyprodukowali, reklamują, to jest dla ludzi, prawda?

– No tak, ale ty masz nadzieję, że zrobisz się na bóstwo? Po dwóch, trzech miesiącach będziesz nie do poznania? Mówię ci, że to lipa! Swoje lata mamy, to i zmarszczki się pojawiły tu i tam. Można je trochę zatuszować, zalepić, ale nie czarujmy się – „dwudziestką” się nie staniesz, Jadziu! Chociaż trochę mogłabyś się ogarnąć, zwłaszcza radzę ci pójść do fryzjera i zrobić coś z włosami, bo masz faktycznie nieciekawe.

– A było tam coś na włosy? – jęknęła zdeorientowana.

– Chyba nie doczytałam, ale w każdej drogerii polecą ci odżywkę, właściwy dla ciebie szampon, może i lakier. I zrób coś z tymi paznokciami, bo chyba je obgryzasz, co?

Jadzia kiwnęła smętnie głową i zamyśliła się.

– Zaraz wysiadam – przerwałam jej rozmyślanie. – A ty?

– Ojej, już tu jesteśmy! To wysiądę z tobą. Jest tu w okolicy drogeria, to może wejdiesz ze mną i razem coś wybierzemy, dobrze?

– Dobrze, dobrze! Będę pilnować, żebyś nie przepłaciła swojej nadziei na lepszy wizerunek. Wystarczą proste preparaty, najlepiej ziołowe, bez chemii. Coś dobierzemy! Ale pamiętaj, że prawdziwa nadzieja to pewność, że spełni się to wszystko, co zaplanował dla ciebie Stwórca! Lepiej Go nie poprawiać, prawda?

Miłość wszystko przetrzyma i nigdy nie ustaje

*I jak tu nie wspomnieć o wieczności? Miłość jest transcendentna.
Przekracza nasz ziemski byt.*

*Miłość przez śmierć przefruwa jak przez furtkę ogrodu...
zostawiając po tej stronie czas, przestrzeń, zegary i kalendarze.*

Fruwająca miłość

Wyszliśmy z salki parafialnej pełni zdumienia i fascynacji. Ojciec dominikanin, który był na dzisiaj zaproszony, aby poprowadzić naukę dla nowożeńców, mówił o miłości. Mówił wspaniale, obrazowo i właściwie wszystko stawało się jasne – miłość, zawody miłosne, czas na miłość... Nagrałem wszystko na smartfona i teraz, gdy przytuleni szliśmy do domu, byłem pewien, że cała nasza rodzinka chętnie posłucha, a i my, czyli Elwira i Łukasz, jeszcze raz przeżyjemy te wielkie prawdy...

Znana jest opowiadka o ludziku z soli. Człowieczek ten po długiej wędrówce przez pustynię dotarł nad brzeg morza.

– Ktoś ty? – zapytał solny człowieczek.

– Ja jestem morze – padła odpowiedź.

– Chciałbym cię poznać i zrozumieć, lecz nie wiem, jak to osiągnąć?

– Dotknij mnie, a będziesz wiedział – zaproponowało morze.

Solny człowiek zdobył się na odwagę i zanurzył nogę w falach morza. Zaraz też doznał olśniewającej pewności, iż wie już co to jest morze. Gdy po pewnej chwili cofnął nogę z wody, brakowało mu u niej palców.

– Coś ty ze mną uczyniło? – zawołał zrozpaczony.

Morze zaś odrzekło:

– Zawsze trzeba coś utracić, gdy chce się mnie poznać i zrozumieć.

Zupełnie tak samo bywa z miłością. Wszyscy ciągną z pustyni nad ocean miłości. A wędrowców można z grubsza podzielić na trzy grupy.

Pierwsza grupa to rozczarowani. Ci, co nieskorzy są do jakichkolwiek ofiar; co oburzają się na konieczność ponoszenia kosztów, co chcieliby poznać miłość za darmo i bez trudu, nie płacąc niczym, nie dając niczego w zamian i nie tracąc niczego. I gdy dowiadują się, że tutaj nie otrzymuje się za darmo, czują się rozczarowani w nadziejach i zawiedzeni w oczekiwaniach. Nie zdobywszy się na odwagę, nie doznawszy miłości, nie zanurzywszy nawet stóp w jej falach, wracają na pustynię.

Druga grupa to poszkodowani. Ci zakosztowali miłości. Ci zanurzyli się w jej odmętach. I uznają to za tragiczną i fatalną przygodę. Wydaje się im, że wyszli z niej okaleczeni i skrzywdzeni. Są przekonani, że miłość ich oszukała, że ograbiała ich z urody, szans i możliwości. Do końca dni obnoszą się z tą swoją krzywdą, bez przerwy pokazują światu te swoje kikuty, wszystkim wokół opowiadają, jak to brutalnie i bezwzględnie obeszła się z nimi miłość. Są to niepoprawni buchalterzy strat. Liczą skrupulatnie straty, wiedzą doskonale, ile zapłacili, nie potrafią natomiast ani dostrzec, ani cieszyć się tym, co zyskali. Nic zatem dziwnego, że w ich rachunkowości nie ma korzystnych wyników.

I grupa trzecia: szczęśliwcy. Ci też zanurzyli się w miłość. Ci też poznali jej smak i głębię. Ci też za tę wiedzę zapłacili, też coś złożyli w ofierze, też z czegoś zrezygnowali, też czymś okupili tę przygodę. Ale wiedzą, że żadna cena nie jest wygórowana, gdy w grę wchodzi miłość. Więc nie czują się skrzywdzeni, oszukani lub okaleczeni. Niczego nie żalują, niczego nie oplakują, niczego nie przeklinają. Zamiast zajmować się liczeniem strat, lizaniem ran i opowiadaniem rozczarowań, cieszą

się zyskiem i są wdzięczni. Tym rachunek zawsze wychodzi na korzyść. To ludzie szczęśliwi i właściwie godni tego, aby im zazdrościć.

Pokolenia alchemików usiłowały odkryć procedurę, formułę, zaklęcie, metody, które umożliwiłyby zamianę piasku w złoto, marności w bogactwo, szarości w połyskliwość, samotności w miłość.

Pewien stary obraz przedstawia tablicę szkolną. Na tablicy rząd zer. Przed tablicą zaś anioł, który dopisuje kredą jedynekę przed zerami. Pod obrazem zaś napis: Dobra intencja.

Anioł nie jest fałszerzem, nie dokonuje też zmian w rachunku na własną rękę. Zapis na koncie zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tylko u tych, którzy znają tajemnicę i formułę przemiany: miłość przynagla nas.

Co właściwie nas przynagla, co inspiruje nasze zamierzenia, co przyświeca naszym poczynaniom, co towarzyszy naszym wysiłkom? Miłość, dobra intencja, kryształowy impuls, czy też ambicja, rozgoryczenie, wyrachowanie, żądza władzy, namiętność, zdenerwowanie, twarda konieczność przeżycia?

Odpowiedź wszyscy znamy. Jakże tu powodować się miłością, gdy praca nuży, monotonność doskwiera, trudności zniechęcają, bliźni dokuczają, szef ma humory, dzieci sprawiają kłopoty, kolejki się wydłużają, choroba nie daje spokoju i do pierwszego nie starcza gotówki?

Mimo tych i setki jeszcze innych utrudnień, niedogodności i przeszkód dobrze jest wiedzieć, że skoro nieopisaną wartość miała nie tylko śmierć na krzyżu, lecz również cały życiowy trud, to w naszym życiu nic nie musi być mało ważne, bezużyteczne, bez znaczenia; że ważniejsze od tego, co się robi, jest jak się to robi i że to „jak” wszystko odmienia, wynosi na wyżyny, zaopatruje znakiem jakości, obdarza przywilejem niezniszczalności; że monotonii, szarzyźnie, powszedniości można nadać głęboki sens i nieopisaną wartość, gdyż szansa istnieje, formuła jest nadal ważna, metody wciąż skuteczne, a anioł dopisywacz jeszcze nie przeszedł na emeryturę.

Ale wiadomo, że na wszystko czasu nie starczy. Nie należy z tego powodu wpadać w panikę: żyć w stanie ciągłego pośpiechu, wiecznego zaafierowania i bezustannego zabiegania. Nie należy też popadać w smutek, uskarżać się ustawicznie na krótkość życia lub

skamleć o jego wydłużenie. Należy czynić lepiej to, na co czasu starcza. Sposób na owo „lepiej” jest prosty: gdy milczysz, milcz z miłości; gdy mówisz, mów z miłości; gdy ganisz, gań z miłości; gdy jesteś wyrozumiały, czyń to z miłości. Cokolwiek się czyni, należy to czynić z miłości, bowiem sam powierzchowny czyn bez miłości nic nie znaczy; to zaś, co czyni się z miłości, choćby było czymś najmniejszym i ułomnym, okazuje się zawsze owocne.



Jezus spodziewał się po uczniach i spodziewa się po nas przyniesienia obfitego owocu. Obfity owoc przynosi nie tyle powodowane często ambicją i jeszcze częściej wbijające w dumę bicie rekordów, co raczej pełnienie

tego, co leży w granicach możliwości i sił, ale za to w sposób najlepszy, to znaczy z miłości. Wiele czyni, kto wiele kocha.

I wtedy łatwiej przetrzymać trudne chwile, zawirowania, a nawet... śmierć ukochanej osoby. Bo miłość jest transcendentna, przekracza nasz ziemski byt. Miłość przez śmierć przefruwa jak przez furtkę ogrodu, zostawiając po tej stronie czas, przestrzeń, zegary i kalendarze...

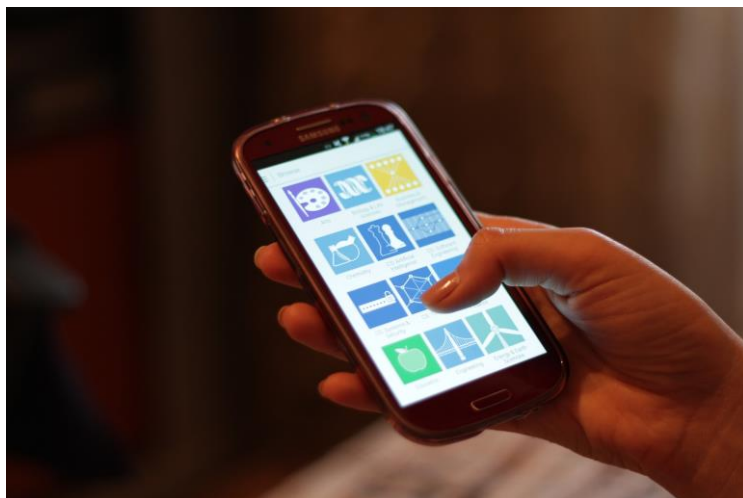
Post scriptum

Pewnego razu na przerwie między zajęciami na uczelni, grupka młodych ludzi siedziała w naszym barku i jak zwykle „głaskała” swoje smartfony, ale jednocześnie przechwalała się nowymi nabytkami.

– Patrzcie, mój smartfon może tyle, co trzy wasze starocia – wykrzyknął niewysoki blondynek. – To właściwie robot, sztuczna inteligencja!

– Co ty gadasz? – odezwał się opasły dryblas. – Ja mam w swoim takie superaplikacje, że rozmawiam z nim w dowolnym języku, pytam o coś i natychmiast mi odpowiada, podpowiada, np. gdzie mam coś korzystnie kupić...

– Mój też wiele może – wtrąciła dziewczyna z kolczykiem w nosie. – Pewnie też macie GPS-y, ale mój jest rewelacyjny, w Paryżu bym bez niego normalnie zginęła! Ale wiecie, ile za niego dałam?



312816

– Słuchajcie – przerwał jej wytatuowany chudzielec. – Mój też kosztował masę kasy, ale nawalił w Lizbonie i wyprowadził mnie na jakieś podejrzane peryferie.

– A ja kiedyś zapomniałam zabrać z samochodu smartfona i poszłam na grzyby. Jak się spostrzegłam, to o mało co nie dostałam zawału! – wykrzyknęła dziewczyna w czarnej bluzie i... nagle przerwała, bo zobaczyła, że siedzę w pobliżu. – A pani profesor jaki ma model, jakie aplikacje? – zapytała z ciekawością.

– Pani to ma na pewno jakieś cacko – stwierdziła ta dziewczyna z kolczykiem w nosie.

– Mój smartfon mi zupełnie wystarcza, choć pewnie zająłby ostatnie miejsce w waszym rankingu – odpowiedziałam szczerze. – Ale ja mam jeszcze innego Pomocnika, takiego który też podpowiada, dobrze radzi, jest superinteligentny, wszystko wie, nie wprowadza w błąd, prowadzi zawsze właściwą drogą, pomaga podjąć dobrą decyzję, nie ulega awarii, nie rozładowuje się...

– Niemożliwe! Nie słyszałem o takim modelu – oznajmił sceptycznie blondynek. – A jeżeli nawet jest, to trzeba na niego wydać bająnskie sumy!

– Nic nie musiałam za Niego zapłacić! Otrzymałam Go zupełnie darmo już dawno temu, praktycznie zaraz po urodzeniu. Pewnie i przynajmniej niektórzy z was też Go otrzymali. Tylko trzeba pamiętać, że On jest i że zawsze służy pomocą.

– Za darmo? – powtórzył cicho blondynek. – To ja chyba już wiem – spojrzał na mnie jednak pytającym wzrokiem.

– No gadaj, Paweł, o co tu chodzi? – wykrzyknął chudzielec z tatuażem.

– To Duch Świąty – powiedział mocno Paweł i uśmiechnął się do mnie.

Pokiwałam potakująco głową. Pozostali patrzyli na mnie zdezorientowani...

A czy Ty, Drogi Czytelniku, korzystasz z INFORMACJI od Tego Doradcy?

Bibliografia

1. Batorowska H., Motylińska P., *Bezpieczeństwo informacyjne i medialne w czasach nadprodukcji informacji*, Wyd. SBP, Warszawa 2021.
2. Beksiak J., *Ekonomia*, Wyd. Księgarnia Beck, Warszawa 2019.
3. Białas M., *Problemy z ustalaniem wyniku finansowego w rachunku zysków i strat*, Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2021.
4. Branden N., *Jak dobrze być sobą. O poczuciu własnej wartości*, GWP, Gdańsk 2006.
5. Canfield J., *Balsam dla duszy pracującej*, DW Rebis, Poznań 1998.
6. Chmielecki A., *Rzeczy i wartości. Humanistyczne podstawy edukacji ekonomicznej*, PWN, Warszawa 1999.
7. Czerny J., *Aksjologiczne podstawy ekonomii i biznesu*, Wyd. WSEiA, Bytom 2018.
8. Czerny J., Rzepka K., *O humanizację myśli ekonomicznej*, „Nierówności Społeczne a Wzrost Gospodarczy”, nr 52 (4/2017).

9. Das Neves J.C., *Ekonomia z Bogiem*, WAM, Kraków 2003.
10. Dębska H., Warczok T., *Kapitały, inwestycje, zyski. Ekonomia praktyk naukowych w polskim polu filozofii prawa*, Wyd. Uniwersytet Warszawski, Warszawa 2021.
11. Duda M., *Polskie bezrobocie*, „Zeszyty Odnowy w Duchu Świętym”, nr 2/2013.
12. Ekman P., *Kłamstwo i jego wykrywanie w biznesie, polityce, małżeństwie*, PWN, Warszawa 1997.
13. *Ekonomia inspirowana miłością*, praca zbiorowa pod red. J. Królikowskiego, Wyd. Biblos, Tarnów 2019.
14. Emerling I., *Rachunek zysków i strat w świetle rozwiązań międzynarodowych*, Studia Ekonomiczne, Warszawa 2014.
15. Galata S., *Biznes w przestrzeni etycznej. Motywy, metody, konsekwencje*, Difin, Warszawa 2007.
16. Garczyński S., *O radości*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1983.
17. Głodek J., *Nie jestem stworzony do bezsensu*, „List” 2013.

18. Granatowski J., *Bóg każdemu daje wędkę*, „Szum z Nieba” 2019.
19. Griffin E., *Język przyjaźni*, Wyd. Rodzinny Krąg, Warszawa 1994.
20. Hayes S.C., *Umysł wyzwolony*, GWP, Gdańsk 2020.
21. Hazlitt H., *Ekonomia w jednej lekcji*, wyd. Instytut Ludwiga von Misesa, Wrocław 2013.
22. Hudzik M., *Jak pracować, żeby nie zwariować*, „List” 2013.
23. Illg J., Illg T., *Wielka Księga Mądrości*, Wyd. KDK–Arkadia, Chorzów 2013.
24. Jaki S.L. OSB, *Zbawca nauki*, Wyd. W drodze, Poznań 1994.
25. Janowski J., *Trendy cywilizacji informacyjnej. Nowy technototalitarny porządek świata*, Wyd. Wolters Kluwer, Warszawa 2019.
26. Joule R.V., Beauvois J.L., *Gra w manipulacje. Wywieranie wpływu dla uczciwych*, GWP, Gdańsk 2006.
27. Jurek M., Rybacki R., *Model homo oeconomicus i jego dostosowanie do współczesnych uwarunkowań*, „Współczesne teorie ekonomiczne”, Ratajczak M.

- (red.), Wyd. Uniwersytetu Ekonomicznego, Poznań 2012.
28. Kisilowska M., *Kultura informacji*, Wyd. SBP, Warszawa 2016.
29. Kofman F., *Świadomy biznes. Jak budować wartość poprzez wartości*, Wyd. Galaktyka, Łódź 2019.
30. Koziński J., *Koncepcje psychologiczne człowieka*, PWN, Warszawa 1984.
31. Lefevre P., *Jak zmienić swe życie?*, Wyd. W drodze, Poznań 1994.
32. Lewartowska-Zychowicz M., *Obywatel na manowcach, czyli o tym, jak homo politicus przekształcił się w homo oeconomicus*, Wyd. Uniwersytet Gdański, Gdańsk 2019.
33. Liedel K., Piasecka P., Aleksandrowicz T.R., *Analiza informacji. Teoria i praktyka*, Difin, Warszawa 2017.
34. Masłowska D., Masłowski W., *Wielka Księga Myśli Polskiej. Aforyzmy, przysłowia, sentencje*, Wyd. KDC, Warszawa 2005.
35. McGinnis A.L., *Potęga optymizmu*, Wyd. „Exter”, Warszawa 1993.

36. McGinnis A.L., *Sztuka motywacji, czyli jak wydobyć z ludzi to, co w nich najlepsze*, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 1992.
37. McGinnis A.L., *Sztuka przyjaźni, czyli jak zbliżyć się do ludzi, na których nam zależy*, Oficyna Wydawnicza „Quo Vadis”, Warszawa 1991.
38. McGinnis A.L. *Sztuka życia, czyli jak osiągnąć sukces w pracy zawodowej i szczęście w życiu rodzinnym*, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 1998.
39. Minus P.M., *Etyka w biznesie*, PWN, Warszawa 1995.
40. Nash W., *Jak opanować stres?*, Wyd. M, Kraków 1995.
41. Neuhaus R.J., *Biznes i Ewangelia. Wyzwanie dla chrześcijanina-kapitalisty*, Wyd. W drodze, Poznań 1993.
42. Oppermann K., Webber E., *Style porozumiewania się w pracy*, GWP, Gdańsk 2005.
43. Ruciński T., *Legandy z duszą*, Wyd. Sióstr Loretanek, Warszawa 2019.
44. Ruciński T., *Powiedz, jak ma Cię kochać?*, Wyd. Edycja Świętego Pawła, Częstochowa 2001.
45. Rudniański J., *Homo Cogitans*, WP, Warszawa 1975.

46. Smith A., *Teoria uczuć moralnych*, PWN, Warszawa 1989.
47. Stefanowicz B., *Informacja. Bieda. Mądrość*, Wyd. GUS, Biblioteka Wiadomości Statystycznych, Warszawa 2023.
48. Szewczyk A., *Dobre nowiny, czyli niewymyślone zdarzenia z Internetem w tle*, Hogben, Szczecin 2012.
49. Szewczyk A., *Informacja w walce z bezrobociem*, Difin, Warszawa 2005.
50. Szewczyk A., *Problemy moralne w świecie informacji*, Difin, Warszawa 2008.
51. Szewczyk A., *Zarządzanie czasem, czyli co jest w życiu najważniejsze*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2015.
52. Szewczyk A., *Zarządzanie finansami, czyli ile kosztuje bilet do nieba*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2016.
53. Szewczyk A., *Zarządzanie problemami, czyli recepty na wirusy naszych czasów*, Wyd. Bernardinum, Pelplin 2018.
54. Szostek A. MIC, *Pogadanki z etyki*, Wyd. Niedziela, Częstochowa 1998.
55. Vanier J., Augustyn J. SJ, *Depresja, uczucia, lęk*, Wyd. M, Kraków 1992.

56. Wolf N., Rosanna E., *Sztuka kierowania ludźmi*, Wyd. Benedyktynów, Tyniec 2011.

Spis treści

Zamiast wstępu.....

CZĘŚĆ I

Aktualność informacji – czy popłaca?.....

Tolerancja informacji a brak serca.....

Dokładność informacji a przyjaciele.....

Efektywność nawrócenia – bez smartfona tym razem.....

Wiarygodność – bardzo cenny atrybut informacji.....

Skuteczność informacji w „SFINKSIE”.....

Niezawodność informacji się sprawdza!.....

Sprawność informacji ratuje młodych.....

Dyspozycyjność informacji z obszaru prawa.....

Użyteczność informacji – na przykładzie szkoły
zawodowej.....

CZĘŚĆ II

Falstart.....

Laska

Sebastiana.....

Remanent w sercu.....

Duet.....

Słonecznik i kwiatuszek.....

Kochaj mnie całą... ..

„Zakonnice” w Karpaczu.....	
Krzywe zwierciadła.....	
Czy cierpienie może boleć?.....	
Co byś zrobił na moim miejscu?.....	
W co wierzyć?.....	
A nadzieja zawieść nie może!.....	
Fruwająca miłość.....	
Bibliografia.....	



Prof. dr hab. Agnieszka

Szewczyk – pracownik naukowy Uniwersytetu Szczecińskiego, autorka wielu publikacji naukowych. Zajmuje się głównie zagadnieniami związanymi z wpływem nowych technologii informacyjnych na człowieka oraz problemami etycznymi i moralnymi w ekonomii – w realiach społeczeństwa informacyjnego. Od wielu lat aktywnie uczestniczy w Katolickiej Odnowie w Duchu Świętym.

Inne książki tej Autorki o podobnej tematyce można bezpłatnie pobrać ze strony eif.usz.edu.pl, wybierając kolejno zakładki: Instytut/Struktura/KSIĄZKI/Pracownicy.

Dobre słowo mało kosztuje, a pomaga wiele

Wojciech Bartoszewski

Autorka przedstawiła wybrane, ważne problemy nurtujące współcześnie żyjącego człowieka, który funkcjonuje w warunkach ogromu informacji docierających do niego. Poprzez studia przypadków oraz pokazanie sytuacji wziętych z życia praca jest ciekawa i pouczająca. Każdy Czytelnik może znaleźć w książce odniesienia do sytuacji życiowych, które najczęściej nie są dziełem przypadku.

z recenzji prof. dr hab. Elżbiety Skrzypek

Inflację słów trzeba tak dławić jak inflację pustego pieniądza

ks. Jan Twardowski

Wydawnictwo
bernardinum

ISBN 978-83-8333-222-2



9 788383 332222